ALDOUS HUXLEY

„Nowy Wspaniały Świat”

(Przełożył: Bogdan Baran)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przysadzisty szary budynek o zaledwie trzydziestu czterech piętrach. Nad głównym wejściem napis: „Ośrodek Rozrodu i Warunkowania w Londynie Centralnym", na tablicy zaś wyryte hasło Republiki Świata: „Wspólność, Identyczność, Stabilność".

Okna ogromnej sali na parterze wychodziły na północ. Zimny (pomimo pełni lata za szybami, pomimo tropikalnego upału we wnętrzu sali), ostry i przenikliwy blask zaglądał w okna, chciwie poszukując jakiegoś kształtu obleczonego w tkaninę, jakiejś bladej gęsiej skórki akademika, lecz znajdował tylko szkło, nikiel i matowo lśniącą porcelanę laboratoryjną. Chłód natrafiał na chłód. Okrycia robocze pracowników były białe, dłonie w gumowych rękawiczkach trupio bladej barwy. Światło - lodowate, martwe, upiorne. Tylko z żółtych rurek mikroskopów czerpało ono nieco substancji bogatej i żywej, kładąc się na polerowanych rurkach niczym smakowite płaty masła ułożone rzędami wzdłuż stanowisk roboczych.

- A to - powiedział dyrektor otwierając drzwi - jest dział zapładniania.

Gdy dyrektor „Rozrodu i Warunkowania" wkraczał do sali, trzystu zapładniaczy pochylało się nad przyrządami wstrzymując dech i w pełnym zaabsorbowania skupieniu z rzadka wydając bezwiedny gwizd lub pomruk. Grupa nowo przybyłych studentów, bardzo młodych, różowiutkich żółtodziobów, z pokorą dreptała nerwowo za dyrektorem. Każdy z nich trzymał kajet, w którym desperacko bazgrał, gdy tylko wielki człowiek raczył przemówić. Z pierwszej ręki. To był rzadki przywilej. Dyrektor „Rozrodu i Warunkowania" na Londyn Centralny zawsze dbał o to, by osobiście oprowadzać swych nowych praktykantów po poszczególnych działach.

- To tak żeby dać ogólne pojęcie - wyjaśniał im. Bo aby rozumnie pracować, jakieś ogólne pojęcie rzecz jasna mieć muszą - choć możliwie najmniejsze, jeśli mają być dobrymi i szczęśliwymi członkami społeczeństwa. Wiedza o szczegółach bowiem, jak każdy wie, przydaje cnót i szczęśliwości, wiedza ogólna zaś to dla umysłu zło konieczne. Nie filozofowie, lecz pracowite mrówki i zbieracze znaczków tworzą kręgosłup społeczny.

- Jutro - zwykł dodawać uśmiechając się uprzejmie, acz z odrobiną surowości - zabierzecie się do poważnej pracy. Nie będziecie mieć czasu na rzeczy ogólne.
Póki co jednak...

Póki co obowiązywał przywilej. Z pierwszej ręki do kajetu. Chłopcy smarowali jak szaleni.

Wysoki, raczej chudy, wyprostowany dyrektor zmierzał w głąb sali. Miał długą dolną szczękę, zęby nieco wystające, ledwo zakryte, gdy nie mówił, przez pełne, kunsztownie wygięte wargi. Stary, młody? Trzydzieści? Pięćdziesiąt pięć? Trudno było określić. Zresztą nie miało to znaczenia; w ów czas nieustającej stabilności, A.F. 632, nikomu nawet nie przyszłoby do głowy pytać o wiek.

- Wyjdę od punktu wyjścia - powiedział dyrektor RiW, a co bardziej gorliwi studenci utrwalili jego zamiar w kajetach: *Wyjść od punktu wyjścia*. - To - machnął ręką - są inkubatory. - A otwierając odosobnione drzwi, pokazał im szeregi półek zapełnionych ponumerowanymi probówkami.

- Tygodniowy zapas jaj. Trzymany - wyjaśnił - w temperaturze krwi. Męskie gamety - tu otworzył inne drzwi - muszą być przechowywane w temperaturze trzydziestu pięciu stopni, nie trzydziestu siedmiu. Temperatura krwi sterylizuje. Barany zamknięte w termogenie nie poczynają jagniąt.

Wsparty o inkubatory podawał studentom (a ołówki gryzmoliły z pośpiechem) krótki opis nowoczesnego procesu zapładniania; najpierw powiedział, rzecz jasna, o jego chirurgicznym etapie wstępnym: o „zabiegu, któremu poddajemy się chętnie dla dobra Społeczeństwa, nie mówiąc już o gratyfikacji w wysokości półrocznej pensji". Następnie omówił zwięźle technikę utrzymywania wyodrębnionego jajnika przy życiu i zapewnienia jego funkcjonowania. Potem przeszedł do podania optymalnej temperatury, stopnia zasolenia, kleistości, wspomniał o naturze płynu, w którym przechowuje się wyodrębnione dojrzałe jaja; prowadząc swych podopiecznych do stanowisk roboczych pokazał im, jak się ów płyn wydobywa z probówki; jak się go kropla po kropli wprowadza na specjalnie ogrzane szkiełka mikroskopowe; jak się zawarte w nim jaja testuje co do odchyleń, przelicza i przenosi do porowatego pojemnika; jak (tu zademonstrował przebieg tej czynności) pojemnik ów zostaje zanurzony w ciepłym roztworze ze swobodnie pływającymi plemnikami - tu podkreślił, że najmniejsze stężenie może wynosić sto tysięcy na centymetr sześcienny; jak, po dziesięciu minutach, zbiornik zostaje wyjęty z płynu, a jego zawartość ponownie przebadana; jak w przypadku, gdy któreś z jaj pozostało nie zapłodnione, zanurza się je ponownie, a potem w razie potrzeby raz jeszcze; jak zapłodnione jaja wracają do inkubatorów, gdzie alfy i bety pozostają aż do zakończenia butlacji, gdy tymczasem gammy, delty i epsilony wydobywa się po trzydziestu sześciu godzinach i poddaje procesowi Bokanowskiego.

- Procesowi Bokanowskiego - powtórzył dyrektor, a studenci podkreślili w swych małych kajetach. Jedno jajo, jeden embrion, jeden osobnik dorosły - proces normalny.

Jednakże jajo zbokanowizowane będzie pączkować, mnożyć się, dzielić. Od ośmiu do dziewięćdziesięciu sześciu pączków, a każdy pączek rozwinie się w doskonale ukształtowany embrion, każdy embrion w pełnego osobnika dorosłego. Tak iż w miejsce jednego człowieka będzie powstawało dziewięćdziesięciu sześciu. Postęp.

- W zasadzie - podsumował dyrektor RiW - bokanowizacja polega na ciągu ingerencji zatrzymujących rozwój. Stopujemy normalny rozrost i, paradoks, nieprawdaż, jajo reaguje pączkowaniem.

Reaguje pączkowaniem. Ołówki pracowały zaciekle. Wskazał palcem. Spoczywający na sunącej żółwim tempem taśmie pojemnik z probówkami zniknął w dużym metalowym pudle; wynurzał się następny. Maszyny cicho pomrukiwały. Przejście probówek trwa osiem minut, poinformował. Osiem minut twardych promieni Roentgena jajo wytrzymuje z najwyższym trudem. Niektóre giną; spośród pozostałych te najmniej wrażliwe dzielą się na pół; większość daje po cztery pączki, niektóre osiem. Wszystkie wracają do inkubatorów, gdzie pączki zaczynają się rozwijać; po dwóch dniach oziębia się je nagle i w ten sposób zatrzymuje ich rozwój. Dwa, cztery, osiem... pączki reagują dalszym pączkowaniem, po czym poddawane są niemal całkowitemu zatruciu alkoholem; w efekcie pęcznieją dalej i po pączkowaniu - pączek z pączka pączka - mogą dalej rozwijać się w spokoju, jako że dalsze hamowanie w zasadzie prowadziłoby już do ich uśmiercenia. W ciągu tego czasu pierwotne jajo mogło zapoczątkować od ośmiu do dziewięćdziesięciu sześciu embrionów - niezwykłe, przyznacie, udoskonalenie natury. Identyczne bliźniaki - ale nie jakieś tam dwojaczki czy trojaczki dawnej epoki żyworodności, kiedy to jaja dzieliły się akcydentalnie; obecnie możemy mieć bliźniąt całe tuziny. W obfitości.

- W obfitości - powtórzył dyrektor i rozłożył ramiona, jakby rozdawał tę płodność. - W obfitości.

Jednakże któryś ze studentów zadał w swej głupocie pytanie, w czym tu korzyść.

- Mój drogi chłopcze - dyrektor gwałtownie odwrócił się ku niemu. - Czyż ty nie dostrzegasz? Czy nie dostrzegasz? Uniósł dłoń; twarz miała uroczysty wyraz: - Proces Bokanowskiego to jeden z podstawowych czynników stabilności społecznej!

Podstawowych czynników stabilności społecznej.

Standaryzacja mężczyzn i kobiet; identyczne osobniki. Cała niewielka wytwórnia obsadzona personelem z jednego zbokanowizowanego jaja.

- Dziewięćdziesiąt sześć identycznych osób przy dziewięćdziesięciu sześciu identycznych maszynach! - Głos aż drżał radosnym uniesieniem. - Teraz panujemy nad

sytuacją. Po raz pierwszy w dziejach. - Przytoczył hasło planetarne: „Wspólność, Identyczność, Stabilność”. Naprawdę wielkie słowa.

- Gdybyśmy umieli bokanowizować bez ograniczeń, cały problem byłby rozwiązany.

Rozwiązany przez standartyzowane gammy, identyczne delty, jednolite epsilony. Miliony jednakowych bliźniaków. Zasada produkcji masowej wreszcie zastosowana w odniesieniu do biologii.

- Niestety jednak - dyrektor potrząsnął głową - bokanowizować bez ograniczeń nie możemy.

Granicą wydaje się dziewięćdziesiąt sześć, wysoką średnią siedemdziesiąt dwa. Najlepszą (niestety niedoskonałą) rzeczą, jaką można było zrobić, to wytwarzać z danego jajnika i gamet danego samca możliwie największe grupy bliźniaków. A nawet i to było trudne.

- W przyrodzie bowiem dwieście jaj dojrzewa przez lat trzydzieści. Jednakże nas interesuje ustabilizowanie populacji już obecnie, tu i teraz. Z pary bliźniąt raz na ćwierć wieku żaden pożytek.

Oczywiście, pożytek żaden. Jednakże technika Podsnapa niezmiernie przyspieszyła proces dojrzewania. Zapewnia ona co najmniej pięćdziesiąt dojrzałych jaj w ciągu dwu lat. Zapładniać i bokanowizować, innymi słowy, mnożyć przez siedemdziesiąt dwa, a będziemy otrzymywać średnio prawie jedenaście tysięcy braci i sióstr w stu pięćdziesięciu grupach bliźniąt, wszystkie w jednakowym, z dokładnością do dwóch lat, wieku.

- W pewnych zaś przypadkach możemy sprawić, że ten jajnik da nam ponad piętnaście tysięcy dorosłych osobników.

Skinął na jasnowłosego, rumianego młodzieńca, który właśnie przechodził w pobliżu, i zawołał:

- Panie Foster!

Rumiany młodzieniec zbliżył się.

- Panie Foster, czy może nam pan podać rekord jajnika?

- W naszym ośrodku szesnaście tysięcy dwanaście - odrzekł bez wahania pan Foster. Mówił bardzo szybko, miał żywe błękitne oczy i najwyraźniej znajdował przyjemność w przytaczaniu cyfr. - Szesnaście tysięcy dwanaście; w stu osiemdziesięciu dziewięciu grupach identyków. Ale rzecz jasna w ośrodkach tropikalnych - trajkotał dalej - mieli wyniki o wiele lepsze. Singapur często wytwarzał ponad szesnaście i pół tysiąca, Mombasa zaś doszła ostatnio do siedemnastu tysięcy. No ale oni mają pewne fory. Wystarczy zobaczyć, jak murzyński jajnik reaguje na śluz! To wprost zadziwiające, jeśli się przywykło do pracy z

materiałem europejskim. Niemniej - dodał ze śmiechem (choć oczy lśniły mu blaskiem waleczności i głowę zadzierał wyzywająco) - niemniej jednak pobijemy ich, jeśli nam się uda. Pracuję teraz nad wspaniałym jajnikiem delta-minus. Zaledwie osiemnastomiesięczny. Już ponad dwanaście tysięcy siedemset dzieci, wybutlowanych lub w embrionach. I wciąż jest mocny. Jeszcze ich pobijemy.

- Oto duch, jakiego lubię! - wykrzyknął dyrektor klepiąc pana Fostera po plecach. - Proszę z nami i niech pan pozwoli chłopcom korzystać z pańskiej głębokiej wiedzy.

Pan Foster uśmiechnął się skromnie.

- Z przyjemnością.

Ruszyli dalej.

W dziale butlacji praca przebiegała harmonijnie i w pełnym porządku. Płaty świeżej świńskiej otrzewnej przygotowane do pokrojenia na części stosownej wielkości nadjeżdżały małymi windami ze składu narządów w podziemiach. Wzzz, a potem klik! otwierają się drzwiczki windy; wyściełacz musi tylko sięgnąć po płat, wsunąć go, wygładzić i zanim wyścielona butla zdąży odpłynąć wzdłuż bezkresnej taśmy poza zasięg jego ręki, wzzz, klik! I następny płat otrzewnej wyskakuje z otchłani, czekając na wsunięcie go w następną butlę, obecnie pierwszą w tej powolnej nieskończonej procesji po tasmie.

Obok wyściełaczy stoją matrykulatorzy. Procesja posuwa się; jaja, jedno po drugim, przenoszone są z probówek do większych pojemników; wyściółka z otrzewnej zostaje zręcznie nacięta, morula wpada, wlewa się roztwór solny... i już butla sunie dalej, i już przychodzi kolej na etykietowanie. Dziedziczność, data zapłodnienia, przynależność do grupy Bokanowskiego - wszystkie te dane przenoszone są z probówek na butlę. Już nie anonimowa, lecz opatrzona nazwami, zidentyfikowana procesja sunie powoli przed siebie; przed siebie przez otwór w ścianie; powoli przed siebie do działu przeznaczenia społecznego.

- Osiemdziesiąt osiem metrów sześciennych formularzy kartoteki - oświadczył z lubością pan Foster, gdy wchodzili do pomieszczenia.

- Zawierających wsze1kie potrzebne informacje - dodał dyrektor.

- Aktualizowane co rano.

- Na ich podstawie dokonuje się obliczeń.

- Tyle a tyle osobników, o takich a takich własnościach - stwierdził pan Foster.

- Takim a takim rozkładzie ilościowym.

- Optimum wybutlacji na dowolny moment.

- Szybka kompensacja nie przewidzianych ubytków.

- Szybka - powtórzył pan Forest. Gdyby panowie wiedzieli, ileż nadgodzin musiałem wprowadzić po ostatnim trzęsieniu ziemi w Japonii! - śmiał się dobrodusznie i kiwał głową.

- Przeznaczeniowcy ślą swoje liczby zapładniaczom.

- Którzy dostarczają im embrionów, jakich tamci sobie życzą.

- A butle docierają tutaj i określa się szczegółowo ich przeznaczenie.

- Po czym wysyła się na dół do składu embrionów.

- Dokąd właśnie pójdziemy.

I otwarłszy drzwi pan Foster poprowadził grupę po schodach w dół do piwnic. Żar był ciągle tropikalny. Zstępowali w gęstniejący półmrok. Dwoje drzwi i korytarz dwukrotnie zakręcający chroniły piwnicę przed przenikaniem światła dziennego.

- Embriony są jak klisza fotograficzna - z łobuzerskim uśmiechem żartował pan Forest otwierając drugie drzwi. - Znoszą tylko światło czerwone.

Rzeczywiście, duszny mrok, w który teraz weszli za Fosterem studenci, rozświetlony był purpurowo, niczym ciemność pod zamkniętymi powiekami w letnie popołudnie. Obwisłe półki, jedna nad drugą, pełne butli, lśniły niezliczonymi rubinami, a wśród rubinów przesuwały się rozmyte czerwone widma mężczyzn i kobiet o purpurowych oczach i wszelkich objawach tocznia na twarzach. Brzęk i klekot urządzeń lekko poruszał powietrze.

- Może poda im pan parę liczb, panie Foster - rzeki dyrektor, zmęczony już mówieniem.

Pana Fostera nic nie mogło uradować bardziej niż podanie paru liczb.

Dwieście dwadzieścia metrów długości, dwieście szerokości, dziesięć wysokości. Wskazał dłonią ku górze. Jak pijące kury studenci wznieśli oczy ku odległemu sklepieniu.

Trzy rzędy półek: parter, galeria pierwsza, galeria druga.

Stalową pajęczynę spiętrzonych jedna nad drugą galerii we wszystkich kierunkach pochłaniał mrok. Obok trzy czerwone widma pracowicie zdejmowały słoje z ruchomych schodów.

Schodów z działu przeznaczenia społecznego.

Daną butlę można było ułożyć na jednej z piętnastu półek, każda zaś z półek była przenośnikiem, który poruszał się z niezauważalną prędkością trzydziestu trzech i jednej trzeciej centymetra na godzinę. Dwieście sześćdziesiąt siedem dni ruchu przy prędkości ośmiu metrów na dobę. Ogółem dwa tysiące sto trzydzieści sześć metrów. Jedno okrążenie piwnicy na poziomie parteru, jedno na galerii pierwszej, połowa na drugiej, aż wreszcie rankiem dnia dwieście sześćdziesiątego siódmego światło dzienne w dziale wybutlacji. Tak zwane istnienie niezależne.

- Jednakże w ciągu tego czasu - zakończył pan Foster - wiele dla nich czynimy. Och, ogromnie dużo. - Jego śmiech był triumfującym śmiechem tego, który wie.

- Oto duch, jakiego lubię! - jeszcze raz oznajmił dyrektor. - Obejdźmy to wkoło. Niech pan mówi im wszystko, panie Foster.

Pan Foster rzetelnie wszystko im mówił.

Mówił im o rozwoju embriona w jego łożysku z otrzewnej. Nakłonił ich do skosztowania wzbogaconego surogatu krwi, którym embrion jest karmiony. Wyjaśnił, dlaczego musi się go stymulować placentyną i tyroksyną. Mówił o wyciągu z *corpus luteum*. Pokazał strzykawki, które rozstawione co dwanaście metrów, od zera do 2040, robiły embrionowi automatyczne zastrzyki. Mówił o owych stopniowo wzrastających dawkach śluzu, jakie stosowano na ostatnich dziewięćdziesięciu sześciu metrach trasy. Opisał sztuczny krwiobieg macierzyński umieszczany na każdej butli na sto dwunastym piętrze; pokazał im zbiornik z surogatem krwi, pompę odśrodkową, która powodowała stałe zraszanie łożyska płynem i przeprowadzała ów płyn przez sztuczne płuco i filtr wydzielin. Wspomniał o kłopotliwej skłonności embrionu do anemii i o sporych dawkach niezbędnego w tej sytuacji wyciągu ze świńskiego żołądka i z wątroby płodu źrebięcia.

Zademonstrował im prosty przyrząd, za pomocą którego podczas ostatnich dwóch spośród każdych ośmiu metrów ruchu wszystkie embriony są równocześnie potrząsane, aby oswoić je z ruchem. Wskazał na poważny charakter tak zwanego „szoku powybutlacyjnego” i wyliczył środki podejmowane dla zmniejszenia - poprzez odpowiedni trening zabutlowanego embriona - tego niebezpiecznego wstrząsu. Powiedział im o testach na płeć przeprowadzanych w okolicy dwusetnego metra. Wyjaśnił system etykietowania: „T” dla osobników męskich, kółko dla żeńskich, zaś dla bezpłodnych znak zapytania, czarny na białym tle.

- Bowiem w większości przypadków - mówił pan Foster - płodność stanowi rzecz jasna tylko kłopot. Jeden na tysiąc dwieście płodny jajnik w zupełności dla naszych celów wystarczy. Jednakże chcemy mieć możliwość szybkiego wyboru. No i rzecz jasna trzeba zawsze dysponować wielkim marginesem bezpieczeństwa. Dlatego aż trzydziestu procentom żeńskich embrionów pozwalamy na normalny rozwój. Inne przez resztę kursu co dwadzieścia cztery metry otrzymują dawkę męskiego hormonu płciowego. Wynik: zostają wybutlowane jako bezpłodne, co do budowy zupełnie normalne („poza - musiał przyznać - tym, że rzadko, ale naprawdę rzadko, wyrastają im brody”), lecz bezpłodne. Absolutnie bezpłodne. Co wyprowadza nas wreszcie - kontynuował pan Foster - z dziedziny niewolniczego jedynie

naśladowania natury i wiedzie ku znacznie bardziej zajmującemu światu ludzkiej wynalazczości.

Zatarł ręce. Oni rzecz jasna nie zadowalają się zwykłą pracą nad rozwojem embrionów: byle krowa to urnie.

- My ponadto przeznaczamy i warunkujemy. Nasze niemowlęta wybutlowujemy w postaci uspołecznionych istot ludzkich, w postaci alf lub epsilonów, w postaci przyszłych krawców lub... - Chciał powiedzieć: „przyszłych zarządców świata", ale powstrzymał się i rzekł: - przyszłych dyrektorów ośrodków rozrodu.

Dyrektor RiW uśmiechem podziękował za komplement.

Przebywali trzysta dwudziesty metr na jedenastej półce. Młody mechanik, beta-minus, ze śrubokrętem i kluczem francuskim pracował nad pompą surogatu krwi przy jednej z przesuwających się butli. Gdy mechanik dokręcał mutrę, bzyczenie elektrycznego motoru stawało się o ułamek tonu niższe. Niższe, coraz nizsze... Ostatni obrót, rzut oka na licznik obrotów i gotowe. Przeszedł dwa kroki w dół taśmy i rozpoczął tę samą czynność przy następnej pompie.

- Zmniejszanie liczby obrotów na minutę - wyjaśniał pan Foster. - Surogat krąży wolniej, przeplywa zatem przez płuca w większych odstępach czasu, dostarczając embrionowi mniej tlenu. Nie ma to jak niedobór tlenu, to najlepiej utrzymuje embrion poniżej poziomu. - Znowu zatarł ręce.

- Ale dlaczego chce pan utrzymywać embrion poniżej poziomu? - zapytał ze szczerą naiwnością jakiś student.

- Osioł! - zawołał dyrektor, przerywając długą chwilę milczenia. - Czy nie przyszło ci do głowy, że embrion epsilona, jeśli ma. epsilonową dziedziczność, musi mieć warunki epsilonowe?

Najwidoczniej nie przyszło mu do głowy. Zmieszał się.

- Im niższa kasta - powiedział pan Foster - tym mniej tlenu. Pierwszym naruszonym narządem jest zawsze mózg. Potem szkielet. Przy siedemdziesięciu procentach normalnej dawki tlenu uzyskujemy karły. Przy mniej niż siedemdziesięciu bezokie potworki.

- Z których nie ma żadnego pożytku - podsumował pan Foster. Gdyby natomiast (tu jego głos się roznamiętnił i zarazem nabrał konfidencjonalnych tonów) udało się odkryć metodę skracania okresu dojrzewania, cóż by to był za sukces, jakie dobrodziejstwo dla Społeczeństwa!

- Rozważmy na przykład konia.

Rozważyli.

Dojrzewa przez sześć lat; słoń przez dziesięć. Natomiast człowiek po trzynastu latach życia nie jest nawet dojrzały płciowo, zakończenie dojrzewania następuje dopiero w wieku lat dwudziestu. Stąd rzecz jasna ów owoc opóźnionego rozwoju, ludzki rozum.

- Jednakże u epsilonów - nader trafnie zauważył pan Foster - nie potrzeba nam ludzkiego rozumu.

Nie potrzeba i nie uzyskuje się go. Ale mimo iż umysł epsilona osiąga dojrzałość w wieku lat dziesięciu, ciało epsilona pozostaje niezdolne do pracy aż do osiemnastego roku życia. Długi okres zbędnej i zmarnowanej niedojrzałości. Gdyby można było przyspieszyć rozwój fizyczny do rzędu szybkości dojrzewania, powiedzmy, krowy, jakaż ogromna oszczędność dla Społeczeństwa!

- Ogromna! - mamrotali słuchacze.

Entuzjazm pana Fostera był zaraźliwy.

Przeszedł do kwestii dość technicznych; mówił o odchyleniach w zakresie współpracy gruczołów dokrewnych, co powoduje u mężczyzn opóźniony wzrost; uważał, że powoduje to mutacja embrionalna. Czy można usunąć jej skutki? Czy za pomocą stosownej metody można dany embrion epsilona przekształcić do postaci normalnej jak u psów i krów? Oto problem. W żadnym razie jeszcze nie rozwiązany.

W Mombasie Piłkington wytworzył osobniki dojrzałe seksualnie w wieku lat czterech i osiągające pełną dojrzałość w wieku lat sześciu i pół. Triumf nauki. Jednakże społecznie bezużyteczny. Sześcioletni mężczyźni i kobiety byli zbyt głupi nawet do wykonywania pracy epsilona. A proces przebiegał na zasadzie „wszystko albo nic", albo niczego nie można było zmienić, albo ulegało zmianie wszystko. Ciągle usiłowano znaleźć optymalny kompromis między dorosłymi dwudziestolatkami a dorosłymi sześciolatkami. Jak dotąd bezskutecznie. Pan Foster westchnął i pokiwał głową.

Wędrówka przez purpurowy półmrok zawiodła ich w okolice sto siedemdziesiątego metra na półce dziewiątej. Począwszy od tego miejsca półka dziewiąta była obudowana, butle zaś resztę swej podróży odbywały w czymś na kształt tunelu, urywającego się miejscami na przestrzeni dwóch lub trzech metrów.

- Warunkowanie termiczne - powiedział pan Foster.

Tunele gorące występowały na przemian z chłodnymi. Chłód zestawiano z bodźcami przykrymi, mianowicie w postaci twardych promieni Roentgena. Do czasu wybutlowania embriony nabędą lęku przed chłodem. Przeznacza się je do tropików, do pracy w charakterze górników, włókniarzy sztucznego jedwabiu i hutników. Później ich umysły zostaną ukształtowane tak, by potwierdzały osądy ciał.

- Warunkujemy ich co do wytrzymałości na upał - zakończył pan Foster. - Nasi koledzy z górnych pięter nauczą ich go lubić.

- A to - wtrącił dyrektor sentencjonalnie - to jest cała tajemnica szczęścia i cnoty. Lubić to, co się musi robić. Wszelkie warunkowanie zmierza do jednej rzeczy: do sprawienia, by ludzie polubili swe nieuniknione przeznaczenie społeczne.

W nie obudowanej części tunelu pielęgniarka ostrożnie badała za pomocą długiej delikatnej strzykawki galaretowatą zawartość przesuwającej się butli. Studenci i ich przewodnicy przez chwilę patrzyli na pielęgniarkę w milczeniu.

- Lenino - powiedział pan Foster, gdy ta wyjęła wreszcie strzykawkę i wyprostowała się.

Dziewczyna odwróciła się szybko. Widać było od razu, że pomimo tocznia i purpurowych oczu była niezwykle urodziwa.

- Henryk! - jej uśmiech błysnął ku niemu czerwono rzędem koralowych zębów.

- Urocza, urocza - mruknął dyrektor i dając jej dwa lub trzy pieszczotliwe klapsy, otrzymał w zamian pełen szacunku uśmiech.

- Co im aplikujesz? - zapytał pan Foster przybierając ton bardzo fachowy.

- Och, zwykłą dawkę tyfusu i śpiączki.

- Pracownicy tropikalni są uodporniani począwszy od sto pięćdziesiątego metra - wyjaśnił studentom pan Foster. - Embriony zachowują jeszcze skrzela. Chronimy rybę przed przyszłymi chorobami człowieka. - Potem, zwróciwszy się znów do Leniny, powiedział: - Jak zwykle, za dziesięć piąta na dachu.

- Urocza - rzekł raz jeszcze dyrektor i dawszy jej pożegnalnego klapsa, oddalił się za resztą osób.

Na półce dziesiątej rzędy przyszłych chemików ćwiczono na tolerancję ołowiu, sody kaustycznej, smoły i chloru. Pierwszy z grupy dwustu pięćdziesięciu embrionów, w przyszłości inżynierów statków kosmicznych, przesuwał się właśnie obok znaku tysiąc setnego metra na półce trzeciej. Specjalne urządzenie nadawało zbiornikom stały ruch obrotowy.

- To aby udoskonalić ich zmysł równowagi - wyjaśnił pan Foster. - Dokonywanie napraw w przestrzeni na zewnątrz statku jest zajęciem dość trudnym. Gdy znajdują się normalnej pozycji, spowalniamy im krążenie, tak iż niemal giną z głodu tlenowego, gdy zaś są w pozycji „do góry nogami”, zdwajamy przepływ surogatu. Uczą się więc kojarzyć tę pozycję z uczuciem komfortu; i rzeczywiście, są naprawdę szczęśliwi tylko wtedy, gdy stoją na głowach.

- A teraz - ciągnął pan Foster - chciałbym wam pokazać pewne nader interesujące warunkowanie intelektualistów alfa-plus. Mamy dużą ich grupę na półce piątej. Galeria pierwsza - krzyknął do dwóch chłopców, którzy zaczęli schodzić w stronę parteru.

- Są w okolicy dziewięćsetnego metra - wyjaśnił. - Nie sposób przeprowadzać skutecznego warunkowania intelektualnego, dopóki płód nie straci ogona. Pozwólcie za mną.

Tu jednak dyrektor spojrzał na zegarek.

- Za dziesięć trzecia - powiedział. - Obawiam się, że nie mamy już czasu na embriony intelektualistów. Musimy zdążyć na górę do żłobka przed zakończeniem ciszy popołudniowej.

Pan Foster był rozczarowany.

- Tylko rzut oka na dział wybutlacji - prosił.

- No dobrze - dyrektor uśmiechnął się wyrozumiale. - Tylko rzut oka.

ROZDZIAŁ DRUGI

Pana Fostera pozostawiono w dziale wybutlacji. Dyrektor RiW oraz jego studenci weszli do najbliższej windy, ta zaś wyniosła ich na piąte piętro.

„Żłobki. Działy Warunkowania Neopawłowowskiego”, głosiła tabliczka.

Dyrektor otworzył drzwi. Znajdowali się w obszernym, pustym pomieszczeniu, bardzo jasnym i słonecznym, całą bowiem ścianę południową zajmowało jedno wielkie okno. Pół tuzina pielęgniarek odzianych w regulaminowe białe spodnie i żakiety ze sztucznego płótna, o włosach aseptycznie ukrytych pod białymi czepkami, zajętych było ustawianiem na podłodze w jednym długim rzędzie wazonów z różami. Wielkie wazony, ciasno zapełnione kwiatami. Tysiące płatków, dojrzałych, jedwabistej gładkości, niczym policzki niezliczonych cherubinków, jednakże cherubinków w tym jasnym blasku nie tylko różowych i aryjskich, ale także jasnych Chińczyków czy Meksykanów, a przy tym skłonnych do apopleksji od zbyt silnego dęcia w trąby niebiańskie, bladych jak śmierć, bladych pośmiertną marmurową bielą.

Gdy wszedł dyrektor RiW, pielęgniarki wyprężyły się w postawie zasadniczej

- Wyłożyć książki - polecił krótko.

W milczeniu pielęgniarki wykonały rozkaz. Książki zostały sprawnie wyłożone pośród wazonów z różami - rząd bajek dziecięcych zachęcająco otwartych na wesoło pokolorowanych obrazkach zwierząt, ryb, ptaków.

- Przywieźć dzieci.

Wybiegły z pokoju i powróciły po minucie lub dwóch, każda pchała przed sobą coś w rodzaju wysokiego wózka kelnerskiego, na którego czterech półkach z drucianej siatki siedziały ośmiomiesięczne niemowlęta, wszystkie jednakowe (najwyraźniej z jednej grupy Bokanowskiego) i wszystkie (jako że należały do kasty delt) odziane w ubranka koloru khaki.

- Umieścić je na podłodze.

Rozładowano wózki.

- Odwrócić je w stronę kwiatów i książek.

Odwrócone, dzieci nagle zamilkły, a potem zaczęły się czołgać na czworakach ku tym zestawom olśniewających barw, ku owym tak wesołym i kolorowym kształtom na białych stronicach. Gdy były już blisko, słońce wychyliło się zza przesłaniającej go przez chwilę chmury. Róże rozpromieniły się jak od nagłego wybuchu wewnętrznej namiętności; lśniące stronice książek zdały się nasycać nowym, głębokim znaczeniem. Od niemowlęcych szeregów dobiegły ciche okrzyki podniecenia, gulgoty i świergoty rozkoszy.

- Świetnie! - zatarł ręce dyrektor. Jak na zamówienie.

Najszybsze z niemowląt prawie już dopełzły do celu. Drobne ręce wyciągały się niepewnie, dotykały, chwytały, obrywały płatki wspaniałych róż, mięły barwne stronice książek. Dyrektor czekał, aż wszystkie niemowlęta oddadzą się radosnym zajęciom. Potem powiedział:

- Teraz patrzcie uważnie! - I dał znak uniesieniem ręki.

Przełożona pielęgniarek, stojąca przy tablicy rozdzielczej po drugiej stronie sali, nacisnęła małą dźwignię.

Nastąpił gwałtowny wybuch. Coraz głośniej i głośniej wyła syrena. Dzwony alarmowe biły jak oszalałe.

Dzieci wzdrygnęły się, rozwrzeszczały; buzie wykrzywiło przerażenie.

- A teraz - krzyknął dyrektor (bo hałas był ogłuszający) - teraz wpajamy lekcję poprzez łagodne elektrowstrząsy.

Znów dał znak ręką i przełożona nacisnęła drugą dźwignię. Krzyki dzieci zmieniły nagle ton. Ostrym, spazmatycznym wrzaskiem dawały obecnie wyraz czemuś rozpaczliwemu, wręcz obłąkańczemu. Drobne ciałka kurczyły się, sztywniały, nóżki drgały niczym pociągane przez niewidzialne druty.

- Podłączmy do prądu cały ten fragment podłogi - krzycząc objaśniał dyrektor. – Na razie wystarczy - dał znak pielęgniarce.

Wybuchy ustały, dzwony umilkły, wycie syren powoli zamierało. Zesztywniałe, wijące się ciałka rozluźniły się, a to, co uprzednio było płaczem i wyciem obłąkanych na pozór niemowląt, przybrało znów postać normalnych krzyków zwykłego przestrachu.

- Dać im na powrót kwiaty i książki.

Pielęgniarki wykonały; jednakże postawione przed różami i na sam widok wszystkich tych wesołych obrazków kotka, kogutka ku-ku-ryku i czarnej owieczki mee-mee niemowlęta kurczyły się z przerażenia; ich wrzaski nasiliły się.

- Obserwujcie - mówił triumfująco dyrektor. - Obserwujcie.

Książki i głośny hałas, kwiaty i elektrowstrząsy - już w niemowlęcym umyśle człony tych par są kojarzone, po dwustu zaś powtórzeniach takiej lub podobnej lekcji ulegną nierozerwalnemu spojeniu. Co człowiek złączył, przyroda niezdolna jest rozłączyć. Wyrosną z „instynktownym", jak mówią psychologowie, wstrętem do książek i kwiatów. Odruchy trwale uwarunkowane. Z książkami i botaniką dadzą sobie spokój na cale Życie.

- Zabrać je - zwrócił się dyrektor do pielęgniarek.

Dzieci odziane w khaki i ciągle jeszcze rozwrzeszczane załadowano do wózków kelnerskich i wywieziono; pozostała po niemowlętach woń kwaśnego mleka i jakże upragniona cisza.

Jeden ze studentów uniósł rękę; choć rozumie w pełni, dlaczego ludzie z kasty niższej nie mogą tracić społecznego czasu na książki, a także rozumie, iż zawsze pozostawałoby ryzyko, że przeczytają coś, co mogłoby w niepożądany sposób odwarunkować któryś z ich odruchów, to jednak... no więc, nie rozumie sprawy z kwiatami. Po co kłopotać się psychologicznym uniemożliwianiem deltom upodobania do kwiatów?

Dyrektor RiW cierpliwie wyjaśniał. Jeśli powoduje się u niemowląt okrzyki przerażenia na widok róży, to dzieje się to na gruncie wyższych racji polityki ekonomicznej. Jeszcze nie tak dawno temu (przed mniej więcej stu laty) gammy, delty i epsilony warunkowano na upodobania do kwiatów - kwiatów między innymi, a przyrody w ogóle. Chodziło o to, żeby pragnęli oni przy każdej okazji wyjeżdżać na wieś, co zmuszałoby ich do korzystania ze środków transportu.

- Czy nie korzystali ze środków transportu? - zapytał student.

- Owszem, bardzo obficie - odparł dyrektor RiW - Ale poza tym z niczego.

Pierwiosnki i krajobrazy, stwierdził, mają pewną wielką wadę: są darmowe. Miłość przyrody nie napędza fabryk. Zdecydowano usunąć miłość przyrody, przynajmniej wśród kast niższych; usunąć miłość przyrody, ale nie skłonność do korzystania ze środków transportu. Było bowiem rzecz jasna sprawą istotną, by jeżdżono na wieś, pomimo niechęci do niej. Problem polegał na znalezieniu racji korzystania ze środków transportu ekonomicznie bardziej zasadnej niż byle upodobania do pierwiosnków i pejzaży. Znaleziono właściwą.

- Warunkujemy masy na niechęć do przyrody - zakończył dyrektor. Równocześnie jednak wykształcamy w nich upodobanie do sportów na łonie natury. Dbamy przy tym o to, by sporty te wymagały użycia skomplikowanych przyrządów. W ten sposób korzystają zarówno ze środków transportu, jak i z artykułów przemysłowych. Stąd te elektrowstrząsy.

- Rozumiem - powiedział student i zamilkł pełen podziwu.

Przez chwilę trwała cisza; potem odchrząknąwszy dyrektor zaczął:

- W czasach, gdy Pan Nasz Ford był jeszcze na ziemi, żył chłopiec nazwiskiem Rojben Rabinowicz. Rojben był dzieckiem rodziców mówiących po polsku. - Tu dyrektor przerwał. - Wiecie, mam nadzieję, co to jest „polski”?

- Martwy język.

- Jak francuski i niemiecki - dodał inny student, popisując się swoją wiedzą.

- A „rodzice”? - pytał dyrektor RiW.

Zapadło niepewne milczenie. Kilku chłopców zarumieniło się. Nie nauczyli się jeszcze dostrzegać znaczącej, ale często nader subtelnej różnicy między wiedzą czystą a niezbyt czystą. Jeden z nich odważył się w końcu unieść rękę.

- Ludzie byli dawnej... - zawahał się; rumieniec oblał jego twarz. - No więc, oni byli żyworodni.

- Dobrze - dyrektor z aprobatą kiwał głową.

- A gdy dzieci zostały wybutlowane...

- Urodzone - poprawił dyrektor.

- No, to wtedy oni byli rodzicami... to znaczy nie dzieci, tylko tamci drudzy – biedny chłopiec ze zmieszania tracił głowę.

- Krótko mówiąc - podsumował dyrektor - rodzice to ojciec i matka. - Nieprzyzwoitość w funkcji wiedzy faktycznej wdarła się gwałtownie pomiędzy chłopców, milczących i patrzących w Ziemię.

- Matka - powtórzył głośno, wpajając im tę wiedzę; potem, odchylając się w fotelu, stwierdził z powagą: - Są to nieprzyjemne fakty, wiem. Jednakże większość faktów historycznych jest nieprzyjemna.

Powrócił do małego Rojbena - do małego Rojbena, w którego pokoju ojciec i matka (trach, trach!) przez nieuwagę zostawili pewnego wieczoru włączone radio.

(Trzeba wam bowiem pamiętać, że w owych czasach ordynarnej rozrodczości żyworodnej dzieci wychowywali rodzice, nie zaś państwowe ośrodki warunkowania).

Gdy dziecko spało, rozgłośnia londyńska nadawała program; następnego rana, ku zdumieniu trach trach (co odważniejsi chłopcy wymienili uśmieszki) chłopca, mały Rojben po przebudzeniu powtórzył słowo w słowo długi wykład tego osobliwego starego pisarza („jednego z nielicznych, których dziełom pozwolono przetrwać”) George"a Bernarda Shawa, który mówił wówczas, jak podaje dobrze potwierdzona tradycja, o swoim talencie pisarskim. Trach trach (perskie oko i śmieszki) małego Rojbena nic z tego wykładu rzecz jasna nie zrozumieli i sądząc, że ich dziecko oszalało, posłali po doktora. Ten na szczęście znał angielski, rozpoznał odczyt wygłaszany przez Shawa w radio poprzedniego wieczoru, uświadomił sobie wagę wydarzenia i opisał ten przypadek w prasie medycznej.

- Tak odkryto zasadę nauki przez sen, hipnopedii. - Dyrektor RiW dramatycznie zawiesił głos.

Zasada została odkryta, ale musiało upłynąć jeszcze wiele, wiele lat, nim znalazła faktyczne zastosowanie.

- Przypadek małego Rojbena miał miejsce zaledwie dwadzieścia trzy lata po tym, jak na rynku ukazał się pierwszy model T dzieła Pana Naszego Forda. - (Tu dyrektor uczynił na wysokości żołądka znak litery „T”, a wszyscy studenci nabożnie zrobili to samo). - Jednakże...

Studenci skrobali szaleńczo. *Hipnopedia, pierwsze zastosowanie A.F. 214. DIaczego nie wcześniej? Dwie przyczyny: a)...*

- Te wczesne eksperymenty - mówił dyrektor RiW - były na fałszywej drodze. Badacze sądzili, że hipnopedia może stać się narzędziem kształcenia intelektualnego...

(Chłopczyk śpi na prawym boku, wyciągnięte prawe ramię zwisa z krawędzi łóżka. Z otworu w ściance pudełka dobiega łagodny głos:

„Nil jest najdłuższą rzeką Afryki i drugą co do długości w świecie. Chociaż o wiele krótszy niż Missisipi-Missouri, Nil stoi na czele wszystkich rzek pod względem długości zlewiska, które rozciąga się na obszarze trzydziestu pięciu stopni szerokości geograficznej”.

Następnego dnia przy śniadaniu ktoś pyta:

- Tomeczku, jaka jest najdłuższa rzeka w Afryce? - Przeczący ruch głową. – Ale przecież pamiętasz coś, co zaczyna się od: Nil jest...

- Nil-jest-najdłuższą-rzeką-Afryki-i-drugą-co-do-długości-w-świecie... - Słowa pędzą jedno za drugim. - Chociaż-o-wiele-krótszy-niż...

- No właśnie, więc jaka jest najdłuższa rzeka Afryki?

Tępe spojrzenie:

- Ja nie wiem.

- Ależ, Tomeczku, Nil.

- Nil-jest-najdłuższą-rzeką-Afryki-i-drugą...

- Która rzeka jest więc najdłuższa, Tomeczku?

Tomeczek wybucha płaczem.

- Ja nie wiem - ryczy).

Ów płacz, objaśniał dyrektor, zniechęcił pierwszych badaczy. Eksperymenty zarzucono. Zaprzestano prób uczenia dzieci przez sen długości Nilu. Jak najsłuszniej. Nie można nabywać wiedzy, dopóki się człowiek nie dowie, czego to wszystko dotyczy.

- Należało natomiast zacząć kształcenie mora1ne - oznajmił dyrektor, wiodąc grupę ku drzwiom.

Studenci postępowali za nim, desperacko bazgrząc w marszu, a także w czasie jazdy windą wzwyż. - Kształcenie moralne, które nigdy, w żadnych warunkach, nie powinno być rozumowe.

„Cisza, cisza”, szeptał głośnik, gdy wysiedli na czternastym piętrze; „cisza, cisza”, niestrudzenie powtarzały co chwila na każdym korytarzu grzmiące usta. Studenci, a nawet dyrektor, odruchowo zaczęli iść na palcach. Byli rzecz jasna alfami, ale nawet alfy są należycie kształtowane. „Cisza, cisza”. Powietrze czternastego piętra syczało imperatywem kategorycznym.

Po pięćdziesięciu jardach stąpania na palcach dotarli do drzwi, które dyrektor ostrożnie uchylił. Przekroczyli próg i zanurzyli się w półmrok sypialni o zamkniętych okiennicach. Wzdłuż ściany stało rzędem osiemdziesiąt łóżeczek. Słychać było odgłosy lekkich regularnych oddechów oraz ciągłe mruczenie, niczym bardzo cicha rozmowa dobiegająca gdzieś z oddali.

Gdy weszli, pielęgniarka wstała i wyprężyła się na baczność przed dyrektorem.

- Jaka lekcja jest dziś po południu? - spytał.

- Przez pierwsze czternaście minut mieliśmy elementarne wychowanie seksualne - odpowiedziała. - Teraz idzie elementarna świadomość klasowa.

Dyrektor powoli kroczył wzdłuż długiego szeregu łóżeczek. Osiemdziesięcioro chłopców i dziewczynek, różowiutkich i śpiących spokojnie, leżało oddychając z cicha. Spod każdej poduszki dobiegał szept. Dyrektor RiW przystanął i pochylając się nad łóżeczkiem nasłuchiwał uważnie.

- Mówiła pani: elementarna świadomość klasowa? Może posłuchamy tego z głośnika.

Na końcu sali ze ściany wystawał przekaźnik. Dyrektor podszedł doń i nacisnął guzik.

„... wszystkie noszą odzież zieloną”, mówił cichy, lecz bardzo wyraźny głos, zaczynając od środka zdania, „zaś dzieci delty noszą odzież khaki. Och nie, z dziećmi deltami nie chciałbym się bawić. A epsilony są jeszcze gorsze. Są tak głupie, że nawet nie umieją czytać ani pisać. Ponadto ubierają się na czarno, a to taki wstrętny kolor. Ach, jak się cieszę, że jestem betą”.

Chwila pauzy, potem głos mówił dalej:

„Dzieci alfy noszą odzież szarą. Pracują dużo ciężej niż my, bo są tak strasznie, strasznie mądre. Naprawdę ogromnie się cieszę, że jestem betą, bo nie muszę tak ciężko pracować. A poza tym jesteśmy o wiele lepsze niż gammy i delty. Gammy są głupie. One wszystkie noszą odzież zieloną, dzieci delty zaś noszą odzież khaki. Och nie, z dziećmi deltami nie chciałbym się bawić. A epsilony są jeszcze głupsze. Są tak głupie, że...”

Dyrektor nacisnął wyłącznik. Głos umilkł. Jedynie jak własne słabe echo pomrukiwał nadal spod osiemdziesięciu poduszek.

- Do chwili przebudzenia zostanie im to powtórzone jeszcze ze czterdzieści lub pięćdziesiąt razy, potem znowu w czwartek i sobotę. Sto dwadzieścia powtórzeń trzy razy na tydzień przez trzydzieści miesięcy. A potem przejdą do trudniejszej lekcji.

Róże i elektrowstrząsy, kolor khaki delt i woń asafetydy - nierozerwalnie spojone, zanim jeszcze dziecko nauczy się mówić. Lecz warunkowanie bezsłowne jest powierzchowne i toporne, nie potrafi wpoić bardziej złożonych typów zachowań. Do tych celów potrzeba słów, lecz słów nie angażujących rozumu. Krótko mówiąc, potrzeba hipnopedii.

- Tej najpotężniejszej siły wszechczasów w zakresie umoralniania i socjalizacji.

Studenci zapisali w kajetach. Z pierwszej ręki.

Jeszcze raz dyrektor dotknął wyłącznika.

„... tak strasznie, strasznie mądre”, mówił cichy, sugestywny, niestrudzony głos. „Naprawdę ogromnie się cieszę, że jestem betą, bo...”

Nie tyle krople wody, choć woda istotnie drąży najtwardszy nawet kamień; raczej krople roztopionego wosku, krople, które przywierają do tego, na co spadną, wtapiają się w to, wgryzają, aż w końcu kamień jest jedną wielką czerwoną kroplą.

- Aż w końcu umysł dziecka sam jest tymi treściami, które mu są sugerowane, a suma tych treści jest umysłem dziecka. I nie tylko dziecka. Także umysłem dorosłego - na całe życie. Umysłem, który ocenia, pragnie i wybiera - cały złożony z owych treści. Jednakże wszystkie te treści są naszymi treściami! - dyrektor niemal krzyczał w uniesieniu. - Treści państwowe. - Uderzył pięścią w stół. - Wynika stąd...

Hałas za jego plecami kazał mu się odwrócić.

-O, Fordzie! - powiedział zmienionym tonem. - Co ja zrobiłem, dzieci się zbudziły.

ROZDZIAŁ TRZECI

Na zewnątrz, w ogrodzie, dzieci miały czas wolny. W gorącym czerwcowym słońcu sześćset lub siedemset nagich dziewcząt i chłopców uganiało z wrzaskiem po trawnikach, grało w piłkę lub siedziało parami bądź trójkami wśród kwitnących krzewów. Kwitły róże, dwa słowiki wyśpiewywały w gęstwinie, od lip dobiegały nieskładne pienia kukułki. W sennym powietrzu unosiło się brzęczenie pszczół i helikopterów.

Dyrektor i jego studenci stali przez chwilę przypatrując się grze „bąk do rąk". Dwudziestka dzieci stała kręgiem wokół wieży ze stali chromowej. Piłkę rzucano tak, by upadła na platformę na szczycie wieży, skąd staczała się do wnętrza, padała na szybko wirujące koło, pęd wyrzucał ją przez któryś z licznych otworów wyciętych w cylindrycznej obudowie, i wtedy należało ją łapać.

- Aż dziw bierze - zadumał się dyrektor, gdy ruszyli dalej - dziw bierze, iż nawet w czasach Pana Naszego Forda większość gier nie wymagała żadnego sprzętu poza jedną czy dwiema piłkami, pewną liczbą kijków i może jeszcze kawałkiem siatki. Pomyślcie tylko, co za głupota pozwalać ludziom na złożone gry, które zarazem nie przyczyniają się w ogóle do wzrostu spożycia. Czyste szaleństwo. Dziś zarządcy nie zezwolą na żadną nową grę, która nie będzie wymagać oprzyrządowania co najmniej takiego jak w najbardziej złożonych spośród już istniejących gier.

Przerwał na chwilę.

- Urocza parka - powiedział wskazując palcem.

Na małym trawiastym skwerku pośród wysokich zarośli wrzosu śródziemnomorskiego dwoje dzieci, chłopczyk może siedmioletni i starsza odeń chyba o rok dziewczynka, zajmowało się pierwszą grą miłosną, nader poważnie i z całą uwagą naukowców skupionych nad rozpracowaniem świeżego odkrycia.

- Urocza, urocza! - powtórzył dyrektor z rozmarzeniem.

- Urocza - zgodzili się uprzejmie chłopcy. Ich uśmiechy miały w sobie jednak odcień wyższości. Zbyt niedawno zarzucili takie dziecinne igraszki, by móc je teraz oglądać bez pogardy. Urocza? Ależ to dwoje głuptasków i tyle. Po prostu dzieciaki.

- Zawsze uważam... - ciągnął dyrektor tym samym afektowanym tonem, ale przerwał mu głośny płacz dziecka.

Spośród pobliskich zarośli wyłoniła się pielęgniarka, prowadząc za rękę wyjącego chłopczyka. Wylękniona dziewczynka dreptała za pielęgniarką.

- Co się dzieje? - zapytał dyrektor.

Pielęgniarka wzruszyła ramionami.

- Nic takiego - odpowiedziała. - Po prostu chłopiec jest niechętny zwykłym grom miłosnym. Zauważyłam to już raz czy dwa. A dzisiaj znowu. Właśnie się rozryczał...

- Jak słowo daję - odezwała się wylękniona dziewczynka. - Ja mu nie chciałam zrobić krzywdy ani w ogóle. Jak słowo daję.

- Oczywiście. że nie chciałaś, kochanie - pocieszała ją. pielęgniarka. - Dlatego - mówiła dalej do dyrektora - prowadzę go do zastępcy kierownika poradni psychologicznej. Żeby stwierdził, czy wszystko jest w porządku.

- Słusznie - powiedział dyrektor. - Proszę go tam zabrać. Ty zostań, dziewczynko - dodał, gdy pielęgniarka odchodziła ze swym ciągle rozryczanym podopiecznym. - Jak się nazywasz?

- Polly Trocka.

- I bardzo pięknie - rzekł dyrektor. - No tu biegaj, spróbuj sobie znaleźć jakiegoś innego chłopczyka do zabawy.

Dziecko skoczyło między krzewy i znikło.

- Wspaniałe stworzonko! - zawołał dyrektor spoglądając za nią. Potem, odwracając się do studentów, mówił:

- To, co teraz wam powiem, może brzmieć niewiarygodnie. Jednakże jeśli nie jest się obznajomionym z historią, większość faktów z przeszłości brzmi niewiarygodnie.

Wyłożył im więc tę zdumiewającą prawdę. Przez bardzo długi okres przed narodzinami Pana Naszego Forda, a nawet przez szereg pokoleń później, dziecięce gry erotyczne uważano za nienormalne (ryk śmiechu); nie tylko nawet za nienormalne - wręcz za niemoralne (nie może być); dlatego surowo je tępiono.

Na twarzach słuchaczy pojawił się wyraz niedowierzania. Nie pozwalano się bawić biednym dzieciakom? Nie mogli uwierzyć.

- Nawet młodzieży - mówił dyrektor RiW nawet młodzieży takiej jak wy...

- Niemożliwe!

- Prócz odrobiny ukrytego autoerotyzmu i homoseksualizmu nie pozwalano na nic.

- Na nic?

- Zwykle aż do dwudziestego roku życia.

- Dwudziestego? - zawtórowali studenci chórem głosów pełnych najwyższej niewiary.

- Dwudziestego - potwierdził dyrektor. - Uprzedzałem, że uznacie to za niewiarygodne.

- A co było potem? - pytali. - Jakie skutki?

- Skutki były straszne. - Głęboki, dźwięczny glos wdarł się w rozmowę.

Rozejrzeli się wokoło. Na skraju grupki stał ktoś obcy - mężczyzna średniego wzrostu, czarnowłosy, o haczykowatym nosie, pełnych czerwonych wargach, oczach ciemnych i nadzwyczaj przenikliwych.

- Straszne - powtórzył.

Dyrektor RiW, który wcześniej przysiadł był na jednej ze stalowych, wyłożonych gumą ławeczek poręcznie rozsianych po ogrodzie, na widok przybysza zerwał się na równe nogi i skoczył naprzód z rozpostartymi ramionami i wylewnym uśmiechem.

- Pan zarządca. Cóż za radosna niespodzianka!

Chłopcy, co tak stoicie? To jest pan zarządca, Jego Fordowska Wysokość Mustafa Mond.

W czterech tysiącach pomieszczeń Ośrodka cztery tysiące elektrycznych zegarów równocześnie wybiło czwartą. Z głośników odezwały się bezcielesne głosy:

„Pierwsza dzienna zmiana wolna. Druga zmiana przejmuje. Pierwsza dzienna zmiana...”

W windzie, w drodze na górę do przebieralni Henryk Foster i wicedyrektor działu przeznaczenia ostentacyjnie odwracali się plecami do Bernarda Marksa z biura psychologicznego: odwracali się od jego niesmacznej reputacji.

Lekki szum i stukot urządzeń nadal wirował w purpurowym powietrzu składu embrionów. Zmiany personelu przychodziły i odchodziły, jedna purpurowa, zniszczona toczniem twarz ustępowała miejsca innej, majestatycznie, uparcie pełzły przenośniki z ładunkiem przyszłych mężczyzn i kobiet.

Lenina Crowne raźno ruszyła ku drzwiom.

Jego Fordowska Wysokość Mustafa Mond! Witającym go studentom oczy wyłaziły z orbit. Mustafa Mond! Zarządca na Europę Zachodnią! Jeden z dziesięciu zarządców świata. Jeden z dziesięciu..., a tu on siada sobie na ławce obok dyrektora RiW, chyba zostanie, tak, zostanie, przemówi do nich... z pierwszej ręki. Z ręki Forda samego.

Dwoje opalonych na brąz dzieci wyłoniło się z zarośli, patrzyło na nich przez chwilę wielkimi, zdziwionymi oczyma, potem powróciło do swoich zabaw pośród listowia.

- Pamiętacie wszyscy - rzekł zarządca swym silnym, głębokim głosem – pamiętacie wszyscy, jak sądzę, ową piękną, natchnioną sentencję Pana Naszego Forda: Historia to bujda. Historia - powtórzył dobitnie - to bujda.

Machnął dłonią; wyglądało to tak, jak gdyby jakąś niewidzialną miotełką z piór zmiótł resztkę kurzu, a ów kurz to była Harappa, to było chaldejskie Ur; jak gdyby zmiótł pajęczynę, a ta pajęczyna to były Teby, Babilon, Knossos i Mykeny. Szur, szur - i nie ma Odyseusza, Hioba, Gautamy i Jezusa. Szur - i znikają resztki starożytnego kurzu zwanego Ateny, Rzym, Jerozolima i Państwo Środka. Szur - i już opróżnione miejsce po Italii. Szur, katedry, szur, szur *Król Lear* i *Myśli* Pascala. Szur, pasja; szur, requiem; szur, symfonia; szur...

- Henryk, idziesz wieczorem na czuciofilm? zapytał wicedyrektor działu przeznaczenia. - Słyszałem, że ten nowy w „Alhambrze" jest znakomity. Jest tam scena miłosna na niedźwiedziej skórze, podobno wspaniała. Odtworzyli każdy włosek sierści. Niezwykłe efekty dotykowe.

- Dlatego właśnie nie uczy się was historii - rzekł zarządca. - Teraz jednak nadeszła chwila...

Dyrektor RiW spojrzał nań z niepokojem. Istniały osobliwe pogłoski o ukrytych w sejfie pracowni zarządcy starych zakazanych książkach. Biblia, poezja - Ford jeden wie co.

Mustafa Mond kątem oka dostrzegł to zaniepokojone spojrzenie i kąciki jego czerwonych warg wygięły się ironicznie.

- W porządku, dyrektorze - powiedział z odcieniem lekkiego szyderstwa w głosie – nie będę ich psuł.

Dyrektor zmieszał się.

Kto czuje się wzgardzony, chętnie sam przybiera pogardliwy wyraz twarzy. Uśmieszek Bernarda Marksa był pogardliwy. Każdy włosek sierści, też coś!

- Będę musiał się wybrać - powiedział Henryk Foster.

Mustafa Mond pochylił się do przodu i dla podkreślenia swych słów potrząsał przed studentami dłonią z wyprostowanym palcem wskazującym.

- Spróbujcie sobie uświadomić, co to znaczyło mieć żyworodną matkę.

Znów nieprzyzwoitość. Teraz jednak żadnemu ze studentów nawet do głowy nie przyszło się uśmiechnąć.

- Spróbujcie sobie wyobrazić, co znaczyło „żyć na łonie rodziny".

Spróbowali. Jednakże najwidoczniej bez żadnego skutku.

- A czy wiecie, co to był „dom rodzinny"?

Potrząsali głowami; nie wiedzą.

Ze swej purpurowej piwnicy Lenina Crowne pofrunęła przez siedemnaście pięter w górę, po wyjściu z windy skręciła w prawo, przeszła długim korytarzem i otwarłszy drzwi z napisem „Przebieralnia żeńska", zanurzyła się w oszałamiający chaos ramion, piersi i bielizny. Strumienie gorącej wody wpadały do setki wanien lub z nich wyciekały. Dudniąc i sycząc osiemdziesiąt aparatów próżniowych do masażu wibracyjnego ugniatało i oblepiało jędrne i opalone ciała osiemdziesięciu doskonałych egzemplarzy samiczych. Każda z kobiet mówiła możliwie najgłośniej. Szafa grająca muzyką syntetyczną sączyła solo superkornetu.

- Cześć Fanny - powiedziała Lenina do młodej kobiety, która miała tuż obok swój wieszak i szafkę.

Fanny pracowała w dziale butlacji i jej nazwisko także brzmiało „Crowne". Jednakże dwumiliardowa populacja globu miała tylko dziesięć tysięcy nazwisk, zbieżność nie była więc zbyt zadziwiająca.

Lenina rozsunęła zamek błyskawiczny - w dół wzdłuż żakietu, dalej oburącz dwa zamki przy spodniach i dalej w dół, aby zdjąć bieliznę. Jeszcze w butach i pończochach skierowała się ku łazienkom.

Dom, dom rodzinny - kilka małych pokoi gęsto zaludnionych przez mężczyznę, kobietę rodzącą co pewien czas oraz przez tabun chłopców i dziewcząt w różnym wieku. Brak powietrza, brak miejsca; nie dość wyjałowione więzienie; mrok, choroby, smród.

(Opowieść zarządcy była tak wyrazista, że jeden z chłopców, bardziej wrażliwy od pozostałych, słuchając pobladł i zbierało mu się na wymioty).

Lenina wyszła z łazienki, wytarła się ręcznikiem do sucha, ujęła wtopioną w ścianę długą giętką rurkę, przystawiła sobie jej wylot do piersi niczym w zamiarze popełnienia samobójstwa i nacisnęła spust. Podmuch gorącego powietrza owionął ją obłokiem najdelikatniejszego pudru. Nad umywalką znajdowało się w zbiornikach osiem różnych odmian perfum oraz woda kolońska. Lenina otworzyła trzeci z lewej kurek, skropiła się szyprem i dzierżąc w dłoni buty i pończochy poszła sprawdzić, czy wolny jest któryś z aparatów do masażu.

A ów dom rodzinny był psychicznie równie nieczysty jak fizycznie. W aspekcie psychicznym była to królicza nora, kupa gnoju rozparzona tarciem się o siebie ciasno upchanego Życia, cuchnąca namiętnościami. Cóż za dławiąca bliskość, jakie niebezpieczne,

obłąkane, nieprzyzwoite stosunki między członkami rodziny! W jak nienormalny sposób matka zajmowała się swoimi dziećmi (swoimi dziećmi)... niczym kotka kociętami; jednakże kotka umiejąca mówić, kotka, która potrafi powtarzać bez przerwy: „moje dziecko, moje dziecko”. „Mój niemowlaczek, och, och, przy piersi, maleńkie łapki, głodniutkie, cóż za niewysłowiona omdlewająca rozkosz! Śpi wreszcie moje dzieciątko, mój niemowlaczek śpi z kropelką białego mleczka w kąciku ust. Mój niemowlaczek śpi...”

- Tak - rzekł Mustafa Mond kiwając głową - dreszcz człowieka przechodzi.

- Z kim spędzasz dzisiaj wieczór? - spytała Lenina, wracając po masażu podobna do perły rozświetlonej od wewnątrz, lśniąca różowawo.

- Z nikim.

Lenina uniosła ze zdziwieniem brwi.

- Ostatnio coś kiepsko się czuję - wyjaśniła Fanny. - Doktor Wells radził mi zażyć substytut ciążowy.

- Ależ kochanie, masz dopiero dziewiętnaście lat. Pierwszy substytut ciążowy obowiązuje dopiero w dwudziestym pierwszym roku życia.

- Wiem, moja droga. Ale dla niektórych lepiej jest zaczynać wcześniej. Doktor Watts powiedział mi, że brunetki o szerokiej miednicy, tak jak ja, powinny brać pierwszy substytut ciążowy w wieku siedemnastu łat. A więc ja mam dwa lata opóźnienia, a nie przyspieszenia.

Otworzyła drzwiczki swej szafki i wskazała na stojący na górnej półce rząd pudełek i flakoników z etykietkami.

- Syrop z *corpus luteum* - czytała na głos Lenina. Ovarin, gwarantowanie świeży; termin ważności 1 sierpnia A.F. 632. Wyciąg z gruczołów mlecznych; stosować trzy razy dziennie przed posiłkami, popić odrobiną wody. Placentyna; stosować dożylnie 5 centymetrów sześciennych raz na trzy dni... Uff! - Lenina wstrząsnęła się. - Nie znoszę zastrzyków, a ty?

- Ja też. Ale skoro pomagają... - Panny była dziewczyną nadzwyczaj rozsądną.

Pan Nasz Ford - albo Pan Nasz Freud, bo z jakiejś niezgłębionej przyczyny nazywał tak siebie, ilekroć mówił o sprawach psychologicznych - a więc Pan Nasz Freud był pierwszym, który ujawnił przeraźliwe zagrożenia spowodowane życiem rodzinnym. Świat pełen był ojców - a stąd pełen marności; pełen był matek - a stąd pełen wszelkiego rodzaju zboczeń, od sadyzmu po czystość płciową; pełen był braci, sióstr, wujków, ciotek – pełen szaleństwa i samobójstw.

- A jednak i dziś, pośród dzikusów z Samoa, na niektórych wyspach w okolicach Nowej Gwinei...

Żar słoneczny kładł się jak gorące piastry miodu na nagich ciałach dzieci pląsających swobodnie wśród kwiatków hibiskusa. Dom rodzinny był w każdej z dwudziestu chat o dachach z palmowych liści. Na wyspach Trobriandzkich poczęcie było dziełem duchów przodków; nikt nigdy nie słyszał o ojcu.

- Skrajności spotykają się - rzekł zarządca. - W gruncie rzeczy taka już ich natura.

- Doktor Wells uważa, że substytut trzymiesięcznej ciąży załatwiłby obecnie problem mojego zdrowia na jakieś trzy lub cztery lata.

- Cóż, może i ma rację - stwierdziła Lenina. - Ale, Fanny, czy ty chcesz przez to powiedzieć, że przez najbliższe trzy miesiące nie będziesz...

- Ależ skąd, moja droga. Najwyżej przez tydzień lub dwa. Wieczorem będę w klubie grać w brydża muzycznego. A ty zapewne wychodzisz?

Lenina potwierdziła skinieniem głowy.

- Z kim?

- Z Henrykiem Fosterem.

- Znowu? - miła, okrągława niczym księżyc twarz Fanny przybrała nietaktownie wyraz bolesnego, pełnego dezaprobaty zdziwienia. - Czy chcesz powiedzieć, że zawsze wychodzisz z Henrykiem Fosterem?

Matki i ojcowie, bracia i siostry. A oprócz tego mężowie, żony, kochankowie. Prócz tego monogamia i miłość.

- Choć wy zapewnie nie wiecie, co to jest - rzekł Mustafa Mond.

Potrząsnęli głowami.

Rodzina, monogamia, miłość. Wszędzie wyłączność, wszędzie zawężanie pola penetracji, rygorystyczne kanalizowanie popędu i energii.

- A przecież każdy należy do każdego - zakończył przywołując hipnopedyczne przysłowie.

Studenci z zapałem przytaknęli stwierdzeniu, które, powtórzone im w mroku sześćdziesiąt dwa tysiące razy, zostało przez nich uznane nie tylko za po prostu prawdziwe, lecz za aksjomat, oczywisty i w najwyższym stopniu poza wszelką dyskusją.

- Ależ - protestowała Lenina - mam Henryka dopiero jakieś cztery miesiące.

- Dopiero cztery miesiące. Dobre sobie. A co gorsza - ciągnęła Fanny, oskarżycielsko wznosząc palec - w ciągu tego okresu prócz Henryka nie było nikogo. Mam rację?

Lenina zaczerwieniła się po uszy, jednakże wzrok, a także ton jej głosu pozostał wyzywający.

- Owszem, nikogo więcej nie było - mówiła w rycz z zaciekłością. - I zupełnie nie pojmuję, dlaczego miałby być.

- Och, ona zupełnie nie pojmuje, dlaczego miałby być - powtórzyła Fanny jakby do niewidzialnego słuchacza za lewym ramieniem Leniny. Potem, nagle zmieniając ton, mówiła dalej: - Mówię serio, naprawdę powinnaś być ostrożna. To strasznie źle wygląda, kiedy się tak chodzi ciągle z tym samym. Kolo czterdziestki, no, trzydziestu pięciu, jeszcze by uszło. Ale w twoim wieku, Lenino! Nie, tak naprawdę nie można! A wiesz przecież, jak bardzo dyrektor potępia wszystko, co zbyt intensywne i długotrwałe. Cztery miesiące z Henrykiem Fosterem, bez żadnego innego mężczyzny... no, ależ byłby wściekły, gdyby się dowiedział...

- Przedstawcie sobie rurkę z wodą pod ciśnieniem. - Przedstawili sobie. – Nakłuwam ją - powiedział zarządca. - Ależ wytrysk!

Nakłuł dwadzieścia razy. Dwadzieścia małych fornann.

- Moje dziecko. Moje dzieciątko...!

- Mamusiu! - szaleństwo jest zaraźliwe.

- Moje kochanie, moje jedyne, najdroższe, najcenniejsze...

Matka, monogamia, miłość. Fontanna strzela wysoko w górę, szalony, pienisty, dziki strumień. Wypierana ciecz ma tylko jedno ujście. Moje kochanie, moje dzieciątko. Nic dziwnego, że ci biedni prenowożytni ludzie byli obłąkani, źli i żałośni. Ich świat nie pozwalał im na beztroskę, nie pozwalał im na zdrowie psychiczne, cnoty, szczęśliwość. A te matki i kochanki, te zakazy, na których respektowanie nie byli przecież uwarunkowani, te pokusy i te wyrzuty sumienia w samotności, te wszystkie choroby i nieustające cierpienie w odosobnieniu, ta niepewność i nędza - sprawiały, że targały nimi silne uczucia. A silnie odczuwając (i to na dodatek w samotności, w beznadziejnej izolacji każdej jednostki), jakże mogli zapewnić sobie stabilność?

- Oczywiście nie musisz go rzucać. Bierz sobie tylko kogoś od czasu do czasu i tyle. On chyba ma inne dziewczyny, prawda?

Lenina potwierdziła.

- Pewnie, że ma. Henryk Foster to absolutny dżentelmen, zawsze umie się znaleźć. A poza tym trzeba pomyśleć o dyrektorze. Wiesz, jak mu zależy...

- Poklepywał mnie dziś po pośladku - przyznała kiwając głową Lenina.

- No widzisz! - triumfowała Fanny. - Teraz widać, o co jemu chodzi. Prawdziwie eleganckie maniery.

- Stabilność - mówił zarządca - stabilność. Nie ma cywilizacji bez stabilności. Nie ma stabilności społecznej bez stabilności indywidualnej. - Jego głos grzmiał niczym trąby. Słuchając go chłopcy czuli, że się rozrastają, że coś ich rozgrzewa od wewnątrz.

Maszyna pracuje, pracuje i musi pracować - ciągle. Śmierć, jeśli się zatrzyma. Miliard kłębił się na skorupie Ziemi. Koła zaczęły się obracać. Po stu pięćdziesięciu latach były już dwa miliardy. Wszystkie koła stop. Po stu pięćdziesięciu tygodniach jest już znowu tylko miliard; tysiąc tysięcy tysięcy mężczyzn i kobiet zmarło z głodu.

Koła muszą obracać się nieustannie, ale nie może się to dziać bez dozoru. Muszą istnieć ludzie do nadzorowania ich ruchu, ludzie tak zrównoważeni jak koła na osiach, ludzie zdrowi, posłuszni, trwale zadowoleni.

Zawodząc: Moje dziecko, moja mamusiu, moje jedyne, jedyne kochanie; jęcząc: Moja wina, mój straszliwy Boże; krzycząc z bólu, mamrocząc w gorączce, opłakując starość i nędzę - jakże mogą nadzorować ruch kół? A skoro nie mogą nadzorować ruchu kół...

Niełatwo pogrzebać lub spalić ciała tysiąca tysięcy tysięcy mężczyzn i kobiet.

- A w ogóle - glos Fanny brzmiał przymiłnie - mieć prócz Henryka jeszcze jednego czy dwóch mężczyzn nie jest ani kłopotliwe, ani niemiłe. I w związku z tym powinnaś postępować nieco bardziej wielogamicznie...

- Stabilność - mówił z naciskiem zarządca - stabilność. Potrzeba pierwsza i ostateczna. Stabilność. Z niej to wszystko.

Gestem ręki wskazał ogrody, wielkie budynki Ośrodka Warunkowania, nagie dzieci igrające wśród zarośli i biegające po trawnikach.

Lenina potrząsnęła głową.

- Ostatnio - stwierdziła z zadumą w głosie jakoś nie miałam ochoty na wielogamiczność. Czasem tak bywa. A ty tego nie odczuwałaś, co, Fanny?

Fanny kiwnęła głową z sympatią i zrozumieniem.

- No tak, ale trzeba się przemóc - powiedziała sentencjonalnie. - Trzeba postępować godnie. W końcu przecież każdy należy do każdego.

- Tak, każdy należy do każdego - powtórzyła powoli Lenina i westchnąwszy umilkła na chwilę; potem ujęła dłoń Fanny i ścisnęła ją lekko. - Masz zupełną rację, Fanny. Jak zwykle. Spróbuję się przemóc.

Popęd zahamowany wylewa, a powódź to uczucia, powódź to namiętność, powódź to nawet szaleństwo: zależy to od siły strumienia, wysokości i wytrzymałości zapory. Strumień nie napotykający przeszkody spływa gładko w dół wytkniętym kanałem aż po spokojny dobrobyt. (Embrion jest głodny; dzień po dniu pompa surogatu krwi niestrudzenie wykonuje swe osiemset obrotów na minutę). Wybutlowane niemowlę płacze; natychmiast zjawia się pielęgniarka z butelką wydzieliny zewnętrznej. W ten przedział czasu między pragnieniem a zaspokojeniem wkrada się uczucie. Trzeba ten przedział skracać, burzyć wszystkie te stare, niepotrzebne bariery.

- Szczęściarze! - zawołał zarządca. - Nie wiedzieć ile kosztowało cierpień, by wasze życie uczynić uczuciowo łatwym; by zabezpieczyć was, na ile to możliwe, przed wszelkim w ogóle uczuciem.

- Ford go prowadzi - mruknął dyrektor RiW. - Wszystko w porządku na tym naszym świecie.

- Lenina Crowne? - zapinając zamek spodni Henryk Foster powtórzył pytanie wicedyrektora przeznaczenia. - Och, to wspaniała dziewczyna. Cudownie sprężysta. Dziwi mnie, że jej nie miałeś.

- Doprawdy nie wiem, czemu tak wyszło - powiedział wicedyrektor przeznaczenia. - Muszę się tym zająć. Przy pierwszej okazji.

Ze swego miejsca po drugiej stronie przebieralni Bernard Marks usłyszał, co tamci mówią, i pobladł.

- Tak prawdę mówiąc - rzekła Lenina - zaczyna mnie już troszeczkę nudzić to codzienne bycie tylko z Henrykiem. - Naciągnęła lewą pończochę. - Znasz Bernarda Marksa? - zapytała tonem, którego absolutna obojętność była najwyraźniej wymuszona.

Fanny patrzyła ze zdumieniem.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że...?

- Czemu nie? Bernard jest alfą-plus. A poza ty m zaprosił mnie na zwiedzanie rezerwatu dzikich. Zawsze chciałam zobaczyć jakiś rezerwat dzikich.

- Ależ... jak on się prowadzi!

- Co mnie obchodzi, jak on się prowadzi?

- Mówią, że nie lubi golfa z przeszkodami.

- Mówią, mówią... - zakpiła Lenina.

- A poza tym spędza większość czasu sam. głosie Fanny brzmiała groza.

- No więc kiedy będzie ze mną, nie będzie sam. A w ogóle, dlaczego wszyscy się na niego uwzięli? Ja tam uważam, że jest uroczy. - Uśmiechnęła się do siebie; jaki absurdalnie nieśmiały! Tak przestraszony, jakby ona była zarządcą świata, a on jakąś przypisaną do miejsca przy taśmie gamma-minus.

- Niech każdy pomyśli o swoim życiu - polecił Mustafa Mond. - Czy któryś z was napotkał kiedyś nieprzebytą przeszkodę?

Odpowiedzią było przeczące milczenie.

- Czy któryś z was był zmuszony przetrwać jakiś długi okres między uświadomieniem sobie pragnienia a jego zaspokojeniem?

- Ee... - zaczął jeden z chłopców i zamilkł.

- No, mów - rzekł dyrektor RiW. - Nie każ czekać jego Fordowskiej Wysokości.

- Kiedyś musiałem czekać prawie cztery tygodnie, zanim dziewczyna, którą chciałem mieć, pozwoliła.

- I w efekcie czułeś silne napięcia?

- Straszne!

- Straszne, otóż to - powiedział zarządca. - Nasi przodkowie byli tak głupi i krótkowzroczni, że kiedy pojawili się pierwsi reformatorzy, oferując uwolnienie ich od tych strasznych napięć, w ogóle nie chcieli mieć z nimi do czynienia.

- Mówią o niej jak o kawałku mięsa - zgrzytał zębami Bernard. - Ten by wziął, tamten by wziął. jak baraninę. Degradacja do postaci baraniny. Powiedziała, że się zastanowi, że da mi w tym tygodniu odpowiedź. Och, Fordzie, Fordzie, Fordzie. - Chętnie by poszedł i tłukł każdego z nich po gębie. Mocno, raz za razem.

- Tak, naprawdę radzę ci jej spróbować - mówił Henryk Foster.

- A na przykład ektogeneza. Pfitzer i Kawaguczi opracowali całą technikę. Ale czy rządy w ogóle się tym interesowały? Nie. Istniało tak zwane chrześcijaństwo. Zmuszano kobiety do żyworództwa.

- On jest brzydki! - stwierdziła Fanny.

- Mnie tam się podoba.

- No i taki mały - skrzywiła się Fanny; mały wzrost był czymś naprawdę okropnym, zazwyczaj cechował kasty niższe.

- Sądzę, że jest bardzo miły - odparła Lenina. - Chciałoby się go pieścić. Rozumiesz. Jak kotka.

Fanny była wstrząśnięta.

- Mówią, że kiedy on był jeszcze w butli, ktoś się pomylił, myślał, że on jest gammą, i dodał alkoholu do jego surogatu krwi. Dlatego jest taki karłowaty.

- Co za bzdury! - Lenina była oburzona.

- Nauczanie przez sen było w Anglii zabronione. Istniał tak zwany liberalizm. Parlament, o ile wiecie, co to było, uchwalił zakaz takiego nauczania. Są na to dowody. Przetrwały mowy o wolności jednostki. Wolność jest nieefektywna i przykra. Wolność to okrągły kołek w kwadratowej dziurze.

- Ależ, mój stary, zapewniam cię, będziesz mile przyjęty. - Henryk Foster klepał wicedyrektora przeznaczenia po plecach. - Przecież w końcu każdy należy do każdego.

Sto powtórzeń przez trzy noce tygodniowo w ciągu czterech lat, pomyślał Bernard Marks, fachowiec od hipnopedii. Sześćdziesiąt dwa tysiące czterysta powtórzeń przeradza się w jedną prawdę. Idioci!

- Albo system kastowy. Ciągle proponowany, ciągle odrzucany. Istniała tak zwana demokracja. Tak jakby ludzie byli równi nie tylko pod względem fizykochemicznym.

- No więc, powiem tylko tyle, że mam zamiar przyjąć jego zaproszenie.

Bernard nienawidził ich, nienawidził. Ale było ich dwóch, byli rośli, byli silni.

- Wojna dziewięcioletnia wybuchła A.F. 141.

- Choćby nawet było prawdą, że mu dodano alkoholu do surogatu krwi.

- Fosgen, chloropikryna, etyl jodoacetowy, dwufenycjanoarsyna, trójchlorometyl chloroformowy, siarczek dwuchloroetylowy. Nie mówiąc o kwasie hydrocjanowym.

- W co jednak nie wierzę - zakończyła Lenina.

- Ryk czternastu tysięcy samolotów sunących zwartym szykiem. Ale na Kurfüstendamm i w Ósmej Dzielnicy Paryża eksplozje bomb wirusowych brzmią nie głośniej niźli strzelanie z papierowych toreb.

- Bo chcę zobaczyć rezerwat dzikich.

- $CH_3C_6H_2(NO_2)_3 + Hg(CNO)_2$ = no, czemu? Ogromnej dziurze w ziemi, rumowisku, strzępom ciała, galaretowatej masie, stopie, nadal obutej, która frunie w powietrzu i ląduje, pac, na środku grządki pelargonii - czerwonych; cóż za wspaniałe widowisko owego łata!

- Lenina, jesteś beznadziejna. Koniec z nami, mam cię dość.

- Szczególnie pomysłowa była rosyjska metoda zatruwania zbiorników wodnych.

Odwrócone do siebie plecami, Fanny i Lenina przebierały się w milczeniu.

- Wojna dziewięcioletnia, wielki krach gospodarczy. Trzeba było wybierać między podjęciem trudu zarządzania światem a destrukcją. Między stabilizacją a...

- Fanny Crowne też jest miła - powiedział wicedyrektor przeznaczenia.

W szkółce zakończyła się lekcja elementarnej świadomości klasowej, głosy dostosowywały właśnie przyszły popyt do przyszłej podaży przemysłowej. „Ubóstwiam latać - szeptały - ubóstwiam latać, uwielbiam nowe ubranka, uwielbiam..."

- Liberalizm, rzecz jasna, zmarł z owrzodzenia, jednakże tak czy owak nie można było działać przemocą.

- W żadnym razie nie tak sprężysta jak Lenina. O, w żadnym razie.

„A stare ubranka są brzydkie - ciągnął niestrudzony szept. - Zawsze wyrzucamy stare ubranka. Lepszy nowy wzór niż łatanie dziur, lepszy nowy wzór niż łatanie dziur, lepszy nowy...”

- Rządzenie to sprawa stołka, nie kołka. Rządzi się przy pomocy mózgu i pośladków, nie pięści. Na przykład: wystąpił spadek konsumpcji dóbr.

- No, jestem gotowa - powiedziała Lenina, lecz Fanny milczała nadal, odwrócona plecami. - Och, pogódźmy się, Fanny, kochanie.

- Każdy mężczyzna, kobieta i dziecko obowiązani byli skonsumować rocznie tyle a tyle. W interesie przemysłu. Jedynym skutkiem...

„Lepszy nowy wzór niż łatanie dziur. Dużo łat, nędzny świat; dużo łat...”

- Któregoś dnia - powiedziała dobitnie Fanny posępną nutą w głosie - będziesz mieć kłopoty.

- Świadomy opór na wielką skalę. Wszystko tylko nie konsumpcja. Powrót do natury.

„Ubóstwiam latać, ubóstwiam latać”.

- Powrót do kultury. Tak, do kultury. Nie konsumuje się wiele, gdy się siedzi i czyta książki.

- Dobrze wyglądam? - spytała Lenina. Jej żakiet wykonany był ze sztucznego jedwabiu w kolorze zieleni butelkowej i lamowany zielonym futerkiem wiskozowym na mankietach i kołnierzu.

- Przy Golders Green karabin maszynowy skosił ośmiuset gwardzistów.

„Lepszy nowy wzór niż łatanie dziur, lepszy nowy wzór niż łatanie dziur”.

Zielone sztruksowe szorty i białe pończoszki z wełny wiskozowej, wywinięte pod kolanem.

- Potem była owa słynna masakra w British Museum. Dwa tysiące miłośników kultury zagazowanych siarczkiem dwuchloroetylu.

Zielono-biała dżokejka ocieniała czoło Leniny; jej buciki były jasnozielone i starannie wyczyszczone.

- Aż w końcu - mówił Mustafa Mond - zarządcy uświadomili sobie, że przemoc nic nie daje. Wolniejsze, lecz nieskończenie bardziej pewne są metody ektogenezy, warunkowania neopawlowowskiego i hipnopedii.

Jej talię zaś opinał wysadzany srebrem zielony pas myśliwski ze sztucznego safianu, wypchany (jako że Lenina nie była bezpłodna) zapasem środków antykoncepcyjnych.

- Wreszcie wykorzystano odkrycia Pfitznera i Kawagucziego. Aktywna kampania przeciw żyworództwu...

- Doskonale! - wykrzyknęła z entuzjazmem Fauny. Nigdy nie umiała długo opierać się urokowi Leniny. - I cóż za niezwykle uroczy pas maltuzjański!

- Wraz ze zwalczaniem Przeszłości; to zaś przez zamykanie muzeów, wysadzanie w powietrze zabytków (na szczęście większość z nich uległa już zniszczeniu podczas wojny dziewięcioletniej), wycofywanie wszelkich książek wydanych przed A.F. 150.

- Muszę sobie załatwić taki sam - powiedziała Fanny.

- Istniały na przykład tak zwane piramidy.

- Mój stary czarno lakierowany bandolecik.

- I człowiek nazwiskiem Szekspir. Oczywiście nigdy o nim nie słyszeliście.

- To po prostu wstyd, ten mój bandolet.

- Takie są korzyści prawdziwie naukowej edukacji.

- „Dużo łat, nędzny świat; dużo lat, nędzny...”

- Wprowadzenie pierwszego T-modelu, dzieła Pana Naszego Forda...

- Mam go już prawie trzy miesiące.

- ... uznano za początek nowej ery.

- „Lepszy nowy wzór, niż łatanie dziur, lepszy nowy...”

- Istniało, jak już mówiłem, tak zwane chrześcijaństwo.

- „Lepszy nowy wzór, niż łatanie dziur”.

- Etyka i filozofia podkonsumpcji...

„Uwielbiam nowe ubranka, uwielbiam nowe ubranka, uwielbiam...”

- Nader istotna w warunkach niedoprodukcji, jednakże w wieku maszyn i wiązania azotu z pierwiastkami - prawdziwa zbrodnia przeciw społeczeństwu.

- Henryk Foster mi go dał.

- Górne części wszystkich krzyży obcinano, tak by powstał kształt litery „T”. Istniał tak zwany Bóg.

- To imitacja safianu.

- Teraz mamy Republikę Świata. I obchody Dnia Forda, śpiewy wspólnotowe i posługi solidarnościowe.

- O, Fordzie, jak ja ich nienawidzę! - myślał Bernard Marks.

- Istniały tak zwane niebiosa; mimo to jednak pito ogromne ilości alkoholu.

- Jak mięso, po prostu jak mięso.

- Istniała tak zwana dusza i tak zwana nieśmiertelność.

- Spytaj Henryka, gdzie go zdobył.

- Niemniej zażywali morfinę i kokainę.

- A co gorsza ona sama traktuje siebie jak mięso.

- Roku Fordowskiego 178 subsydiowano dwa tysiące farmakologów i biochemików.

- Co on taki skwaszony? - powiedział wicedyrektor przeznaczenia wskazując na Bernarda Marksa.

- W sześć lat później ruszyła produkcja rynkowa. Lek doskonały.

- Podrażnimy się z nim.

- O działaniu wywołującym stan euforyczny, narkotyczny, wizjogenny.

- Oj, Marks, jaki skwaszony. - Drgnął, klepnięty w plecy i podniósł wzrok. To ten brutal Henryk Foster. - Przydałaby ci się chyba odrobina somy.

- Wszystkie zalety chrześcijaństwa i alkoholu, żadnej z ich wad.

„O, Fordzie, chętnie bym go zabił”, ale jedyne, co powiedział, to: „Nie, dziękuję”, i odsunął podawaną mu fiolkę tabletek.

- Uwalniamy się od rzeczywistości, kiedy tylko zechcemy, i takoż wracamy, bez bólu głowy i bez potrzeby mitologii.

- No weź - nalegał Henryk Foster. - Bierz.

- Stabilność została w faktyczny sposób zapewniona.

- J eden sześcienny centymetr i znika ponury sentyment - powiedział wicedyrektor przeznaczenia, cytując hipnopedyczną sentencję.

- Pozostawało już tylko usunąć starość.

- A niech cię, ty...! - krzyknął Bernard Marks.

- O, ho, ho!

Hormony gruczołowe, transfuzja młodej krwi, sole magnezu...

- I pamiętaj, lepsza mikstura niż awantura. - Wyszli ze śmiechem z przebieralni.

- Usunięto wszelkie objawy starości. A wraz z nimi, rzecz jasna...

- Nie zapomnij zapytać go o ten pas maltuzjański - powiedziała Fanny.

- Wraz z nimi wszystko, co charakterystyczne dla starczego umysłu. Psychika pozostawała niezmienna przez całą długość życia.

- ... odbyć przed zmierzchem dwie rundy golfa z przeszkodami. Muszę pędzić.

- Praca, zabawa... po sześćdziesiątce nasze siły i gusta pozostają takie jak w wieku lat siedemnastu. W dawnych złych czasach starzy ludzie usuwali się z życia, szli na emeryturę, poświęcali się religii, spędzali czas na myśleniu... na myśleniu!

- Idioci, wieprze! - mówił do siebie Bernard Marks, idąc korytarzem do windy.

- Dziś, oto postęp, starzy ludzie pracują, starzy ludzie kopulują, starzy ludzie nie mają czasu, nie maję chwili wytchnienia od przyjemności, okazji do tego, by usiąść i zacząć rozmyślać; gdyby zaś przez nieszczęśliwy przypadek pojawiła się taka szczelina czasu w spoistej substancji ich rozrywek, zawsze pozostaje soma, rozkoszna soma, pół grama na popołudnie, gram na weekend, dwa gramy na podróż na przewspaniały Wschód, trzy na mroczną wieczność na księżycu; wracając znajdą się już po drugiej stronie szczeliny, bezpieczni, na twardym gruncie codziennej pracy i rozrywek, biegając z jednego czuciofilmu na drugi, od jednej sprężystej dziewczyny do innej, od zawodów elektromagnetycznego golfa do...

- Idźże stąd, dziewczynko krzyknął nieco gniewnie dyrektor RiW. - Chłopczyku, odejdź stąd! Nie widzicie, że Jego Fordowska Wysokość jest zajęta? Bawcie się gdzie indziej w waszą grę miłosną.

- Biedne dzieciaczki! - powiedział zarządca.

Powoli, majestatycznie, z cichym poszumem maszynerii sunęły naprzód przenośniki, trzydzieści trzy centymetry na godzinę. W czerwonym półmroku lśniły niezliczone rubiny.

ROZDZIAŁ CZWARTY

§ 1

Winda była pełna mężczyzn z przebieralni alf i wchodzącą Leninę powitało wiele życzliwych uśmiechów i skinięć głową. Była bardzo lubiana i z prawie każdym spośród tych mężczyzn zdarzyło jej się spędzić noc.

Są przemili, myślała odpowiadając na powitania. Uroczy chłopcy! Choć, prawdę mówiąc, wolałaby, żeby uszy Jerzego Edzela nie były takie duże (może na trzysta dwudziestym Ósmym metrze dano mu o kropelkę za dużo paratyroidu?). A patrząc na Benita Hoovera nie mogła się pozbyć myśli, że gdy zdejmie ubranie, widać, iż jest naprawdę zbyt owłosiony.

Odwracając twarz ze wzrokiem nieco posmutniałym od wspomnień czarnej gęstwiny owłosienia Benita, dojrzała w kącie małe szczupłe ciało i melancholijną twarz Bernarda Marksa.

- Bernard! - podeszła do niego - właśnie cię szukałam. - Jej glos zadźwięczał czysto wśród poszumu windy. Inni obejrzeli się zaciekawieni. - Chciałam z tobą pomówić o naszych planach co do nowego Meksyku. - Kątem oka dostrzegła wgapionego w nią ze zdumieniem Benita Hoovera. Rozdrażniło ją to jego spoglądanie. „Zdziwiony, że jego nie proszę o następne spotkanie!”, powiedziała w myśli do siebie. Potem głośno i tonem cieplejszym niż zwykle mówiła dalej:

- Byłoby wspaniale wyjechać z tobą w lipcu na jakiś tydzień. - (No cóż, publicznie daje wyraz swej niewierności wobec Henryka. Fanny powinna być zadowolona, choćby to był tylko Bernard). - To znaczy - Lenina posłała mu znaczący uśmiech, najbardziej czarowny, jaki tylko mogła przywołać - jeśli nadal mnie chcesz.

Bladą twarz Bernarda okrył gwałtowny rumieniec. „Co u licha?” zdumiała się Lenina, poruszona jednakże tym osobliwym hołdem dla swej władzy.

- Czy nie byłoby lepiej porozmawiać o tym gdzie indziej? - jąkał się, straszliwie zakłopotany.

„Czy mówię coś niestosownego? - pomyślała Lenina. - Nie mógłby się bardziej stropić, gdybym powiedziała jakiś nieprzyzwoity żart, na przykład zapytała go, kto był jego matką, czy coś w tym rodzaju”.

- Bo wobec tych ludzi tutaj... - jąkał zmieszany przez ściśnięte gardło.

Lenina roześmiała się szczerze i wcale nie złośliwie.

- Ależ jesteś zabawny! - zawołała, uznawszy go w myśli za naprawdę zabawnego. - Uprzedzisz mnie na przynajmniej tydzień wcześniej, dobrze? - mówiła dalej innym już tonem. - Sądzę, że polecimy chyba Błękitną Pacyficzną? Czy ona startuje z wieży na Charing-T? A może z Hampstead?

Nim Bernard zdążył odpowiedzieć, winda zatrzymała się.

- Dach! - zabrzmiał piskliwy głos.

Windziarz był niskim, małpim stworkiem ubranym w czarną tuniko półkretyna epsilona-minus.

- Dach!

Rozwarł drzwi. Uderzyły weń gorące promienie popołudniowego Słońca; zamrugał oczami. „Ooo, dach!", powtórzył zachwycony. Wyglądał jak nagle radośnie przebudzony z mrocznego, unicestwiającego odrętwienia. „Dach!"

Uśmiechał się ku twarzom pasażerów pełen psiego, pełnego nadziei uwielbienia. Rozmawiając i śmiejąc się wyszli z windy na rozświetlony teren. Windziarz spoglądał za nimi.

- Dach? - powtórzył znowu, tym razem pytająco.

Zadźwięczał dzwonek i głośnik u sufitu windy zaczął wydawać polecenia tonem bardzo łagodnym, ale bardzo władczym.

„Zjeżdżaj w dół - mówił - zjeżdżaj w dół. Piętro osiemnaste. Zjeżdżaj w dół, zjeżdżaj w dół. Piętro osiemnaste. Zjeżdżaj w dół, zjeżdżaj..."

Windziarz zatrzasnął drzwi, nacisnął guzik i natychmiast zapadł na powrót w szemrzący półmrok szybu, półmrok jego zwykłego otępienia.

Na dachu było gorąco i słonecznie. Powietrze letniego popołudnia pełne było brzęczenia helikopterów, niższy zaś w tonie pomruk niewidocznych rakiet sunących po jasnym niebie na wysokości pięciu czy sześciu mil pieścił ucho w delikatnym powietrzu. Bernard Marks odetchnął głęboko. Spojrzał w niebo, ogarnął wzrokiem błękitny horyzont, a w końcu zatopił spojrzenie w twarzy Leniny.

- Czyż nie cudownie! - głos drżał mu nieco. Uśmiechnęła się do niego z wyrazem całkowitego zrozumienia.

- Doskonałe warunki na golfa z przeszkodami - odpowiedziała z uniesieniem. – Ale teraz, Bernardzie, muszę już pędzić. Henryk się złości, gdy każę mu czekać. Daj mi niedługo znać o terminie wyjazdu.

I skinąwszy dłonią na pożegnanie, pobiegła przez płaski dach ku hangarom. Bernard stał patrząc na oddalające się migotanie białych pończoszek, na żywy, energiczny ruch

opalonych kolan, raz, dwa, raz, dwa, na mniej żywy ruch fałd tych jej opiętych sztruksowych szortów pod żakietem barwy zieleni butelkowej. Twarz Bernarda przybrała wyraz cierpienia.

- Naprawdę miła dziewczyna - zabrzmiał za jego plecami mocny i pogodny glos.

Bernard drgnął i obejrzał się. Pochylona nad nim pyzata, rumiana twarz Benita Hoovera uśmiechała się doń - uśmiechała się z jawną serdecznością. Benito był niepoprawnie dobroduszny. Ludzie mówili o nim, że idzie przez życie nawet nie dotykając somy. Złość i złe nastroje, od których inni ludzie musieli się dopiero uwalniać, do niego w ogóle nie miały dostępu. Dla Benita rzeczywistość była zawsze słoneczna.

- A przy tym sprężysta. I to jak! - Potem zaś, innym już tonem: - Ale zdaje się, że coś ci doskwiera. Przydałaby ci się chyba odrobina somy. - Benito sięgnął do prawej kieszeni spodni i wyjął fiolkę. - jeden sześcienny centymetr i znika ponury... hej, co się dzieje?

Bernard odwrócił się nagle i uciekł.

Benito spoglądał za nim.

„Co się stało temu facetowi?" - zadumał się i kiwając głową uznał, że plotka o alkoholu dodanym do surogatu krwi tego chłopca musi być prawdziwa.

„Uszkodzony mózg zapewne".

Schował fiolkę somy, wyjął gumę do żucia nasyconą hormonami płciowymi i wypchawszy sobie nią policzki, przeżuwając ruszył powoli ku hangarom.

Henryk Foster wytoczył swą maszynę z hangaru i gdy Lenina nadeszła, czekał już na nią siedząc w kabinie pilota.

- Cztery minuty spóźnienia - tyle tylko powiedział, gdy wdrapała się do środka i usiadła obok niego. Włączył silnik i uruchomił śmigła helikoptera. Maszyna wystrzeliła pionowo w górę. Gdy Henryk dodał gazu, pomruk śmigła przeszedł z buczenia szerszenia w buczenie osy, z brzęczenia osy w bzyczenie komara; szybkościomierz wskazywał, że wznoszą się z prędkością dwóch kilometrów na minutę. W dole pod nimi Londyn malał. W ciągu paru sekund ogromne budowle o wielkich blatach dachów stały się zaledwie kępą kwadratowych grzybów wyrastających z zieleni parków i ogrodów. Pośrodku nich, na cienkiej nóżce, wyższa i smuklejsza wieża na Charing-T zwracała się ku niebu dyskiem lśniącego cementu.

Jak rozmyte we mgle torsy baśniowych atletów ogromne mięsiste chmury tkwiły na błękitnym niebie nad ich głowami. Z jednej z nich wynurzył się nagle mały purpurowy owad i opadał z brzęczeniem.

- O, Czerwona Rakieta - powiedział Henryk - leci z Nowego Jorku. - Spojrzał na zegarek i dodał potrząsając głową: - Siedem minut spóźnienia. Te połączenia atlantyckie są wprost skandalicznie niepunktualne.

Zdjął stopę z pedału gazu. Pomruk śmigła nad ich głowami opadł o półtorej oktawy, z powrotem poprzez buczenie trzmiela, chrabąszcza, jelonka. Pęd maszyny ku górze osłabł; w chwilę później zawiśli nieruchomo w powietrzu. Henryk pchnął dźwignię; rozległ się szczęk. Najpierw powoli, potem szybciej i szybciej przednie śmigło zaczęło się obracać, aż jego kształt rozpłynął się w kolistą smugę. Coraz silniej gwizdał na statecznikach wiatr wzbudzony ruchem poziomym, Henryk wpatrywał się w obrotomierz; gdy strzałka dotarła do kreski „tysiąc dwieście" wyłączył śmigła. Maszyna nabyła wystarczająco wiele pędu poziomego, by dalej posuwać się już samą siłą bezwładu.

Lenina spojrzała przez okno w podłodze pod jej stopami. Lecieli nad sześciokilometrowym pasem parków, oddzielającym Londyn Centralny od pierwszego pierścienia przedmieść. Roślinność o skróconym okresie życia wyglądała dziwacznie. Szeregi wież do gry „bąk do rąk" lśniły pośród drzew. Obok Shepherd's Bush dwa tysiące par mieszanych złożonych z bet-minus grało w „tenisa na powierzchni sfery riemannowskiej". Rzędy kortów do gry w tenisa przesuwanego rozciągały się po obu stronach głównej drogi z Notting Hill do Willesden. Na boisku w Ealing odbywały się pokazy gimnastyczne w wykonaniu delt oraz śpiewy wspólnotowe.

- Jakiż wstrętny jest kolor khaki - zauważyła Lenina, dając wyraz hipnopedycznym poglądom swojej kasty.

Zabudowania czuciostudia w Hounslow zajmowały siedem i pół hektara. W pobliżu armia pracowników w strojach koloru czarnego oraz khaki trudziła się układaniem nowej szklanej nawierzchni na Wielkiej Drodze Zachodniej. Gdy przelatywali, właśnie wylewano jeden z ogromnych tygli samojezdnych. Stopiony kamień wypływał na drogę strumieniem oślepiającej lawy; azbestowe walce jeździły tam i z powrotem; za posuwającym się za nim w pewnej odległości nawilżaczem para rosła białymi kłębami.

Koło Brentford Zakłady Zrzeszenia Telewizyjnego wyglądały jak małe miasto.

- Teraz pewnie mają przerwę zmianową - odezwała się Lenina.

Jak mszyce i mrówki, zielone niczym liście dziewczęta-gammy i czarni półkretyni roili się koło wyjść lub stali w kolejkach do tramwajów jednoszynowych. Bety-minus o barwie morwy maszerowały pośród tłumu. Dach głównego budynku pełen był ruchu lądujących i startujących helikopterów.

- Ojej - zawołała Lenina tak się cieszę, ze nie jestem gammą.

W dziesięć minut później byli już w Stoke Poges i mogli zacząć pierwszą rundę golfa z przeszkodami.

§ 2

Ze spuszczonymi oczyma, ze wzrokiem umykającym natychmiast, gdy tylko napotkał on zarys sylwetki człowieka, spieszył Bernard przez dach. Zachowywał się jak ktoś ścigany, jednakże ścigany przez wrogów, których nie chce widzieć, by się nie przekonać, że są jeszcze bardziej wrodzy, niż przypuszczał, i by nie zostać wpędzonym w jeszcze większe poczucie winy i jeszcze bardziej beznadziejną samotność.

„Ten okropny Benito Hoover!" A przecież chciał jak najlepiej. Co zresztą w pewnym sensie pogarsza tylko sprawę. Ci, co chcą dobrze, postępują w taki sam sposób jak ci, co chcą źle. Nawet Lenina przyprawia go o cierpienie. Pomyślał o owych tygodniach wahań spowodowanych nieśmiałością, kiedy to patrzył, tęsknił i rozpaczał sądząc, że nigdy nie odważy się jej poprosić. Czy podejmie ryzyko poniżenia poprzez pełną pogardy odmowę? Ale jeśli ona powie „tak", jakaż to będzie radość. Cóż, powiedziała „tak", a on nadal był nieszczęśliwy, . bo ona dzisiejsze popołudnie uznała za doskonałe do gry w golfa z przeszkodami, bo pobiegła na spotkanie z Henrykiem Fosterem, bo uznała jego, Bernarda, za zabawnego z tego tylko powodu, że nie chciał rozmawiać publicznie o ich najbardziej intymnych sprawach. Jednym słowem, nieszczęśliwy, bo zachowała się tak, jak każda zdrowa i obyczajna angielska dziewczyna powinna się zachować, nie zaś w jakiś inny, nienormalny, osobliwy sposób.

Otworzył drzwi swego hangaru i wezwał snujących się w pobliżu dwóch posługaczy, delty-minus, by wytoczyli jego maszynę na środek dachu. Hangary byk obsługiwane przez jedną grupę Bokanowskiego, i mężczyźni byli to bliźniacy jednakowo mali, czarni i brzydcy. Bernard wydawał polecenia ostrym, aroganckim, a nawet obraźliwym tonem kogoś, kto nie czuje się zbyt pewien swojej wyższości. Kontakt z członkami kast niższych zawsze był dla Bernarda doświadczeniem w najwyższym stopniu przygnębiającym. Z jakichś powodów bowiem (może rzeczywiście z powodu tej historii z alkoholem w surogacie krwi - nie sposób przecież całkowicie uniknąć nieszczęśliwych wypadków) Bernard miał wygląd niewiele lepszy niż przeciętny gamma. Był o siedem centymetrów niższy od typowego alfy, ciało zaś miał wątłe. Kontakt z przedstawicielami kast niższych przypominał zawsze Bernardowi o tym bolesnym fakcie braków jego cielesności. „Wolałbym być inny", jego przygnębiająca samoświadomość była dlań bezlitosna. Ilekroć spostrzegał się, że jego wzrok zamiast spoglądać z góry patrzy poziomo w twarz delty, odczuwał upokorzenie. Czy te stwory będą go traktować z respektem należnym jego kaście? Pytanie to dręczyło go nieustannie. I nie bez powodu. Gammy, delty i epsilony były bowiem do pewnego stopnia warunkowane na

kojarzenie dorodności ciała ze społeczną wyższością. W gruncie rzeczy cień przekonania, rodem z hipnopedii, o tym, że wzrost jest wartością, obecny był u wszystkich. Stąd śmiech kobiet, którym robił propozycje, stąd głupie kawały mężczyzn z jego kasty. Kpiny sprawiały, że czuł się obco, uczucie obcości zaś - że zachowywał się w sposób, który jeszcze bardziej wzmagał uprzedzenia doń oraz pogłębiał pogardę i niechęć spowodowaną jego defektami fizycznymi. To znów wzmagało w nim poczucie wyobcowania i samotności. Chroniczny łęk przed lekceważeniem kazał mu unikać ludzi z jego kasty, kazał mu z całą świadomością dbać o swoją godność wobec kast niższych. Jakże mocno zazdrościł mężczyznom takim, jak Henryk Foster czy Benito Hoover! Mężczyznom, którzy nie musieli krzyczeć na epsilona, żeby wyegzekwować polecenia; mężczyznom, których pozycja była oczywista, mężczyznom, którzy w systemie kastowym czuli się jak ryby w wodzie - do tego stopnia zadomowieni, że nawet nie uświadamiali sobie swej sytuacji czy też uprzywilejowanego i wygodnego miejsca, jakie w tym systemie zajmowali.

Niechętnie, jak mu się wydało, i opieszale dwóch posługaczy bliźniaków wytoczyło jego maszynę na dach.

- Szybciej! - zawołał poirytowany Bernard. jeden z nich łypnął na niego. Czyżby odcień jakiegoś zwierzęcego szyderstwa w tych tępych szarych oczach?

- Szybciej! - krzyknął jeszcze donośniej i jego głos nieprzyjemnie zachrypiał.

Wdrapał się na maszynę i w minutę później szybował na południe, ku rzece.

W sześćdziesięciopiętrowym budynku przy Fleet Street mieściły się rozmaite biura propagandy oraz Instytut Inżynierii Emocyjnej. W suterenie i na niższych piętrach miały swe redakcje i biura trzy wielkie gazety londyńskie – „Cogodzinna Depesza", dziennik kasty wyższej, bladozielona „Gazeta Gammowska" oraz drukowane na papierze koloru khaki i złożone tylko z wyrazów jednosylabowych „Zwierciadło Delty". Wyżej mieściły się biura propagandy: telewizyjnej, czuciofilmowej i propagandy poprzez syntetyczny śpiew i muzykę - wszystkiego dwadzieścia dwa piętra. Nad nimi znajdowały się laboratoria badawcze oraz dźwiękoszczelne pokoje, w których wykonywali swą finezyjną pracę realizatorzy ścieżki dźwiękowej i kompozytorzy muzyki syntetycznej. Górne osiemnaście pięter zajmował Instytut Inżynierii Emocyjnej.

Bernard wylądował na dachu Domu Propagandy i wysiadł.

- Zadzwoń na dół do pana Helmholtza Watsona - polecił portierowi, gammie-plus – i powiedz mu, że pan Bernard Marks czeka na niego na dachu.

Usiadł i zapalił papierosa.

Helmholtz Watson właśnie pisał, gdy dotarła do niego wiadomość.

- Przekaż, że zaraz będę - powiedział i odwiesił słuchawkę. Potem zwrócił się do swej sekretarki tym samym oficjalnym i bezosobowym tonem: - Pójdę teraz załatwić swoje sprawy - i nie zwracając uwagi na jej promienny uśmiech wstał i ruszył żwawo do drzwi.

Był to mężczyzna mocno zbudowany, barczysty, o szerokiej piersi, zwalisty, a jednak szybki w ruchach, sprawny i zwinny. Krągła silna kolumna szyi utrzymywała piękną głowę. Włosy miał ciemne, kędzierzawe, rysy silnie zaznaczone. Był przystojny w sposób przekonywający i podniosły, w każdym calu alfa-plus, jak niestrudzenie powtarzała jego sekretarka. Z zawodu był wykładowcą w Instytucie Inżynierii Emocyjnej (Wydział Literacki), zaś w czasie wolnym od zajęć dydaktycznych wykonywał prace inżyniera emocyjnego. Pisywał regularnie do ‚Codziennej Depeszy", pisał scenariusze czuciowe i miał najlepszy zmysł do chwytliwych haseł i hipnopedycznych rymów.

- Zdolny - brzmiała opinia jego przełożonych. - Może nawet - tu kiwali głowami, znacząco zniżając głos - nieco zbyt zdolny.

Tak, nieco zbyt zdolny; mieli rację. Przerost umysłu wywołał u Helmholtza Watsona efekty bardzo podobne do tych, które u Bernarda Marksa były wynikiem defektu fizycznego. Zbyt drobne kości i zbyt mała tężyzna wyobcowały Bernarda spośród jego kolegów, zaś poczucie tej obcości, stanowiące w świetle panujących przekonań przerost umysłu, stało się ze swej strony przyczyną postępującej separacji. Tym, co wywoływało u Helmholtza nader niewygodną samoświadomość, były owe zdolności. Obu mężczyzn łączyło przekonanie o własnym niepowtarzalnym indywidualizmie. Jednakże o ile fizycznie niedorozwiniętego Bernarda przez całe życie dręczyła świadomość bycia odmieńcem, o tyle Helmholtz Watson dopiero niedawno uświadomił sobie swą przewagę umysłową, a na tej podstawie uświadomił sobie także swą odmienność od otaczających go ludzi. Ten champion gry w tenisa przesuwanego, ten niestrudzony kochanek (mówiono, że w ciągu czterech lat miał sześćset czterdzieści dziewcząt), ten powszechnie podziwiany działacz i najwspanialszy lew salonowy uświadomił sobie nagle, że sport, kobiety, działalność społeczna zeszły u niego na drugi plan. Tak naprawdę to zajmowało go coś innego. Ale co? To był właśnie problem, który Bernard miał z nim przedyskutować - a raczej raz jeszcze posłuchać monologu swego przyjaciela, jako że to Helmholtz zawsze mówił.

Trzy urocze dziewczyny z Biura Propagandy Poprzez Syntetyczny Śpiew zastąpiły mu drogę, gdy wychodził z windy.

- O, Helmholtz, kochany, pojedź z nami na piknik do Exmoor. - Spog1ądaly na niego błagalnym wzrokiem.

- Nie, nie - potrząsał głową przepychając się pomiędzy nimi.

- Nie zapraszamy żadnego innego mężczyzny.

Ale Helmholtz pozostał niewzruszony nawet wobec tak ponętnej perspektywy.

- Nie - powtórzył. - Jestem zajęty.

I zdecydowanym krokiem ruszył dalej. Dziewczęta dreptały za nim. Dopiero gdy wsiadł do maszyny Bernarda i zatrzasnął drzwi, dały mu spokój. Nie bez pełnych zawodu wymówek.

- Ach, te kobiety! - powiedział, gdy pojazd wznosił się w górę. - Te kobiety! – Pokiwał głową, zmarszczył brwi.

- Okropne. - Bernard obłudnie przyznał mu rację, myśląc przy tym w duchu, że chciałby mieć tyle dziewcząt co Helmholtz i to tak małym wysiłkiem. Ogarnęła go nagle silna potrzeba pochwalenia się:

- Zabieram Leninę Crowne do Nowego Meksyku - powiedział tonem najbardziej obojętnym, na jaki potrafił się zdobyć.

- Aha - rzekł Helmholtz zupełnie nie zainteresowany.

- W ciągu ostatnich dwu tygodni zrezygnowałem z wszelkiej działalności społecznej i ze wszystkich moich dziewcząt. Nie masz pojęcia, jaka się z tego zrobiła afera w Instytucie. Niemniej sądzę, że warto było. Efekty... - zawahał się na chwilę. - No więc, efekty są dziwne, bardzo dziwne.

Fizyczne niezaspokojenie może spowodować rozrost aktywności umysłowej. Proces jest, jak się zdaje, odwracalny. Rozrost aktywności umysłowej może, ze względu na własny interes, wytworzyć dobrowolną ślepotę i głuchotę rozmyślnej samotności, sztuczną impotencję ascety.

Resztę krótkiego lotu odbyli w milczeniu. Kiedy przybyli na miejsce i wyciągnęli się wygodnie na sprężystych kanapach w pokoju Bernarda, Helmholtz zaczął mówić dalej.

- Czy miałeś kiedyś uczucie - zapytał, starannie dobierając słowa - jak gdyby coś tkwiło w twoim wnętrzu, czekając tylko, aż pozwolisz temu czemuś się wydobyć? Coś jak nadmiar mocy, którego nie wykorzystujesz.., no, wiesz, jak woda, która spada swobodnie w dół, zamiast poruszać turbiny? - spojrzał pytająco na Bernarda.

- Chodzi ci o przeżycie emocjonalne, które można by odczuwać w pewnych odmiennych warunkach?

Helmholtz potrząsnął głową.

- Niezupełnie. Myślę o dziwnym Uczuciu, jakie czasami miewam, uczuciu, że mam coś ważnego do powiedzenia i że mam dość sił na to... tyle tylko, że nie wiem, co to jest, i nie mogę tej siły użyć. Gdyby istniał jakiś inny sposób pisania... albo coś innego, o czym by

można pisać... – Zamilkł na chwilę, potem mówił dalej: - Bo widzisz, dobrze mi idzie wymyślanie zdać, rozumiesz, słów, które człowieka aż podrywają, jak wtedy gdy siadasz na pinezce, wydają się takie nowe i ekscytujące, nawet gdy dotyczą czegoś hipnopedycznie oczywistego. Ale to nie wystarcza. Nie wystarcza, że zdania są dobre, dobre powinno być też to, co się z nimi robi.

- Ależ, Helmholtz, ty przecież robisz dobre rzeczy.

- Ach, tylko w pewnych granicach - Helmholtz wzruszył ramionami. - A te granice są takie wąskie. Nie ma tam wystarczającej istotności, tak to jakoś wygląda. Czuję, że mógłbym robić coś znacznie istotniejszego. Tak, i bardziej gorącego, bardziej namiętnego. Ale co? Co bardziej ważnego jest do powiedzenia? I jakże można namiętnie odnieść się do rzeczy, o których mam za zadanie pisać? Słowa mogą być jak promienie Roentgena; jeśli używać ich właściwie, przenikną wszystko. Czytasz i słowa cię przeszywają. To jest jedna z rzeczy, których staram się nauczyć moich studentów: jak pisać, by słowa działały przeszywająco. Ale cóż u licha dobrego w tym, że przeszywa cię artykuł o śpiewach wspólnotowych lub o najnowszych udoskonaleniach organów węchowych? A poza tym, czy można uczynić słowo naprawdę przeszywającym - wiesz, jak najtrwardsze promienie Roentgena - kiedy piszesz o takich rzeczach? Czy można powiedzieć coś o niczym? Do tego się to wszystko sprowadza. Próbuję ciągle i...

- Ćśś... - syknął nagle Bernard i uniósł ostrzegawczo palec; nasłuchiwali. - Zdaje się, że ktoś jest za drzwiami - szepnął Bernard.

Helmholtz wstał, przeszedł na palcach przez pokój i nagłym szarpnięciem otworzył szeroko drzwi. Oczywiście nikogo tam nie było.

- Przepraszam - powiedział Bernard; czuł się nieznośnie głupio i takoż wyglądał. - Trochę jestem chyba znerwicowany. Kiedy ludzie są wobec ciebie podejrzliwi, sam stajesz się podejrzliwy wobec nich.

Przetarł dłonią oczy i westchnął; w jego głosie pojawiły się tony skargi. Usprawiedliwiał się. - Gdybyś ty wiedział, ile musiałem znieść ostatnio - powiedział niemal płaczliwie, a przypływ żalu nad sobą był jak nagle uwolnione źródło. - Gdybyś ty wiedział!

Helmholtz Watson słuchał z pewną dozą zażenowania. „Biedny Bernard”, myślał w duchu. Równocześnie jednak czuł wstyd za przyjaciela. Wolałby, żeby Bernard okazywał nieco więcej godności.

ROZDZIAŁ PIĄTY

§1

O ósmej zaczęło się ściemniać. Głośniki na wieży w Stoke Poges superdonośnie obwieszczały zamykanie boisk. Lenina i Henryk przerwali grę i ruszyli z powrotem w stronę klubu. Z pastwisk należących do Trustu Wydzielin Wewnętrznych i Zewnętrznych dobiegał ryk tysięcy krów, które swoimi gruczołami i swoim mlekiem zapewniały surowiec wielkim zakładom w Farhham Royal.

Nieprzerwane bzyczenie helikopterów wypełniało półmrok. Co dwie i pół minuty dzwonek i gwizdki ogłaszały odjazd jednego z lekkich pociągów jednoszynowych, które odwoziły do stolicy amatorów golfa z kast niższych, grających na specjalnie wydzielonym terenie.

Lenina i Henryk wsiedli do swego pojazdu i wystartowali. Na wysokości ośmiuset stóp Henryk zwolnił obroty śmigła i na minutę lub dwie zawiśli nad pogrążającym się w mroku krajobrazem. Las koło Burnham Beeches na kształt wielkiego jeziora mroku sięgał jasnego skraju zachodniej części nieboskłonu. Purpurowe na linii horyzontu promienie chodzącego słońca bladły, poprzez pomarańcz po barwę żółtą i wysoko w górze bladą, wodnozielonkawą. Na północy, za lasem, wyrastały ponad drzewa zakłady Trustu Wydzielin, z każdego okna dwudziestopiętrowej budowli błyskając silnym światłem elektrycznym. W dole pod helikopterem rozciągały się zabudowania Klubu Golfowego ogromne baraki dla kast niższych i, po drugiej stronie muru, mniejsze domy zastrzeżone dla alf i bet. Przejścia na perony przystanku jednoszynówki były czarne od mrowiących się ludzi z kast niższych. Spod szklanego sklepienia wypadł oświetlony skład kolejki. Śledząc jej kurs na południowy wschód przez ciemny płaskowyż, ich oczy natrafiły na majestatyczne budowle krematorium w Slough. Dla bezpieczeństwa lecących nocą samolotów jego cztery wysokie kominy oświetlone były reflektorami i zaopatrzone w czerwone sygnały ostrzegawcze. Stanowiły punkt orientacyjny.

- Dlaczego te kominy są otoczone tymi jakby balkonikami? - spytała Lenina.

- Odzyskiwanie fosforu - odparł lakonicznie Henryk. - Po drodze w górę komina gazy poddawane są czterem różnym procesom. Dawniej P_2O_5 ulatniał się podczas kremacji. Teraz odzyskuje się go w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach. Ponad półtora kilo na każde zwłoki. Daje to w samej tylko Anglii czterysta ton fosforu rocznie. - Henryk mówił pełen radosnej durny, ciesząc się całym sercem z tego osiągnięcia, jak gdyby ono było jego dziełem. - Przyjemnie pomyśleć, że jest się społecznie użytecznym nawet po śmierci. Użyźniamy glebę.

Tymczasem Lenina odwróciła wzrok i patrzyła teraz pionowo w dół na stację jednoszynówki.

- Tak, przyjemnie - przyznała. - Ale to jednak dziwne, że alfy i bety nie użyźniają gleby bardziej niż te tutaj wstrętne małe gammy, delty i epsilony.

- Wszyscy są równi pod względem fizykochemicznym - powiedział Henryk sentencjonalnie. - A poza tym nawet epsilony są niezastąpione.

„Nawet epsilony...”; Lenina przypomniała sobie nagie moment. gdy jako dziewczynka w wieku szkolnym obudziła się w środku nocy i po raz pierwszy doświadczyła świadomie owego szeptu, który nawiedzał wszystkie jej sny. Znowu ujrzała promień księżyca, rząd małych białych łóżeczek; raz jeszcze usłyszała łagodny głos, który mówił (słowa trwały w niej po dziś dzień, nie zapomniane, nie do zapomnienia po tylu całonocnych repetycjach): „Nawet epsilony są użyteczne. Nie moglibyśmy się obejść bez epsilonów. Każdy pracuje na każdego. Każdy jest nam niezbędny...” Lenina wspomniała swój wstrząs lęku i zdziwienia, swe rozważania przez pół bezsennej godziny, aż do chwili gdy te nieustanne powtórzenia ukoiły jej umysł, wygładziły i ukradkiem zaczął się wślizgiwać sen.

- Sądzę, że epsilonom nie przeszkadza, że są epsilonami - powiedziała na głos.

- Oczywiście, że nie. No bo jak? Nie wiedzą, jak to jest być czymś innym. Nam by to przeszkadzało, rzecz jasna. No ale my jesteśmy inaczej warunkowani. Poza tym mamy inne dziedziczenie.

- Cieszę się, że nie jestem epsilonem - powiedziała z przekonaniem Lenina.

- A gdybyś była epsilonem - stwierdził Henryk - twoje uwarunkowanie kazałoby ci być równie zadowoloną z tego, że nie jesteś betą czy alfą. - Włączył przednie śmigło i skierował maszynę ku Londynowi. Za nimi, na zachodzie, czerwień i pomarańcz prawie już znikły; zenit zakryła ciemna chmura. Gdy przelatywali nad krematorium, pojazd wyskoczył w górę na słupie gorącego powietrza z kominów, po czym równie gwałtownie opadł przeszedłszy w strefę chłodu.

- Ale wspaniała huśtawka! - roześmiała się radośnie Lenina.

Jednakże glos Henryka przez moment brzmiał wręcz melancholijnie:

- Czy wiesz, czym była ta huśtawka? - zapytał. - To jakiś człowiek znika ostatecznie i na dobre. Przemienia się w strumień gorącego gazu. Ciekawe, kto to był - mężczyzna czy kobieta, alfa czy epsilon... - Westchnął. Potem zakończył stanowczym tonem: - Tak czy owak jednego możemy być pewni: kimkolwiek był, był za życia szczęśliwy. Każdy jest obecnie szczęśliwy.

- Tak, każdy jest obecnie szczęśliwy - zawtórowała Lenina. Przez dwanaście lat słyszeli te słowa powtarzane sto pięćdziesiąt razy w ciągu nocy.

Wylądowali w Westminster na dachu czterdziestopiętrowego domu, w którym mieszkał Henryk, zeszli wprost do sali jadalnej. Tam wśród głośnej i wesołej kompanii zjedli wyśmienity posiłek. Do kawy podano somę. Lenina wzięła dwie półgramowe tabletki, Henryk zaś trzy. Dwadzieścia po dziewiątej szli ulicą do nowo otwartego Kabaretu Opactwa Westminsteru. Wieczór był prawie bezchmurny i bezksiężycowy, niebo pełne gwiazd; jednakże z tego tak przygnębiającego faktu ani Lenina, ani Henryk nie zdawali sobie szczęśliwie sprawy. Elektryczne napisy świetlne skutecznie przesłaniały mrok kosmicznej otchłani. „Kalwin Stopes i jego szesnastu seksofonistów". Na fasadzie nowego Opactwa lśniły wabiąco ogromne litery. „Londyńskie organy najsubtelniejszych woni i barw. Najnowsza muzyka syntetyczna".

Weszli do wnętrza. Powietrze wydawało się tam gorące. i nieco duszne od zapachu ambry i drzewa sandałowego. Na sklepieniu sali organy barw wydobywały obraz podzwrotnikowego zachodu słońca. Szesnastu seksofonistów grało stary szlagier: „Nie ma na świecie drugiej takiej butli jak ta droga moja butla mała". Czterysta pat tańczyło five-stepa na lśniącym parkiecie. Wkrótce Lenina i Henryk stali się parą czterysta pierwszą. Seksofony zawodziły jak muzykalne koty w blasku księżyca, jęczały altami i tenorami jak umierające. Pośród bogactwa harmonii chór ich drżących głosów wznosił się ku szczytowaniu, coraz głośniejszy i głośniejszy - aż wreszcie machnięciem ręki dyrygent wydobył ostatnią drgającą nutę eterycznej muzyki i zgasił szesnaście dmuchających istot. Rozległ się grzmot w a-moll. Potem, w zupełnej ciszy, w zupełnym mroku zaczął się stopniowy powrót, diminuendo zsuwające się ćwierćtonami w dół, w dół ku cicho szepczącym akordom dominanty, która posuwała się powoli (gdy rytmy na pięć czwartych ciągle pulsowały ku dołowi), napełniając sekundy mroku gęstniejącym napięciem oczekiwania. Aż wreszcie oczekiwanie zostało spełnione. Nagły wschód słońca i równoczesny wybuch pieśni Szesnastki:

O moja butlo, ciebie zawsze pragnąłem
O moja butlo, skąd się tutaj wziąłem?
Niebo jest w tobie błękitne,
Pogoda zawsze wspaniała;
Bo
Nie ma na świecie drugiej takiej butli
Jak ta droga moja butla mała.

Fivestepując z czterema setkami par po Opactwie Westminsteru, Lenina i Henryk tańczyli jednak w innym świecie - upalnym, przepysznie barwionym, nieskończenie przyjaznym świecie podróży somatycznej. Jakże wszyscy byli miii, piękni, wspaniale zabawni! „O moja butlo, ciebie zawsze pragnąłem..." Jednakże Lenina i Henryk mieli przecież to, czego pragnęli... Byli oto w tym wnętrzu - bezpieczni we wnętrzu ze wspaniałą pogodą i wiecznie błękitnym niebem. Gdy zaś wyczerpana Szesnastka odłożyła seksofony i aparat do muzyki syntetycznej zaczął nadawać najnowszego bluesa maltuzjańskiego, byli jak dwa bliźniacze embriony kołyszące się łagodnie na fałach zabutlowanego oceanu surogatu krwi.

„Dobranoc, drodzy przyjaciele. Dobranoc, drodzy przyjaciele". Głośniki okrywały to polecenie pełną łagodności śpiewną uprzejmością. „Dobranoc, drodzy przyjaciele..."

Posłusznie, wraz z innymi, Lenina i Henryk opuścili budynek. Przygnębiające gwiazdy przewędrowały już nieco nieboskłonu. Chociaż ochronny ekran napisów świetlnych bardzo zmalał, to jednak dwoje młodych nadal zachowywało swą szczęśliwą nieświadomość nocy.

Połknięta na pół godziny przed zamknięciem kabaretu druga dawka somy odgrodziła nieprzeniknionym murem ich umysły od rzeczywistego wszechświata. Zamroczeni przeszli ulicą, zamroczeni wsiedli do windy, jadąc do pokoju Henryka na dwudziestym ósmym piętrze. A jednak pomimo swego stanu, pomimo drugiej dawki somy Lenina nie zapomniała wziąć obowiązkowych środków antykoncepcyjnych. Lata intensywnej hipnopedii oraz maltuzjańskiego treningu trzy razy na tydzień od dwunastego do siedemnastego roku życia sprawiły, że zażywanie tych środków było niemal równie automatyczne jak mrugnięcie okiem.

- Aha, właśnie - przypomniała sobie wracając z łazienki - Fanny Crowne prosiła mnie, żebym zapytała, gdzie znalazłeś ten piękny pas myśliwski z zielonej imitacji safianu, który mi kiedy dałeś.

§2

Co drugi czwartek przypadała na Bernarda kolej odbywania posługi solidarnościowej. Po wczesnej kolacji w Aphroditaeum (do którego niedawno wybrano Helmholtza według Reguły Drugiej) pożegnał przyjaciela i wsiadłszy w taksówkę zarządził lot do wspólnotowej śpiewami w Fordson. Maszyna uniosła się wzwyż na kilkaset metrów, potem skierowała się na wschód i podczas wykonywania zakrętu przed oczyma Bernarda wyrosła imponująco piękna śpiewalnia. Jej trzystudwudziestometrowe ściany z białej imitacji marmuru karatyjskiego, oświetlone reflektorami, lśniły śnieżną bielą nad Ludgate Hill; na każdym z czterech rogów jej platformy do lądowania helikopterów jaśniał pośród mroku wieczoru ogromny purpurowy kształt T, z dwudziestu czterech zaś ogromnych złotych trąb rozbrzmiewała uroczysta muzyka syntetyczna.

- Do licha, spóźniłem się - pomyślał Bernard, rzuciwszy okiem na Big Henry’ego, zegar śpiewami. Istotnie, gdy Bernard płacił za kurs, Big Henry zaczął wybijać godzinę: „Ford”, śpiewał potężny bas ze wszystkich złotych trąb. „Ford, Ford, Ford...” Dziewięć razy. Bernard pobiegł do windy.

Wielka aula przeznaczona do obchodów Dnia Forda i innych śpiewów wspólnotowych znajdowała się na parterze budowli. Powyżej, w liczbie stu na każdym piętrze, rozmieszczonych było siedem tysięcy sal przeznaczonych dla grup solidarnościowych na ich odbywające się co dwa tygodnie posługi. Bernard zjechał na piętro trzydzieste trzecie; popędził korytarzem, przez moment stal niezdecydowany przed pokojem 3210, aż wreszcie, zebrawszy się na odwagę, otwarł drzwi i wszedł.

Dzięki ci, Fordzie! Nie był ostatni. Trzy spośród dwunastu ustawionych wokół okrągłego stołu krzeseł były jeszcze nie zajęte. Wśliznął się na najbliższe z nich w miarę niepostrzeżenie i oto już gotów był marszczyć brwi na widok wchodzących spóźnialskich.

- W co grałeś dziś po południu? - zwróciła się doń siedząca po jego lewej ręce dziewczyna. - Z przeszkodami czy elektromagnetyczny?

Bernard spojrzał na nią (O Fordzie! to Morgana Rotszyld); z rumieńcem wstydu wyznał, że nie grał w nic. Morgana patrzyła zdumiona. Zapadła chwila nieprzyjemnej ciszy.

Potem Morgana ostentacyjnie odwróciła się od Bernarda i zajęła mężczyzną po swej lewej ręce, bardziej zainteresowanym sportami.

- Niezły początek posługi solidarnościowej - pomyślał z rozżaleniem Bernard i uznał, że zapewne znowu nie uda mu się pojednanie ze wspólnotą. Gdybyż miał dość czasu na rozejrzenie się i nie musiał siadać na najbliższym krześle! Mógł usiąść między Fifi Bradlaugh

i Joanną Diesel. A on usadził się na oślep obok Morgany. Morgany! O Fordzie! Te jej czarne brwi - a raczej ta jej brew - bo brwi zrastały się nad nosem. O Fordzie! A po prawej miał Klarę Deterding. No tak, brwi Klary się nie zrastały. Ale ona sama była naprawdę zbyt sprężysta. Gdy tymczasem Fifi i Joanna były zupełnie w porządku. Pulchne, jasnowłose, niezbyt wysokie... No tak, i teraz ten gbur Tom Kawaguczi usiadł między nimi.

Jako ostatnia przybyła Sarodżini Engels.

- Spóźniłaś się - rzekł przewodniczący grupy. - Proszę tego więcej nie robić.

Sarodżini przeprosiła i wsunęła się na miejsce między Jimem Bokanowskim a Herbertem Bakuninem. Teraz grupa była w komplecie, krąg solidarnościowy pełen i bez przerw. Mężczyzna, kobieta, mężczyzna - konsekwentny układ pierścienia wokół stołu. Dwunastka gotowa stać się jednością, czekając na zbliżenie się, złączenie, stopnienie dwunastu oddzielnych istnień w jedno wspólne istnienie.

Przewodniczący wstał, uczynił znak T i włączył muzykę syntetyczną, uwalniając delikatne, niestrudzone bicie bębnów i chór instrumentów - ledwowiatrów i superstrun – które przenikliwie powtarzały krótką, wpadającą w ucho melodię *Pierwszego hymnu solidarnościowego*. Raz za razem - już nie ucho chwytało pulsujący rytm, lecz przepona; zawodzenie i rytmiczne dźwięki tej powtarzającej się melodii poruszały już nie umysł, lecz tęskniące do współodczuwania trzewia.

Przewodniczący raz jeszcze uczynił znak T i usiadł. Posługa rozpoczęła się. Poświęcane tabletki somy leżały na środku stołu. Puchar somy w mrożonym koktajlu poziomkowym podawano sobie z rąk do rąk i spełniano dwunastokrotnie, wypowiadając formułę: „piję za roztopienie mego ja”. Potem przy akompaniamencie orkiestry syntetycznej odśpiewano *Pierwszy hymn solidarnościowy*.

Fordzie, nas tuzin; jednią nas
Jak krople wtop w Społeczny Nurt;
I spraw, żebyśmy gnali wraz
Nie wolniej niż Twój lśniący ford

Dwanaście tęsknych strof. A potem puchar po raz drugi okrąża stół. „Piję za Byt Wyższy”, brzmiała teraz formuła. Pili wszyscy. Muzyka niestrudzenie grała. Biły bębny. Płacz i brzęk instrumentów roztapiał trzewia. Śpiewano *Drugi hymn solidarnościowy*.

Przyjdź, Bycie Wyższy, Druhu Mas,

Znicestwij tuzin w jedno ja
Chcemy ten nasz zakończyć czas,
Bo po nim wyższe życie trwa.

Ponownie dwanaście strof. W ciągu tego czasu soma zaczęła działać. Oczy rozbłysły, policzki zapłonęły, na każdą twarz szczęśliwym, przyjaznym uśmiechem przebiło się wewnętrzne światło życzliwości ku wszelkiej istocie. Nawet Bernard nieco się roztopił. Gdy Morgana Rotszyld skierowała doń promienny uśmiech, to i on postarał się ze swej strony o uśmiech możliwie najbardziej promienny. Ale ta brew, ta czarna dwoistość-w-jedności... była niestety na swoim miejscu; nie mógł jej nie zauważać, nie mógł, choć usilnie próbował. Roztopienie nie posunęło się należycie daleko. Może gdyby siedział między Fifi a Joanną... Po raz trzeci krążył puchar wokół stołu. „Piję za Jego Przyjście", powiedziała Morgana Rotszyld, na którą przypadła kolej rozpoczęcia rytuału pucharu. Mówiła głosem donośnym, rozradowanym. Upiła łyk i podała puchar Bernardowi. „Piję za Jego Przyjście", powtórzył Bernard ze szczerym wysiłkiem nabrania pewności Jego Przyjścia; ta brew jednak ciągle go prześladowała, Przyjście zaś było, jak dla niego, strasznie odległe. Wypił i przekazał puchar Klarze Detering. „Znowu się nie uda", pomyślał. „Wiem, że się nie uda". Niemniej starał się ze wszystkich sił promieniować życzliwością.

Puchar odbył pełne okrążenie. Uniesieniem dłoni przewodniczący dał znak; chór zaintonował *Trzeci hymn solidarnościowy*.

Oto nadchodzi Wyższy Byt!
Znajdźmy w radości naszej skon!
Rozpłyńmy się wśród dźwięków cytr!
Bo tobą jestem ja, ty mną.

Wraz z upływem wersów głosy drżały coraz większym podnieceniem. Przeczucie Przyjścia elektryzowało powietrze. Przewodniczący wyłączył muzykę i gdy umilkła ostatnia nuta ostatniej strofy, zapadła cisza zupełna - cisza napiętego oczekiwania, drżąca zelektryzowanym życiem. Przewodniczący wyciągnął rękę; i oto nagle ponad ich głowami rozległ się Głos, głęboki, mocny Głos, bardziej melodyjny niż jakikolwiek głos ludzki, bardziej namiętny, bardziej wibrujący miłością, tęsknotą i współodczuwaniem, cudowny, tajemniczy, nieziemski Głos. „O Fordzie, Fordzie, Fordzie", wyrzekł powoli, zniżając stopniowo ton Doznanie ciepła pojawiło się w splocie słonecznym każdego słuchacza i

rozpłynęło się aż do najdalszych zakątków ciała; łzy napłynęły do oczu; serca i trzewia słuchających zdawały się poruszać wewnątrz ich ciał, jak gdyby żyły samodzielnym życiem. „Fordzie!” - i rozpływali się, „Fordzie!” - i rozpuszczali się, rozpuszczali. I nagle inny ton, wstrząsający. „Słuchajcie!” , grzmiał Głos. „Słuchajcie!” Słuchali. Moment przerwy, a potem Głos opadł do szeptu, ale szeptu w dziwny sposób bardziej przenikliwego niż najgłośniejszy krzyk. „Kroki Wyższego Bytu”, powiedział, a potem powtórzył: „Kroki Wyższego Bytu”. Szept był ledwo słyszalny. „Kroki Wyższego Bytu słychać na schodach”. I znów zapadła cisza; napięcie oczekiwania, na chwilę osłabłe, wzmogło się znowu, coraz większe i większe, aż po granice wytrzymałości. Kroki Wyższego Bytu - och, tak, słyszeli je, słyszeli, jak cicho zstępują po schodach, są coraz bliżej i bliżej w tym zstępowaniu z niewidzialnych schodów. Kroki Wyższego Bytu. I nagle granice wytrzymałości zostały przekroczone. Ze wzrokiem wbitym w jeden punkt, z rozchylonymi ustami Morgana Rotszyld zerwała się z krzesła.

- Słyszę go - zawołała. - Słyszę go.

- Nadchodzi - krzyknęła Sarodżini Engels.

- Tak, nadchodzi, słyszę go. - Fifi Bradlaugh i Tom Kawaguczi równocześnie powstali ze swoich miejsc.

- Och, och, och! - poświadczyła nieartykułowanymi dźwiękami Joanna.

- Nadchodzi! - wołał Jim Bokanowski.

Przewodniczący pochylił się do przodu i dotknięciem dłoni rozpętał szaleństwo cymbałów i trąb, i rozgorączkowane tam-tamy.

Och, nadchodzi! darła się Klara Detering. - Auu! zabrzmiało to, jakby ktoś jej podciął gardło.

Czując, że czas już, by dać coś z siebie, Bernard także poderwał się i zawołał:

- Słyszę go; nadchodzi.

Ale to nie była prawda. Niczego nie słyszał i nikt jego zdaniem nie nadchodził. Nikt - pomimo muzyki, pomimo rosnącego podniecenia. Niemniej machał rękami i krzyczał wraz z najaktywniejszymi; kiedy zaś inni zaczęli przebierać nogami i maszerować w miejscu, on również zaczął przebierać nogami i maszerować w miejscu.

Ruszyli korowodem tancerzy, każdy z rękami na biodrach osoby poprzedzającej, raz za razem okrążali salę krzycząc unisono, wybijając rytm nogami, klaszcząc w takt muzyki, klaszcząc dłońmi w pośladki towarzyszy; dwanaście par rąk klaskało niczym jedna para; dwanaście par pośladków oddawało słabe echo niczym jedna para. Tuzin w jedno ja, tuzin w jedno ja. „Słyszę go, słyszę, jak nadchodzi”. Muzyka nabrała tempa; szybciej uderzały stopy, coraz szybciej klaskały do rytmu dłonie. I oto potężny syntetyczny bas wyśpiewał słowa

ogłaszające nadejście pojednania i ostateczne skonsumowanie solidarności, nadejście Tuzina-w-Jednym, wcielenie Wyższego Bytu. „Orgia-porgia”, śpiewał bas, a tam-tamy pulsowały gorączkowym rytmem.

Orgia-porgia, Forda śpiew,
Wzniecaj w paniach Jedni zew.
Roztopiony już on w niej,
Z orgią-porgią dwojgu lżej.

„Orgia-porgia”, podjęli tancerze liturgiczny refren, „Orgia-porgia, Forda śpiew, wzniecaj w paniach...” Gdy śpiewali, światła zaczęły powoli słabnąć - słabnąć, a zarazem nabierać odcieni bardziej ciepłych, głębokich, czerwonawych, aż w końcu tańczący znaleźli się w purpurowym półmroku składu embrionów. „Orgia-porgia...” W tych ciemnościach barwy krwi i płodu tańczący krążyli jeszcze przez chwilę, wybijając nieustający rytm. „Orgia-porgia...” Potem krąg zafalował, pękł i padł we fragmentach na sześć miękkich tapczanów, które otaczały - krąg wokół kręgu - stół i rozstawione wokół niego krzesła. „Orgia-porgia...” Czule gruchał głęboki Głos; w czerwonym półmroku brzmiało to tak, jak gdyby jakiś ogromny czarny gołąb unosił się dobrotliwie nad leżącymi już teraz na wznak lub twarzą w dół tancerzami.

Stali na dachu; Big Henry wybił jedenastą. Noc była ciepła i cicha.

- Było cudownie, prawda? - powiedziała Fifi Bradlaugh. - Wprost cudownie, prawda? - Patrzyła na Bernarda z zachwytem, ale z zachwytem bez śladu poruszenia czy podniecenia; być podnieconym to przecież być nie zaspokojonym. W niej zaś trwała spokojna ekstaza płynąca ze spełnienia i ukojenia - nie z braku nasycenia i z nicości, lecz z równowagi życiowej, ekstaza płynąca od wypoczywających, zrównoważonych energii. Bogate, żywe ukojenie. Posługa solidarnościowa w równym bowiem stopniu brała, jak dawała, zabierając tylko po to, by odradzać. Fifi czuła w sobie pełnię, doskonałość, czuła, że jest czymś więcej niż tylko sobą.

- Nie sądzisz, że było cudownie? - dopytywała się wpatrzona w twarz Bernarda swymi nadnaturalnym blaskiem jaśniejącymi oczyma.

- Tak, myślę, że było cudownie - skłamał i odwrócił wzrok; jej przemieniona twarz była jak wyrzut i zarazem przewrotne przypomnienie jego odosobnienia. Czul się równie żałośnie osamotniony jak na początku posługi - a nawet osamotniony jeszcze bardziej, bo

pustka nie została wypełniona, nasycenie było jałowe. Odosobniony i nie pojednany, gdy tymczasem inni wtopili się w Byt Wyższy; samotny nawet w objęciach Morgany - w gruncie rzeczy wtedy jeszcze bardziej samotny, jeszcze bardziej beznadziejnie będący sobą niż kiedykolwiek wcześniej w życiu. Z tamtego purpurowego półmroku wynurzył się pod zwykłe oświetlenie elektryczne z samoświadomością do granic wytrzymałości. Był w najwyższym stopniu godny pożałowania, ale może (jej promieniejący wzrok lśnił oskarżycielsko) to tylko jego wina.

- Naprawdę cudownie - powtórzył, ale jedyną rzeczą, o której mógł pomyśleć, była brew Morgany.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

§1

Dziwaczny, dziwaczny, dziwaczny, brzmiała ocena Bernarda Marksa dokonana przez Leninę. Do tego stopnia dziwaczny, że w ciągu następnych paru tygodni zastanawiała się niekiedy, czy nie powinna zmienić zdania w kwestii wakacji w Nowym Meksyku i nie pojechać raczej z Benitem Hooverem na biegun północny. Rzecz w tym, że na biegunie już była – zeszłego lata z Jerzym Edzelem, a co gorsza miejsce wydało jej się dość ponure. Nie było tam nic do roboty, hotel staroświecki, bez telewizji w sypialniach, bez organów węchowych, muzyka syntetyczna zupełnie pospolita, a dla ponad dwustu gości zaledwie jakieś dwadzieścia pięć boisk do gry w tenisa przesuwanego. Nie, stanowczo nie pojawi się już na biegunie północnym. Na dodatek w Ameryce była dopiero raz. A poza tym jak krótko! Tani weekend w Nowym Jorku - chyba z Janem Jakubem Habibullą, a może z Jonesem Bokanowskim? Nie pamięta. Tak czy owak było to zupełnie nieistotne. Perspektywa ponownej wycieczki na Zachód, i to całotygodniowej, była kusząca. A ponadto co najmniej trzy dni z tego tygodnia spędzą, w rezerwacie dzikich. Nie więcej niż pół tuzina ludzi z Ośrodka było w rezerwacie dzikich. Bernard, jako psycholog i alfa-plus, był jednym z niewielu mężczyzn, jakich znała, którzy mieli tam prawo wstępu. Dla Leniny więc wyjątkowa okazja. Niemniej jednak dziwaczność Bernarda była równie wyjątkowa, tak iż Lenina wahała się, czy skorzystać z tej okazji i czy nie zaryzykować raz jeszcze bieguna w towarzystwie zabawnego starego Benita. W końcu Benito jest normalny. Natomiast Bernard...

„Alkohol w surogacie krwi” - brzmiało wyjaśnienie, jakim Fanny kwitowała wszelką odmienność. Jednakże Henryk, z którym podczas pewnego wieczoru, gdy byli już razem w łóżku, omawiała z niepokojem sprawę swego nowego kochanka, porównał biednego Bernarda do nosorożca.

- Nosorożca nie można wytresować - tłumaczył jej swym zwięzłym, żywym stylem. - Niektórzy ludzie są niemal jak nosorożce; nie reagują w sposób właściwy na warunkowanie. Biedne diabełki! Bernard też do nich należy. Jego szczęście, że dobrze wykonuje swoją pracę. W przeciwnym razie dyrektor w żadnym przypadku by go nie zatrudniał. Myślę jednak - dodał tonem pocieszenia - że jest zupełnie nieszkodliwy.

Być może, że nieszkodliwy, ale i nadzwyczaj niepokojący. Na przykład ta mania robienia wszystkiego po cichu, na osobności. Co w praktyce oznaczało nierobienie niczego. No bo co można robić na osobności? (Chodzić do łóżka, rzecz jasna; ale przecież nie sposób robić tego stale). Więc co? Bardzo niewiele. Pierwsze spędzone razem popołudnie było

nadzwyczaj miłe. Lenina zaproponowała pływanie w Klubie Wiejskim w Torquay, a potem kolację w Towarzystwie Oksfordzkim. Jednakże Bernard uznał, że będzie tam zbyt tłoczno. Więc może rundkę golfa elektromagnetycznego w St. Andrews? Znowu nie: Bernard uważał, że golf elektromagnetyczny to strata czasu.

- Więc na co jest czas? - zapytała Lenina z pewnym zdziwieniem.

Oczywiście na spacery w Krainie Jezior, bo to właśnie teraz zaproponował. Lądowanie na wierzchołku Skiddaw, potem parogodzinna wędrówka po wrzosowiskach. „Sam na sam z tobą, Lenino".

- Ależ, Bernard, całą noc będziemy sam na sam. Bernard zaczerwienił się i odwrócił wzrok.

- Miałem na myśli.., sam na sam... żeby rozmawiać - wymamrotał.

- Rozmawiać? Ale o czym? – Chodzić i rozmawiać, co za osobliwy sposób spędzania popołudnia.

W końcu z wielkimi oporami namówiła go, by polecieli do Amsterdamu obejrzeć ćwierćfinały zapaśniczych mistrzostw kobiet w wadze ciężkiej.

- W tłumie - narzekał. - Jak zwykle. - Przez całe popołudnie był skwaszony; nie chciał rozmawiać z przyjaciółmi Leniny (których całe tuziny spotykali w antraktach w soma-barze) i pomimo swego żałosnego stanu stanowczo odmawiał przyjęcia półgramowej dawki w lodach malinowych, które Lenina usiłowała w niego wmusić.

- Wolę pozostać sobą - opierał się. - Sobą, choćby nieprzyjemnym. A nie kimś innym, choćby nawet wesołym.

- Gram o właściwej porze najlepiej dopomoże - powiedziała Lenina przywołując jeden z klejnotów mądrości nauczanej przez sen.

Bernard niecierpliwie odepchnął podsuwaną szklankę.

- No, nie bądź taki - powiedziała Lenina. - Pamiętaj, jeden sześcienny centymetr i znika ponury sentyment.

- Och, przestań, na Forda! - krzyknął.

Lenina wzruszyła ramionami.

- Lepsza mikstura niż awantura - wyrzekła z godnością i sama zjadła lody.

Gdy w powrotnej drodze lecieli nad Kanałem, Bernard uparł się, by wyłączyć śmigło i na wysokości stu stóp powisieć z helikopterem nad falami. Już wcześniej pogoda się popsuła, wiał południowo-zachodni wiatr, nie bo było pochmurne.

- Popatrz - polecił.

- Ależ to okropne - zawołała Lenina odsuwając się od okna. Przeraził ją wicher wśród pustki nocy, przewalające się w dole czarne, spienione bałwany, blada twarz księżyca, niepokojąca, skrywana raz po raz przez pędzące chmury.

- Włączmy radio. Szybko! - Sięgnęła do wyłącznika na tablicy rozdzielczej i nacisnęła go nie dbając o wybór programu.

„... niebo jest w tobie błękitne”, śpiewało szesnaście drżących falsetów, „pogoda zawsze...”

Radio czknęło i umilkło. Bernard wyłączył prąd.

- Chcę spokojnie popatrzyć na morze - powiedział. - Nie można nawet popatrzyć przy tym obrzydliwym hałasie.

- Ależ to bardzo ładne. A poza tym ja nie chcę patrzeć.

- Ale ja chcę - upierał się. - Dzięki temu czuję się, jakbym... - zawahał się na chwilę, szukając w myśli odpowiednich słów - jakbym był bardziej s o b ą, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Bardziej samodzielnym, a nie tym absolutnie wtopionym w całość trybem jakiejś machiny. Nie tylko komórką w ciele społecznym. Czy ten widok nie rodzi w tobie podobnego odczucia?

Lenina szlochała.

- To straszne, straszne - powtarzała w kółko. - I jak ty możesz mówić w ten sposób? Że nie chcesz być częścią ciała społecznego. Przecież każdy pracuje dla każdego. Każdy jest nam niezbędny. Nawet epsilony...

- Tak, tak, wiem - zakpił Bernard. – „Nawet epsilony są użyteczne”. A ja, do cholery, chciałbym nie być użyteczny.

To bluźnierstwo zaszokowało Leninę.

Bernard zaprotestowała pełnym zdumienia, zmartwionym głosem. - Jakże ty możesz?

- Jak ja mogę? - powtórzył w zamyśleniu Bernard. - Nie, prawdziwy problem polega na czymś innym: Jak to jest, że nie mogę, a raczej (bo przecież w końcu wiem dobrze, dlaczego nie mogę), co by było, gdybym mógł, gdybym był wolny, nie zaś zniewolony przez warunkowanie.

- Ależ Bernard, mówisz straszne rzeczy.

- Lenino, nie chciałabyś być wolna?

- Nie wiem, o co ci chodzi. Jestem przecież wolna. Wolna, żeby się cieszyć życiem. Każdy obecnie jest szczęśliwy.

- Tak - roześmiał się – „każdy obecnie jest szczęśliwy”. Zaczynamy to przekazywać dzieciom od piątego roku ich życia. Ale czy nie chciałabyś być wolna do szczęśliwości na jakiś inny sposób? Powiedzmy, na twój własny sposób na przykład; nie na sposób innych.

- Nie wiem, o co ci chodzi - powtórzyła. Potem zwracając się ku niemu prosiła: - Bernard, wracajmy już; nie znoszę tego miejsca.

- Nie lubisz być ze mną?

- Ależ, Bernard, oczywiście że lubię! Ale to jest okropne miejsce.

- Sądziłem, że tu będziemy bardziej... bardziej razem, tylko my, morze i księżyc. Bardziej razem niż w tym tłumie, a nawet w moim mieszkaniu. Nie rozumiesz tego?

- Niczego tu nie rozumiem - oświadczyła stanowczym głosem, zdecydowana nie pozwolić na. naruszenie swego nierozumienia. - Niczego. A już najmniej tego – ciągnęła innym już tonem - że nie zażywasz somy, kiedy nachodzą cię te twoje ponure pomysły. Zapomniałbyś wtedy o nich. I zamiast czuć się smutno, byłoby ci wesoło. Naprawdę wesoło - powtórzyła i pomimo całej niepewności i zdumienia w oczach uśmiechnęła się z wyrazem obiecującej, zmysłowej przymilności.

Patrzył na nią w milczeniu, poważnie i z natężeniem, ale nie odwzajemniając uśmiechu. Po kilku sekundach spojrzenie Leniny umknęło, rozległ się jej nerwowy śmieszek; próbowała obmyślić jakieś zdanie, by je wypowiedzieć, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Milczenie przedłużało się.

Gdy wreszcie Bernard się odezwał, głos miał cichy i znużony.

- Dobrze więc - powiedział - wracamy. - I silnie naciskając pedał gazu, wyrzucił maszynę wysoko w górę. Na czterech tysiącach włączył śmigło lotu poziomego. Przez minutę lub dwie lecieli w milczeniu. Potem Bernard zaczął się nagle śmiać. „Bardzo dziwnie”, pomyślała Lenina; niemniej jednak był to śmiech.

- Lepiej się czujesz? - odważyła się zapytać.

W odpowiedzi oderwał jedną rękę od przyrządów sterowniczych i objąwszy dziewczynę, zaczął pieścić jej piersi.

„Dzięki ci, Fordzie - powiedziała do siebie w myśli - wrócił do normy”.

W pół godziny później byli w jego mieszkaniu. Bernard połknął cztery tabletki somy naraz, włączył radio i telewizor i zaczął się rozbierać.

- No i? zagadnęła szelmowskim tonem, gdy nazajutrz spotkali się na dachu. - Czy nie było miło wczoraj?

Bernard potwierdził ruchem głowy. Wsiedli do pojazdu. Drobny wstrząs i już byli w górze.

- Wszyscy mówią, że jestem wyjątkowo sprężysta - powiedziała z zadumą Lenina, poklepując swe uda.

- Wyjątkowo. - Lecz w oczach Bernarda malował się ból. „Jak mięso”, pomyślał.

Spojrzała nań niepewnie.

- Ale ty nie uważasz, że jestem zbyt pulchna, prawda?

Potrząsnął głową. Zupełne mięso.

- Uważasz, że jestem w sam raz. Znów kiwnięcie głową. - Pod każdym względem?

Jesteś doskonała - rzekł na głos, a pomyślał: „Tak siebie traktuje. Zgadza się na bycie mięsem”.

Lenina uśmiechnęła się radośnie. - Lecz jej satysfakcja była przedwczesna.

- Mimo to - mówił dalej po chwili milczenia - wołałbym, żeby się to wszystko zakończyło inaczej.

- Inaczej? - Czyż mogłoby być inaczej?

- Nie chciałem, żeby skończyło się to pójściem do łóżka - wyjaśnił.

Lenina była zdumiona.

- Nie od razu, nie pierwszego dnia.

- No więc...?

Zaczął wyrzucać z siebie lawinę niezrozumiałych i niebezpiecznych nonsensów. Lenina ze wszystkich sił starała się nie dopuszczać do siebie tych słów, lecz od czasu do czasu jakiś strzęp zdania wdzierał się w jej uszy. „... wypróbować skutki powstrzymania własnego popędu”, usłyszała. Słowa te jakby dotknęły jakichś czułych miejsc jej umysłu.

- Nigdy nie odkładaj do jutra przyjemności, którą możesz mieć dzisiaj – powiedziała poważnie.

- Dwieście powtórzeń, dwa razy na tydzień w przedziale wieku czternaście do szesnastu i pół - skomentował Bernard. Po czym znowu płynął strumień niedobrych, obłąkanych słów. - Chciałbym poznać, czym jest namiętność - usłyszała Lenina. – Chcę doznawać uczuć, i to mocnych.

- Gdy jednostka czuje, wspólnota szwankuje - wygłosiła Lenina.

- A dlaczego nie mogłaby trochę poszwankować?

- Bernard!

Ale Bernard nie dal się zbić z tropu.

- Dojrzali umysłowo, dojrzali w czasie pracy - ciągnął - ale dzieci w sferze uczuć i pragnień.

- Pan Nasz Ford kochał dzieci.

- Pewnego dnia naszła mnie myśl - mówił dalej Bernard ignorując słowa Leniny – że można by być dorosłym zawsze.

- Nie rozumiem - oświadczyła stanowczym tonem Lenina.

- Wiem o tym. I dlatego poszliśmy wczoraj do łóżka, właśnie jak dzieci, zamiast okazać dorosłość i czekać.

- Ale przecież było miło - nastawała Lenina. - Było, prawda?

- O, w najwyższym stopniu - odparł, lecz głosem tak smutnym, z miną tak nieszczęśliwą, że cała satysfakcja Leniny natychmiast się ulotniła. On chyba jednak uważa ją za zbyt pulchną.

- A nie mówiłam? - skwitowała Fanny zwierzenia Leniny, jakie potem nastąpiły. - Dolali mu alkoholu do surogatu.

- Tak czy owak - twierdziła z uporem Lenina - ja .go lubię. Ma takie ogromne miłe dłonie. I to jego wzruszenie ramionami... robi to z takim wdziękiem. – Westchnęła.

- Wolałabym jednak, żeby nie był taki dziwaczny.

§2

Zatrzymawszy się na moment przed drzwiami gabinetu dyrektora, Bernard odetchnął głęboko i wyprostował się zbierając siły na spotkanie niechęci i niezadowolenia, które, jak był przekonany, niewątpliwie go tam oczekują.

- Panie dyrektorze, proszę o podpis na przepustce - powiedział możliwie najzwyklejszym tonem i położył papier na biurku.

Dyrektor spojrzał nań kwaśno. Jednakże u góry arkusza odciśnięta była pieczęć Biura Zarządcy Świata, u dołu zaś znajdował się zamaszysty czarny podpis Mustafy Monda. Wszystko było w najlepszym porządku. Dyrektor nie miał wyboru. Nakreślił swoje inicjały - dwie marne blade literki złożone u stóp Mustafy Monda - I już miał zwrócić papier bez słowa komentarza czy uprzejmego „Ford zapłać", gdy wzrok jego padł na tekst wypisany na przepustce.

- Do rezerwatu w Nowym Meksyku? - powiedział, a ton jego głosu i skierowany na Bernarda wzrok wyrażały poruszenie i zdumienie. Zdumiony jego zdumieniem, Bernard skinął głową. Zapadła chwila ciszy.

Dyrektor odchylił się w krześle i zmarszczył brwi.

- Kiedy to było? - rzekł bardziej do siebie niż do Bernarda. - Chyba ze dwadzieścia lat temu. Może nawet około dwudziestu pięciu. Musiałem być w pana wieku... - Westchnął i pokiwał głową.

Bernard odczuł niezmierne zażenowanie. Człowiek o takim wychowaniu, dbający o dobre maniery - a tu taki nietakt! Miał ochotę zapaść się pod ziemię lub wybiec z pokoju. Rzecz nie w tym, iżby on sam miał coś przeciw ludzi om mówiącym o odległej przeszłości; od tego hipnopedycznego przesądu zupełnie się (jak mniemał) uwolnił. Peszyło go w tej sytuacji to, że dyrektor go potępiał - a mimo to ulegał pokusie robienia rzeczy potępianej. Jaki przymus wewnętrzny go do tego skłaniał? Pomimo swego zażenowania Bernard nadstawił uszu.

- Miałem ten sam pomysł co pan - mówił dyrektor. - Chciałem się przyjrzeć dzikim. Uzyskałem przepustkę do Nowego Meksyku i poleciałem tam spędzić letnie wakacje. Z dziewczyną, którą w owym momencie miałem. Była betą-minus i chyba - zamknął oczy - chyba miała blond włosy. W każdym razie była sprężysta, wyjątkowo sprężysta; to pamiętam dobrze. No więc polecieliśmy tam, oglądaliśmy dzikich, jeździliśmy na koniach i tak dalej. I nagle, chyba w ostatni dzień mojego pobytu, nagle ona.., no... zniknęła. Pojechaliśmy konno na jedno z tamtych okropnych wzgórz, było straszliwie gorąco i duszno i po posiłku

zdrzemnęliśmy się. A w każdym razie ja. Ona widocznie wybrała się sama na spacer. Tak czy owak, kiedy się zbudziłem, nie było jej. A na dworze rozszalała się najstraszliwsza burza, jaką w życiu widziałem. Lało, grzmiało, błyskało; konie zerwały postronki i uciekły. Próbując je złapać, upadłem i skaleczyłem się w kolano, tak iż z trudem mogłem chodzić. Niemniej szukałem i wołałem bez ustanku. A jej ani śladu. Pomyślałem, że może na własną rękę wróciła do domu wypoczynkowego. Powlokłem się więc w dół doliny drogą, którą przyjechaliśmy. Kolano bolało mnie potwornie, a na domiar złego zgubiłem swoją somę. Trwało to wszystko wiele godzin. Do domu wypoczynkowego dotarłem po północy. A jej tam nie było; nie było jej - powtórzył dyrektor. Zapadła chwila ciszy, po czym dyrektor kończył opowieść: - No więc następnego dnia zaczęły się poszukiwania. Ale nie mogliśmy jej znaleźć. Mogła spaść w przepaść, mógł ją pożreć lew górski. Ford jeden wie. W każdym razie było okropnie. Przygnębiło mnie to wtedy bardzo. Bardziej, powiedziałbym, niż powinno. Bo przecież taki wypadek może się przydarzyć każdemu; ciało społeczne trwa, choć komórki ulegają wymianie. - Lecz ta podawana przez sen pociecha nie wydawała się skutecznie oddziałać na dyrektora. Kiwając głową mówił cichym głosem: - Jeszcze dziś mi się to śni. Śni mi się, że budzi mnie grzmot pioruna, a ja stwierdzam, że jej nie ma; śni mi się, że szukam jej pomiędzy drzewami. - Zapadł w milczenie pełne wspomnień.

- To musiał być dla pana straszny wstrząs - rzekł Bernard niemal z zazdrością.

Na dźwięk jego głosu dyrektor drgnął, uświadomiwszy sobie nagle z poczuciem winy, gdzie jest: łypnął na Bernarda i odwrócił wzrok rumieniąc się mocno; znowu nań spojrzał, tym razem z podejrzliwym błyskiem w oku, i rzekł z irytacją, a zarazem z godnością:

- Niech pan nie sądzi, że z tą dziewczyną łączył mnie jakiś nieprzyzwoity związek. Żadnych uczuć, nic długotrwałego. Wszystko było całkowicie zdrowe i normalne. - Wręczył Bernardowi przepustkę. - Doprawdy nie wiem, dlaczego nudziłem pana tą trywialną opowiastką. - Wściekły na siebie, że wyjawił tak kompromitujący sekret, swą złość skierował na Bernarda. Spojrzenie miał teraz prawdziwie złowieszcze. - Chciałbym skorzystać z okazji - powiedział - by oświadczyć panu, panie Marks, że bardzo jestem niezadowolony z doniesień o pana zachowaniu poza miejscem pracy. Powie pan, że to nie mój interes. A jednak nie. Zależy mi na dobrym imieniu Ośrodka. Moi pracownicy muszą być poza wszelkim podejrzeniem, zwłaszcza z kast wyższych. Alfy są tak warunkowane, że nie potrzebują się zmuszać do bycia dziećmi w sferze uczuć. Tym bardziej jednak muszą dbać o swoją postawę. Dziecięctwo jest ich obowiązkiem, nawet wbrew własnym skłonnościom. A więc, panie Marks, uczciwie pana ostrzegam. - Głos dyrektora drżał oburzeniem, teraz już w pełni

uzasadnionym i bezosobowym, stanowiącym wyraz niezadowolenia Społeczeństwa samego. - Jeśli jeszcze raz usłyszę o jakimkolwiek przekraczaniu norm dziecięcej przyzwoitości, poproszę, by pana przeniesiono do jakiegoś podośrodka, najlepiej do Islandii. Do widzenia. - I obróciwszy się w krześle, wziął pióro i zaczął pisać.

„To go nauczy porządku”, powiedział sobie w duchu. Mylił się jednak. Bernard bowiem opuścił gabinet z dumą; gdy zamykał za sobą drzwi, porwała go szalona radość, że oto staje samotnie przeciw przyjętemu porządkowi rzeczy; oszałamiało go poczucie własnego znaczenia i własnej ważności. Nawet myśl o karze go nie przejęła, stanowiąc moment raczej pobudzający niż przygnębiający. Czul się wystarczająco silny, by zwyciężyć poniżenie, wystarczająco silny, by stawić czoło nawet Islandii. A ta ufność we własne siły była tym większa, że ani przez moment nie przypuszczał, by rzeczywiście musiał czemuś stawić czoło. Nie przenosi się ludzi za takie sprawy. Islandia to tylko groźba. Groźba nad wyraz pobudzająca i ożywcza. Idąc korytarzem pogwizdywał z radości.

Sprawozdanie z rozmowy z dyrektorem RiW, jakie przedstawił tego wieczora, brzmiało bohatersko.

- A potem - kończył opowieść - mówię mu: „Idź pan do bezdennej przeszłości”, i wychodzę. No i tyle. - Spojrzał na Helmholtza Watsona oczekując w nagrodę wyrazów współczucia, otuchy, uznania. Ale Helmholtz nie powiedział ani słowa. Siedział milcząc, wpatrzony w podłogę.

Lubił Bernarda; wdzięczny mu był za to, że jest jedynym z jego znajomych, z którym mógł rozmawiać o ważnych dla siebie sprawach. Pewnych rzeczy jednakże w Bernardzie nie znosił. Na przykład te przechwałki. Na przemian z wybuchami obrzydliwego użalania się nad sobą. I ten jego skandaliczny zwyczaj okazywania odwagi po fakcie, podczas gdy wcześniej tracił przytomność umysłu. Nie znosił tego wszystkiego - właśnie z powodu sympatii do Bernarda. Sekundy mijały. Helmholtz wpatrywał się w podłogę. I nagle Bernard zarumienił się i odwrócił głowę.

§3

Podróż odbyła się bez przygód. Błękitna Pacyficzna przyleciała do Nowego Orleanu dwie i pól minuty przed czasem, straciła cztery minuty z powodu tornada w rejonie Teksasu, lecz natrafiła na sprzyjający prąd powietrzny na dziewięćdziesiątym piątym stopniu długości zachodniej i wylądowali w Santa Fe niecałe czterdzieści sekund po czasie.

- Czterdzieści sekund na sześć i pół godziny lotu. Całkiem nieźle - uznała Lenina.

Tej nocy spali w Santa Fe. Hotel był znakomity - nieporównanie lepszy niż na przykład ten straszny Pałac Bory Polarnej, w którym Lenina tyle się wycierpiała poprzedniego lata. W każdym pokoju skroplone powietrze, telewizja, aparaty do masażu, radio, gotujący się roztwór kofeiny, gorące środki antykoncepcyjne i osiem różnych rodzajów perfum. Rośliny muzyczne w halu wydzielały muzykę syntetyczną; niczego już do szczęścia nie brakowało. Wywieszona w windzie informacja podawała, że hotel dysponuje sześćdziesięcioma kortami do tenisa przesuwanego i że w parku można grać w golfa z przeszkodami i w golfa elektromagnetycznego.

- Nie, to wszystko jest zbyt piękne - wołała Lenina. - Wręcz chciałabym tu zostać na dłużej. Sześćdziesiąt kortów do tenisa przesuwanego...

- W rezerwacie nie będzie ani jednego - oświadczył ostrzegawczym tonem Bernard. - I żadnych perfum, telewizji, nawet ciepłej wody. Jeśli uważasz, że nie będziesz mogła tego znieść, lepiej zostań tu; dopóki nie wrócę.

Lenina była obrażona:

- Oczywiście, że będę mogła. Ja tylko powiedziałam, że tu jest pięknie, bo... bo postęp jest piękny, prawda.

- Pięćset powtórzeń raz na tydzień w przedziale wieku trzynaście do siedemnastu lat - znużonym głosem powiedział jakby do samego siebie Bernard.

- Mówię, że postęp jest piękny. Dlatego nie powinnaś jechać do rezerwatu, dopóki tego naprawdę nie zechcesz.

- Ależ ja chcę.

- No więc dobrze - powiedział Bernard i zabrzmiało to niczym pogróżka.

Ich przepustka wymagała podpisu nadzorcy rezerwatu, toteż następnego rana zjawili się posłusznie w jego biurze. Murzyński portier epsilon-plus zaniósł wizytówkę Bernarda i przyjęto ich niemal natychmiast.

Nadzorca był jasnowłosą i krótkogłową alfą-minus, niski, rumiany, o okrągłej jak księżyc twarzy i szerokich barach; miał głos tubalny, odpowiedni do wygłaszania

hipnopedycznych mądrości. Był kopalnią nieistotnych informacji i nieproszonych rad. Gdy raz zaczął, przemawiał i przemawiał - tubalnie.

- ... pięćset sześćdziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych, podzielone na cztery odrębne podrezerwaty, każdy otoczony ogrodzeniem pod napięciem.

W tej chwili Bernard przypomniał sobie ni stąd, ni zowąd, że w swojej łazience zostawił odkręcony kurek wody kolońskiej.

- ... zasilane prądem ze stacji hydroelektrycznej w Wielkim Kanionie.

„Ależ będą koszta po powrocie". Oczyma wyobraźni Bernard ujrzał wskazówkę licznika centymetrów bieżących perfum, jak niestrudzenie niczym mrówka okrąża tarczę. „Natychmiast zadzwonić do Helmholtza Watsona".

- ... pięciu tysięcy kilometrów ogrodzenia pod napięciem sześćdziesięciu tysięcy wolt.

- Nie do wiary - zdziwiła się uprzejmie Lenina nie mając pojęcia, o czym nadzorca właściwie mówi, i orientując się jedynie po dramatycznej pauzie w jego oracji. Gdy nadzorca znów uruchomił swój tubalny głos, Lenina ukradkiem połknęła pół grama somy i odtąd mogła już nie słuchać, o niczym nie myśleć i siedzieć z zachwyconym spojrzeniem utkwionym w twarzy nadzorcy.

- Dotknięcie ogrodzenia oznacza natychmiastową śmierć - oznajmił uroczyście nadzorca. - Z rezerwatu dzikich nie ma ucieczki.

Słowo „ucieczka" brzmiało sugestywnie.

- Chyba - powiedział unosząc się nieco w krześle Bernard - powinniśmy już iść. - Mała czarna wskazówka pędziła niczym owad, wwiercała się w czas, wgryzała się w pieniądze Bernarda.

- Nie ma ucieczki - powtórzył nadzorca, gestem ręki polecając Bernardowi usiąść z powrotem, ten zaś musiał się podporządkować, jako że przepustka nie była jeszcze podpisana. - Ci którzy urodzili się w rezerwacie, a proszę pamiętać, szanowna damo - dodał łypiąc nieprzyzwoicie na Leninę i zniżając głos do lubieżnego szeptu - że w rezerwacie dzieci nadal się rodzą, tak, rodzą się, jakkolwiek by to było odrażające... - (Spodziewał się, że to poruszenie wstydliwego tematu wywoła rumieniec u Leniny, ona jednakże uśmiechała się tylko udając, że rozumie, i mówiła: „Nie do wiary". Rozczarowany nadzorca wrócił do tematu). - Ci więc, mówię, którzy urodzili się na terenie rezerwatu, spędzą tam całe swoje życie.

Całe życie... Sto mililitrów wody kolońskiej na minutę. Sześć litrów na godzinę.

- Chyba - Bernard podjął drugą próbę - powinniśmy... Pochylając się w przód, nadzorca stukał palcem w stół.

- Zapytacie może, ilu ludzi żyje w rezerwacie. A ja odpowiem - zawołał triumfalnie - ja odpowiem, że nie wiemy. Możemy tylko przypuszczać.

- Nie do wiary.

- Tak, tak, szanowna młoda damo.

Sześć razy dwadzieścia cztery... nie, ściślej sześć razy trzydzieści sześć. Bernard był blady i aż trząsł się z niecierpliwości. Ale głos grzmiał niestrudzenie:

- ... około sześćdziesięciu tysięcy Indian i mieszkańców... absolutnie dzicy... nasi inspektorzy okresowo odwiedzają... w przeciwnym razie żadnego kontaktu z cywilizowanym światem... ciągle kultywują swe wstrętne zwyczaje i obyczaje... małżeństwo, jeśli szanowna młoda dama wie, co to takiego; rodziny.., żadnego warunkowania.., monstrualne przesądy... chrześcijaństwo, totemizm i kult przodków... martwe języki, jak na przykład zuni, hiszpański, atapaskan... pumy, jeżozwierze i inne drapieżniki... choroby zakaźne... duchowni... jadowite jaszczurki...

- Nie do wiary.

Wreszcie wydostali się. Bernard rzucił się do telefonu. Szybko, szybko; upłynęły jednak prawie trzy minuty, zanim połączono go z Helmholtzem Watsonem.

- Mogliśmy już być wśród dzikich - skarżył się Bernard. - Co za cholerna nieudolność!

- Weź tabletkę - zaproponowała Lenina.

Odmówił; wolał swoją wściekłość. No, dzięki ci, Fordzie, połączono go; tak, tu Helmholtz; wyjaśnił Helmholtzowi, co się zdarzyło, a ten obiecał, że pobiegnie natychmiast, natychmiast i zakręci kurek, tak, tak, natychmiast, ale chciałby skorzystać z okazji i powiedzieć mu, co dyrektor RiW powiedział publicznie wczoraj wieczór...

- Co? Szuka kogoś na moje miejsce? - głos Bernarda omdlewał z rozpaczy. - Zdecydował się? Jak powiedział, Islandia? Jesteś pewien? O, Fordzie! Islandia... – Odwiesił słuchawkę i odwrócił się plecami do Leniny. Twarz miał pobladłą, malował się na niej wyraz skrajnego przygnębienia.

- Co się stało? - usiadł ciężko na krześle.

- Co się stało? - spytała Lenina.

- Przenoszą mnie do Islandii.

Często się dawniej zastanawiał, jak by to było, gdyby (pozbawiony somy, zdany tylko na siebie) wystawiony został na jakąś wielką próbę, jakieś cierpienie czy prześladowanie; wręcz nawet tęsknił do tego. Nie dalej jak tydzień temu w gabinecie dyrektora wyobrażał sobie swój dzielny opór, stoickie przyjmowanie cierpienia bez słowa skargi. Pogróżki dyrektora właściwie nawet go uwzniośliły, poczuł się wyższy niż to cale życie. Tak jednakże

było, uświadomił sobie teraz, bo nie brał tych pogróżek poważnie; nie wierzył, że gdy przyjdzie co do czego, dyrektor RiW cokolwiek w jego sprawie uczyni. Teraz kiedy wyglądało na to, że groźba się faktycznie wypełni, Bernard był przerażony. Po domniemanym stoicyzmie, po teoretycznej odwadze nie pozostało śladu.

Był wściekły na siebie - ależ ze mnie głupiec! - na dyrektora - co za świństwo nie dać mu nawet szansy, szansy, której (nie wątpił w to teraz) na pewno by nie zmarnował. I oto Islandia. Islandia...

Lenina potrząsnęła głową.

- „Było" i „będzie" mnie nie posiędzie - zacytowała. - Gdy tylko zażywam gram, nieustanne „dzisiaj" mam.

Przekonała go w końcu, by wziął cztery tabletki somy. W pięć minut później znikły korzenie i owoce, pozostało tylko różowe kwiecie chwili teraźniejszej. Portier przywiózł wiadomość, że na dachu hotelu czeka na nich z helikopterem przybyły na polecenie nadzorcy strażnik rezerwatu. Natychmiast pojechali na górę. Człowiek z domieszką jednej ósmej krwi murzyńskiej ubrany w zielony mundur gammy zasalutował i wziął się do recytowania porannej części programu pobytu.

Oglądanie z lotu ptaka około dziesięciu lub dwunastu głównych wiosek, potem lądowanie w dolinie Malpais. Był tam wygodny dom wypoczynkowy, w pobliskiej zaś wiosce dzicy będą prawdopodobnie obchodzić swoje święto lata. Noc najlepiej spędzić właśnie w tym domu.

Zasiedli w samolocie i wyruszyli. W dziesięć minut później przekraczali granicę dzielącą cywilizację od świata dzikich. Grzbietami wzgórz i dolinami, przez pustynie soli lub piasku, przez lasy, Fioletowy mrok kanionów, turnie i szczyty gór, płasko zwieńczone skały biegło ogrodzenie, niezłomnie w linii prostej, jak geometryczny symbol triumfu ludzkiego czynu. U podstawy ogrodzenia rysowała się gdzieniegdzie mozaika białych kości; nieprzegniłe jeszcze szczątki ciemniejące na brunatnym gruncie znaczyły miejsca, gdzie jeleń, wół, puma, jeżozwierz, kojot lub żarłoczny sęp, zwabione wonią padliny i porażone jakby dłonią sprawiedliwości, podeszły zbyt blisko do śmiercionośnych drutów.

- Nie mogą się nauczyć - powiedział zielono odziany pilot wskazując palcem szkielety w dole. - I nigdy się nie nauczą - dodał i roześmiał się, jak gdyby uśmiercone prądem zwierzęta były w jakiś sposób jego osobistym zwycięstwem.

Bernard też się roześmiał; po dwóch gramach somy żart wydawał się dobry. Roześmiał się, a potem niemal natychmiast zapadł w sen; tak przebywał miejscowości, nad którymi przelatywali, Taos i Tesque, Nambe, Picurls i Pojoaque, Sia i Cochiti, Laguna i

Acoma, Zaczarowany Płaskowyż, Zuňi, Cibola i Ojo Caliente; gdy się obudził, maszyna stała na ziemi, Lenina wniosła walizki do małego graniastego domu, a zielony, w jednej ósmej murzyński gamma rozmawiał w niezrozumiałym języku z młodym Indianinem.

- Malpais - wyjaśnił pilot, gdy Bernard wysiadł. - To jest dom wypoczynkowy. Po południu w wiosce będą tańce. On państwa zaprowadzi - wskazał na posępnego młodego dzikusa. - Zabawny jest. - Uśmiechnął się. - Wszystko co oni robią, jest zabawne. - Z tymi słowami wspiął się do samolotu i uruchomił silniki. - Wrócę jutro. I proszę pamiętać - zwrócił się tonem pocieszenia do Leniny - że oni są zupełnie oswojeni, nie zrobią żadnej krzywdy. Gazy łzawiące oduczyły ich robienia głupich kawałów. - Ciągle roześmiany włączył śmigła, potem biegi i odleciał.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Płaskowyż przypominał okręt przez brak wiatru unieruchomiony wśród płowego pyłu. Strome brzegi wyznaczały głęboki kanion, którego dnem, od jednej ściany skalnej do drugiej, wiła się smuga zieleni - rzeka i pola. Na dziobie tego kamiennego okrętu, w samym środku owej smugi, jako jej integralna część, niby ociosana i rzeźbiona skała, rozciągała się osada Malpais. Bryła na bryle, każdy następny blok mniejszy niż poprzedni, wysokie domy pięły się ku błękitnemu niebu jak piramidy o ściętych wierzchołkach i tarasowym kształcie. U ich stóp tłoczyły się niskie budynki, plątanina murów; z trzech stron ściany opadały stromo wprost ku pustyni. Kilka słupów dymu unosiło się pionowo i rozpraszało w nieruchomym powietrzu.

- Dziwne - powiedziała Lenina. - Bardzo dziwne. - W ten sposób zazwyczaj wyrażała dezaprobatę. - Nie podoba mi się tu. I ten człowiek też mi się nie podoba - wskazała na indiańskiego przewodnika, który miał ich zaprowadzić do osady. Jej uczucia były najwyraźniej odwzajemniane: nawet plecy idącego przed nimi dzikusa były wrogie, pełne ponurej pogardy.

- Poza tym - zniżyła glos - ta jego woń.

Bernard nie próbował przeczyć. Wędrowali dalej.

Nagle wydało się, że powietrze ożyło i zaczęło pulsować; pulsowało niestrudzenie niczym tętno. W górze, w Malpais, zaczęły bić bębny. Stopy idących kroczyły w rytm tego tajemniczego serca; przyspieszyli kroku. Ścieżka wiodła do podnóża ściany. Burty wielkiego okrętu-płaskowyżu zwieszały się nad nimi, trzysta stóp nad poziomem zanurzenia.

- Trzeba było wziąć helikopter - powiedziała Lenina patrząc z niechęcią na sterczącą martwo skałę. - Nie znoszę chodzić. Człowiek czuje się taki mały u podnóża góry.

Szli przez pewien czas w cieniu skały, aż okrążyli występ; w wyżłobionym wodą parowie odsłoniła się ścieżka w górę, niczym drabinka sznurowa. Zaczęli się wspinać. Była to prawdziwie wąska ścieżynka i wiła się zygzakami nad przepaścią. Tętnienie bębnów momentami cichło, momentami zdawało się dochodzić tuż zza załomu skały.

Gdy byli w połowie drogi do wierzchołka, w pobliżu przemknął orzeł, tak blisko nich, że powiew jego skrzydeł owionął im twarze. W szczelinie skalnej leżał stos kości. Wszystko to było nieznośnie niepokojące, Indianin zaś cuchnął coraz mocniej. Wreszcie wydostali się z parowu na zalany słońcem grzbiet. Wyglądał jak płaski kamienny blat.

- Przypomina wieżę na Charing-T - stwierdziła Lenina. Nie było jej jednak dane cieszyć się długo tym krzepiącym podobieństwem. Miękkie człapanie stóp kazało im się odwrócić Ścieżką nadbiegało dwóch Indian; byli nadzy od głowy do pępka, ciemnobrązowe

ciała pokrywały wymalowane białe pasy („jak na asfaltowych kortach", wyjaśniła potem Lenina), twarze wyglądały nieludzko pod warstwami farby szkarłatnej, Czarnej żółtej. Czarne włosy mieli przystrojone lisim futrem i czerwoną flanelą. Pęki piór indyczych powiewały im u ramion; znad głów wystrzeliwały ogromne korony z piór w krzykliwych barwach. Każde ich stąpnięcie przybliżało klekot i grzechot srebrnych bransolet, ciężkich kościanych naszyjników z turkusowymi paciorkami. Nadciągali w milczeniu, biegnąc cicho w mokasynach z jeleniej skóry. Jeden z nich niósł miotełkę z piór, drugi w każdej dłoni trzymał coś, co z daleka wyglądało na pęk trzech lub czterech kawałków grubej liny. Jeden z kawałków wił się niespokojnie i Lenina stwierdziła nagle, że to węże.

Mężczyźni zbliżali się; ich czarne oczy spoglądały na nią, lecz nie dawały po sobie poznać, że ją zauważają, nie dawały najmniejszego znaku, że ją dostrzegły lub uświadomiły sobie jej obecność. Wijący się wąż zwisał teraz bezwładnie jak reszta węży. Mężczyźni minęli idących i pobiegli dalej.

- Nie podoba mi się tu - powiedziała Lenina. - Nie podoba mi się tu.

Jeszcze mniej jej się podobało to, co zobaczyła po wejściu do osady; przewodnik zostawił ich na pewien czas i poszedł odebrać polecenia. A więc przede wszystkim brud, sterty śmieci, kurz, psy, muchy. Twarz Leniny wykrzywił grymas obrzydzenia. Przyłożyła chusteczkę do twarzy.

- Jak oni mogą tak żyć? - wybuchnęła głosem pełnym oburzenia i niedowierzania (Przecież nie mogą).

Bernard z filozoficznym spokojem wzruszył ramionami.

- No cóż - powiedział - mimo wszystko żyją tak od pięciu czy sześciu tysięcy lat. Myślę więc, że już przywykli.

- Ale przecież kto żyje fordobojnie, mydła używa hojnie - nie dawała za wygraną Lenina.

- Tak, a cywilizacja to sterylizacja - tonem ironii Bernard dopowiedział drugą hipnopedyczną formułę z higieny elementarnej. - Ci ludzie jednakże nigdy nie słyszeli o Panie Naszym Fordzie, no i nie są cywilizowani. Nie ma więc sensu...

- Och! - chwyciła go za ramię. - Popatrz.

Prawie nagi Indianin bardzo powoli schodził po drabince z tarasu pierwszego piętra sąsiedniego domu - szczebel po szczeblu, ostrożnie, drżąc w sposób charakterystyczny dla człowieka bardzo starego. Poczerniałą twarz pokrywały głębokie zmarszczki, niczym obsydianowa maska. Zapadnięte bezzębne usta. Nad ustami i na policzkach długa rzadka szczecina pobłyskiwała niemal biało na tle ciemnej skóry. Długie, rozpuszczone w nieładzie

włosy zwieszały się siwymi kosmykami. Ciało miał przygarbione, chude jak szkielet, sama skóra i kości. Schodził niezmiernie powoli, przystając na każdym szczeblu, nim się ważył na kolejny krok.

- Co mu jest? - szepnęła Lenina. Oczy miała rozszerzone grozą i zdumieniem.

- Jest po prostu stary - Bernard odpowiedział tonem najbardziej obojętnym, na jaki mógł się zdobyć. On również był poruszony, starał się jednak nie dać tego po sobie poznać.

- Stary? - powtórzyła. - Ale nasz dyrektor też jest stary; wielu ludzi jest starych, a tak nie wyglądają.

- To dlatego, że nie pozwalamy im tak wyglądać. Chronimy ich przed chorobami. W sposób sztuczny utrzymujemy ich wydzielanie wewnętrzne w proporcjach charakterystycznych dla osobników młodych. Nie pozwalamy spaść relacji magnezu do wapnia poniżej poziomu właściwego osobom trzydziestoletnim. Robimy im transfuzje z młodej krwi. Stymulujemy nieustannie ich metabolizm. Dlatego nie wyglądają, rzecz jasna, tak jak ten tutaj. Częściowo dlatego - dodał - że większość z nich umiera na długo przed osiągnięciem wieku tego starucha. Do sześćdziesiątki młodość niemal doskonała, a potem trach! koniec.

Jednakże Lenina nie słuchała. Wpatrywała się w starca. Schodził w dół. Powoli, krok za krokiem. Jego stopy dotknęły ziemi. Odwrócił się. Głęboko zapadnięte oczy ciągle jeszcze zachowywały nadzwyczajny blask. Przez długą chwilę patrzyły na nią obojętnie, bez zdziwienia, jakby jej tam w ogóle nie było. Potem powoli, zgarbiony, starzec podreptał, minął Leninę i Bernarda i znikł.

- Ależ to straszne - szepnęła Lenina. - Straszne. Nie powinniśmy byli tu przyjeżdżać. - Sięgnęła do kieszeni po somę i okazało się, że przez jakieś roztargnienie zostawiła Fiolkę na dole, w domu wypoczynkowym. Kieszenie Bernarda również były puste.

Musiała więc o własnych siłach sprostać okropnościom Malpais. Tych zaś niebawem było w obfitości. Na widok dwóch młodych kobiet karmiących dzieci piersią zaczerwieniła się i odwróciła wzrok. Jak żyje, nie widziała czegoś równie gorszącego. A jeszcze Bernard, zamiast taktownie pominąć epizod milczeniem, wdał się w komentarze na temat tej odrażająco żyworodnej sceny. Zawstydzony, teraz kiedy soma przestała już działać, swoją poranną słabością, starał się jak mógł okazać siłę i nieprawomyślność.

- Cóż za uroczo intymny kontakt - powiedział z prowokacyjnym bezwstydem. - A jaką to musi rodzić siłę uczucia! Często myślę, że wraz z matką czegoś mnie pozbawiono. I może także ciebie, Lenino, czegoś pozbawiono, nie pozwalając ci być matką. Wyobraź sobie, że siedzisz tam sobie z własnym dzieciątkiem.

- Bernard! Jak możesz! - Pojawienie się staruszki z jaglicą 1 wrzodami odwróciło uwagę Leniny od jej własnego oburzenia.

- Chodźmy stąd - prosiła. - Nie podoba mi się tu.

W tej chwili jednakże wrócił przewodnik i skinąwszy im dłonią poprowadził ich w dół wąską uliczką między domami. Skręcili za róg. Zdechły pies leżał na stercie śmieci; kobieta z wolem na szyi wybierała wszy z włosów małej dziewczynki. Przewodnik zatrzymał się u stóp jakiejś drabiny, uniósł ramię w górę, potem wyciągnął je przed siebie. Spełnili to nieme polecenie - wdrapali się na drabinę, która kończyła się przed jakimiś drzwiami, i weszli do środka; znaleźli się w długim wąskim pokoju, mrocznym, pełnym woni dymu, topionego łoju i starej, znoszonej odzieży. Na przeciwległym krańcu pokoju były inne drzwi, przez które wpadał snop światła słonecznego oraz bardzo głośny i bliski hałas bębnów. Przestąpili próg i znaleźli się na rozległym tarasie. Poniżej, zamknięty zewsząd wysokimi domami, rozciągał się zatłoczony Indianami plac wiejski. Jasne koce, pióra w czarnych włosach, błyski turkusowych paciorków, lśniąca od potu skóra. Lenina znów przyłożyła chusteczkę do twarzy. Na odsłoniętej przestrzeni, w środku placu, znajdowały się dwa obmurowane koliste podesty o glinianej powierzchni, najwyraźniej dachy podziemnych zabudowań, jako że środek każdego z podestów zajmował otwór z wynurzającą się z mroku drabiną. Z otworu dobiegał dźwięk fletu, ale ginął w upartym, bezlitosnym łoskocie bębnów.

Leninie podobały się bębny. Zamknąwszy oczy poddała się ich miękkiemu, monotonnemu rytmowi, pozwalała mu wnikać coraz głębiej w świadomość, aż wreszcie ze świata nie pozostało nic prócz tego jednego głębokiego tętna dźwięku. Przypominało jej ono (i było to krzepiące) syntetyczne brzmienie podczas posługi solidarnościowej i podczas obchodów Dnia Forda. „Orgia-porgia" - szepnęła do siebie. Te bębny wybijają dokładnie te same rytmy.

I nagle ogłuszająco wybuchł śpiew - setki męskich głosów dziko wykrzykujących ostrym, metalicznym unisono. Kilka długich nut i cisza, grzmiąca cisza bębnów; potem przenikliwe wysokie tony, odpowiedź kobiet. Potem znów bębny; i jeszcze raz głębokie tony dzikiej samczej afirmacji męskości.

Dziwne.., tak, dziwne.. Miejsce było dziwne, muzyka dziwna, a także stroje, wole, wrzody i starcy. Ale samo przedstawienie.., nie było w nim niczego szczególnie dziwnego.

- Przypomina mi to śpiewy wspólnotowe kast niższych - powiedziała do Bernarda.

Jednakże już chwilę potem o wiele mniej przypominało jej to tę nieszkodliwą uroczystość. Nagle bowiem z owych kolistych podziemnych pomieszczeń wyroiła się grupa odrażających potworów. Przystrojone we wstrętne maski lub wymalowane w sposób

pozbawiający je wszelkiego podobieństwa do istot ludzkich, rozpoczęły osobliwy, pełen wyskoków i przypadania do ziemi taniec wokół placu; dookoła, potem jeszcze raz, ze śpiewem - a każde okrążenie nieco szybsze; bębny zmieniły i przyspieszyły rytm, tak iż ich bicie przypominało pulsowanie tętna w uszach podczas gorączki; tłum zaczął śpiewać wraz z tancerzami, coraz głośniej i głoś- niej. Jedna z kobiet wydała ostry krzyk, potem druga i trzecia, krzyczały jak zarzynane; nagłe prowadzący tancerzy złamał szyk, pobiegł do dużej drewnianej skrzyni, która stała w rogu placu, podniósł wieko i wydobył dwa czarne węże. Z tłumu wyrwał się wielki krzyk i reszta tancerzy z wyciągniętymi rękami podbiegła do prowadzącego. Rzucił węże pierwszym nadbiegającym, potem znowu sięgnął do wnętrza skrzyni. Wydobywał coraz to nowe węże - czarne, brązowe, nakrapiane. Potem taniec trwał dalej, lecz w innym już rytmie. Raz za razem okrążali plac z wężami w rękach, idąc wężowymi ruchami, z miękkim, falującym uginaniem kolan i bioder. Ciągle w koło. Potem prowadzący dal znak i zaczęto rzucać węże na środek placu; z podziemia wyłonił się jakiś staruch i rzucił wężom trochę mąki, z drugiej zaś nory wyszła kobieta i z czarnego dzbana skropiła je wodą. Potem staruch podniósł rękę i zapadła niepokojąca, przerażająca, absolutna cisza. Umilkły bębny, zdawało się, że wszelkie życie wymarło. Staruch wskazał owe dwie jamy, dając wstęp do podziemnego świata. I powoli, powoli, unoszony przez niewidoczne ręce, zaczął się wynurzać z otworu malowany wizerunek orła - z drugiej zaś jamy wizerunek przybitego do krzyża nagiego człowieka. Zawisły tam jak gdyby o własnych siłach i jakby w oczekiwaniu. Staruch klasnął w dłonie. Odziany tylko dość napatrzyli, zaczęli powoli zanurzać się w otwory, znikać w białą bawełnianą przepaskę biodrową mniej więcej osiemnastoletni chłopak wystąpił z tłumu i stanął przed starcem; ręce miał skrzyżowane na piersi, głowę pochyloną. Starzec uczynił nad nim znak krzyża i odwrócił się. Chłopak zaczął powoli iść wokół kłębowiska węży. Odbył jedno okrążenie i znajdował się w połowie drugiego, gdy spośród tancerzy wystąpił ku niemu mężczyzna w masce kojota i z biczem z plecionej skóry w dłoni. Chłopak poruszał się jakby nieświadom obecności innych. Człowiek-kojot uniósł bicz; długa chwila wyczekiwania, potem szybki ruch, świst bicza i suchy odgłos uderzenia. Ciało chłopaka zadrgało, on jednak nie wydał żadnego dźwięku, szedł dalej tym samym wolnym, jednostajnym krokiem. Kojot uderzył po raz drugi i trzeci; przy każdym uderzeniu tłum najpierw wciągał oddech, po czym wydawał głęboki jęk. Dwa okrążenia, trzy, cztery. Ciekła krew. Pięć okrążeń, sześć. Nagle Lenina zakryła twarz rękami i zaczęła szlochać. „Och, przerwij to, niech oni przestaną!”, prosiła. Ale bicz pracował niestrudzenie. Siedem okrążeń. Potem chłopak zachwiał się i nie wydawszy głosu upadł na twarz. Pochylając się nad nim, starzec dotknął jego pleców długim białym piórem, uniósł je na

moment, czerwone, by ludzie mogli zobaczyć, potem trzykrotnie potrząsnął nim nad wężami. Kilka kropel krwi spadło i wtedy bębny wybuchły nagle panicznym, pospiesznym rytmem; podniósł się wielki krzyk. Tancerze rzucili się ku kłębowisku węży, porywali je ze sobą i wybiegali z placu. Mężczyźni, kobiety, dzieci, cały tłum ruszył za nimi. W minutę później plac był już pusty, tylko leżący nieruchomo twarzą do ziemi chłopak pozostał tam, gdzie upadł. Z jednego z domów wyszły trzy stare kobiety, z niejakim trudem podźwignęły ciało i wniosły je do środka. Orzeł i człowiek na krzyżu jeszcze przez chwilę strażowali nad opustoszałym terenem; potem, jakby się już w niewidocznym podziemnym świecie.

Lenina ciągle szlochała.

- To straszne - powtarzała, a pocieszenia Bernarda były daremne. - Straszne! Krew! - Wzdrygnęła się. - Och, czemu nie mam somy!

Z pokoju dobiegł odgłos kroków.

Lenina siedziała jednak bez ruchu, z twarzą w dłoniach, z niewidzącym wzrokiem, oszołomiona. Tylko Bernard się odwrócił.

Młody człowiek, który teraz wkraczał na taras, miał na sobie strój indiański, jednakże jego zaplecione w warkocze włosy były barwy pszenicy, oczy bladobłękitne, skóra zaś biała, spalona słońcem.

- Cześć. Dzień dobry - powiedział obcy bezbłędną, choć nieco dziwną angielszczyzną. - Jesteście cywilizowani, prawda? Przybywacie z Tamtego Świata, spoza rezerwatu?

Kto, u licha...? - zaczął zdumiony Bernard.

Młody człowiek westchnął i pokiwał głową.

- Najnieszczęśliwszy ze szlachetnie urodzonych. - A wskazując na plamy krwi na środku placu spytał głosem drżącym ze wzruszenia: - Widzicie to cholerne miejsce?

- Lepiej gram zaaplikować, niż cholerować - zareagowała automatycznie Lenina, kryjąc nadal twarz w dłoniach. - Och, gdzież jest moja soma!

- To ja powinienem tam być - ciągnął młody człowiek. - Dlaczego mi nie pozwolili? Obszedłbym dziesięć razy. Dwanaście, piętnaście. Paloutiwa wytrwał tylko do siedmiu. Ze mnie mieliby dwa razy więcej krwi. Rozległe morze karmazynu. - Rozłożył ramiona gestem szczodrości, po czym opuścił je z rezygnacją. - No ale mnie nie wzięli. Nie podoba im się moja karnacja. Zawsze tak było. Zawsze. - W oczach błysnęły mu łzy; zawstydził się i odwrócił twarz.

Ze zdumienia Lenina zapomniała o braku somy. Odsłoniła twarz i spojrzała po raz pierwszy na przybysza.

- Czy to znaczy, że chciałeś, by cię bito tym biczem?

Ciągle odwrócony, młody człowiek kiwnął głową w odpowiedzi.

- Dla dobra osady... żeby wyprosić deszcz i żeby zboże urosło. I żeby zadowolić Pookonga i Jezusa. I jeszcze żeby dowieść, że potrafię znieść ból w milczeniu. Tak - tu jego głos nabrał innego tonu, on zaś odwrócił się ku nim, dumnie prostując ramiona, dumnie wznosząc głowę - dowieść, że jestem mężczyzną... oo! - Wydawszy cichy okrzyk, umilkł i patrzył. Po raz pierwszy w życiu widział twarz dziewczyny, której policzki nie były koloru czekolady lub psiej sierści i której włosy były złociste i ułożone w loki, mina zaś (zadziwiająca nowość!) wyrażała pełne życzliwości zainteresowanie. Lenina uśmiechała się do niego, myśląc w duchu: jaki przystojny chłopiec, co za piękne ciało. Młodzieniec zarumienił się, spuścił wzrok, łypnął na nią stwierdzając, że nadal się uśmiecha, i był tak poruszony, że musiał się odwrócić udając, że bardzo uważnie wpatruje się w coś po przeciwległej stronie placu.

Pytania Bernarda odmieniły aurę tej chwili. Kto? jak? Kiedy? Skąd? Ze wzrokiem wbitym w twarz Bernarda (bo tak bardzo pragnął ujrzeć uśmiech Leniny, że wręcz nie odważał się na nią spojrzeć) młody człowiek usiłował wyjaśnić swoją sytuację. Linda i on - Linda to jego matka (słowo to wprawiło Leninę w zażenowanie) - byli obcy w rezerwacie. Linda przybyła z Tamtego Świata dawno temu, zanim jeszcze on się urodził, z człowiekiem, który był jego ojcem. (Bernard nadstawił uszu). Chodziła samotnie po tych górach na północy, spadła ze skały i doznała urazu głowy. („No, no, dalej", popędzał podekscytowany Bernard). Jacyś myśliwi z Malpais znaleźli ją i przynieśli do osady. Tego mężczyzny, jego ojca, Linda nigdy więcej nie widziała. Nazywał się Tomakin (Tak, dyrektor RiW miał na imię Tomasz). Na pewno wrócił do Tamtego Świata bez niej - zły człowiek, pozbawiony ludzkich uczuć.

- No i tak urodziłem się w Malpais - zakończył. - W MaIpais. - I pokiwał głową.

Nędza i brud tego małego domku na krańcu osady!

Piaszczysty, zaśmiecony teren oddzielał go od wioski. Dwa wygłodniałe psy węszyły obrzydliwie w stercie śmieci u wejścia. We wnętrzu, do którego weszli, panował półmrok, smród i głośno brzęczały muchy.

- Linda! - zawołał młody człowiek.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł ochrypły kobiecy głos:

- Idę.

Czekali. W miskach stojących na podłodze znajdowały się resztki posiłku, a może kilku posiłków.

Otwarły się drzwi. Bardzo otyła, jasnowłosa kobieta przestąpiła próg i stanęła patrząc na przybyszów - z niedowierzaniem, z półotwartymi ustami. Lenina zauważyła z obrzydzeniem, że kobieta nie miała dwóch przednich zębów. A barwa tych, które pozostały... Wzdrygnęła się. To było gorsze niż tamten staruch. Taka tłusta. I ta twarz, zmięta, pomarszczona. Te obwisłe policzki w czarne plamy. Żyłki na nosie, przekrwione oczy. No i szyja - coś podobnego; nakrycie głowy - w brudnawych strzępach. A pod brązową, workowatą tuniką te ogromne piersi, wydęty brzuch, biodra. Och, dużo to gorsze niż staruch, dużo gorsze! I nagle ten stwór bluznął potokiem słów, rzucił się do niej z wyciągniętymi ramionami i - och, Fordzie! robi jej się niedobrze, zaraz zwymiotuje - przycisnął ją do tego brzucha, do piersi i zaczął obcałowywać. Fordzie! obcałowywać, śliniąc ją i owiewając okropną wonią, ta kobieta na pewno nigdy się nie kąpie i czuć ją tą straszną cieczą, którą dolewa się do butli delt i epsilonów (nie, ta plotka o Bernardzie na pewno nie jest prawdziwa), po prostu czuć ją alkoholem. Lenina wyrwała się z objęć możliwie najszybciej.

Patrzyła na nią zwilgotniała, poruszona twarz; stwór płakał.

- Och, moja droga, moja droga. - Wraz z potokiem łez płynął potok słów. - Gdybyś ty wiedziała, co za radość... po tylu latach. Cywilizowana twarz. Och, i cywilizowane stroje. Ja już myślałam, że nigdy więcej nie zobaczę ani kawałka sztucznego jedwabiu. - Dotykała rękawa bluzki Leniny. Paznokcie były czarne. - I te przecudne szorty z imitacji aksamitu! Wiesz, kochanie, że ciągle jeszcze przechowuję tę starą odzież, w której przyjechałam; trzymam ją w skrzyni. Później ci pokażę. Chociaż co prawda jedwab jest cały w dziurach. Ale mam taki śliczny biały pas; choć muszę przyznać, że ten twój zielony z safianu jest jeszcze ładniejszy. Chociaż m n i e ten mój pas nie na wiele się przydał. - Znowu zalała się łzami. - John chyba ci już mówił. Co ja się nacierpiałam! I ani grama somy. Piłam tylko od czasu do czasu meskal, który mi przynosił Popě. Popě to był mój znajomy chłopiec. Ale po meskalu czułam się tak źle, a peyotlu wprost nie mogłam znieść; zresztą następnego dnia ma się po nich jeszcze silniejsze uczucie wstydu. A ja się naprawdę wstydziłam. Bo pomyśl tylko; ja, beta, mam dziecko; postaw się tylko w moje położenie. - (Już na samą tę sugestię Leninę przeszedł dreszcz). - Choć to nie była moja wina, przysięgam; do dziś nie wiem, jak to się właściwie stało, bo przecież wypełniałam wszystkie maltuzjańskie zalecenia, wiesz, po kolei, pierwsze, drugie, trzecie, czwarte, zawsze, przysięgam; a jednak to się stało. Tu, rzecz jasna, nie ma ośrodka spędzania płodu, czy czegoś w tym rodzaju. A przy okazji, czy nadal ten ośrodek jest w Chelsea? - zapytała. Lenina potwierdziła skinieniem głowy. - I zawsze taki oświetlony we wtorki i piątki? - Lenina znów potwierdziła. - Ta śliczna wieża z różowego szkła! - Biedna Linda uniosła twarz i z zamkniętymi oczyma w uniesieniu kontemplowała

zapamiętany jasny obraz. - I rzeka wieczorami - szepnęła. Wielkie łzy wytoczyły się powoli spomiędzy mocno zaciśniętych powiek. - I powrót wieczorem ze Stoke Poges. A potem gorąca kąpiel i aparat do masażu... No cóż. - Odetchnęła głęboko, potrząsnęła głową, otwarła oczy, pociągnęła nosem raz czy dwa, potem wysmarkała się na podłogę, palce zaś otarła tuniką. - Och, przepraszam bardzo - szepnęła w odpowiedzi na mimowolny grymas niesmaku Leniny. - Nie powinnam się tak zachowywać. Przepraszam bardzo. Ale co człowiek ma robić, kiedy nie ma chusteczek? Pamiętam, jak mnie to przygnębiało, cały ten brud, ten brak higieny. Miałam straszną ranę na głowie, kiedy mnie tu przynieśli. Nie wyobrażasz sobie, czym mi ją opatrywali. Gnój, po prostu gnój. Mówiłam im: „Cywilizacja to sterylizacja". I: „Ten kto bakterie tępić chce, czystą ma wannę i wc", tak jakby byli dziećmi. Ale oni oczywiście nie rozumieli. No bo jak? I w końcu przywykłam. Zresztą jak można utrzymywać czystość bez bieżącej ciepłej wody? Spójrz na tę odzież. Ta obrzydliwa wełna to nie to co syntetyk. Jest nie do zdarcia. A kiedy się pruje, należy ją cerować. Ale ja jestem beta; pracowałam w dziale zapładniania; nikt mnie takich rzeczy nie uczył. To nie należało do mnie. Poza tym naprawianie odzieży uchodziło za niewłaściwe. Wyrzucać, kiedy się robią dziury, i kupować nowe. „Dużo łat, nędzny świat". Czy to nie słuszne? Naprawianie jest aspołeczne. Ale tu to zupełnie co innego. Tu jest tak, jakby się żyło wśród wariatów. Wszystko, co robią, jest obłąkane. - Rozejrzała się wokoło; spostrzegła, że John i Bernard opuścili je i spacerują tam i z powrotem wśród kurzu i śmieci przed domem. Niemniej jednak zniżyła głos do poufnego szeptu, tak blisko pochylając się ku zesztywniałej i odsuwającej się Leninie, że przesycony zabójczą dla embrionów trucizną oddech rozwiewał włosy Leniny.

- Weź na przykład - szepnęła Linda ochryple - sposób, w jaki żyją ze sobą. Obłąkany, powiadam ci, zupełnie obłąkany. Każdy należy do każdego, prawda? Czyż nie tak? - ciągnęła Leninę za rękaw. Lenina przytaknęła odwróconą głową i wypuściwszy wstrzymywane w płucach powietrze zaczerpnęła świeżego, mniej zatrutego. - No właśnie - ciągnęła kobieta - natomiast tu nikt nie może należeć do więcej niż jednej osoby. A jeśli jesteś z kimś w zwykły sposób, oni uważają, że jesteś zepsuta i aspołeczna. Nienawidzą cię i gardzą tobą. Pewnego razu przyszło mnóstwo kobiet, zrobiły awanturę, bo ich mężczyźni przychodzili do mnie. A cóż w tym złego? I potem rzuciły się na mnie... Och, to było straszne. Nie mogę ci o tym opowiadać. - Linda zakryła twarz rękami, jej ciało drżało. - Te kobiety są pełne nienawiści. Obłąkane, obłąkane i okrutne. I oczywiście nie wiedzą nic o przepisach maltuzjańskich, butlach, butlacji ani o żadnej z tych rzeczy. Dlatego raz po raz rodzą dzieci - jak psy. To wprost odrażające. I pomyśleć, że ja... Och, Fordzie, Fordzie, Fordzie! Ale trzeba przyznać, że John bardzo mi się przydał. Nie wiem, co bym poczęła bez niego. Mimo że tak go

przygnębiało, gdy jakiś mężczyzna... Już jako małego chłopca. Kiedyś (ale wtedy był już większy) próbował zabić biednego Waihusiwę... a może był to Popě... tylko dlatego, że miałam go od czasu do czasu. Nigdy nie zdołałam mu wytłumaczyć, że u cywilizowanych ludzi to rzecz przyzwoita. Szaleństwo jest zaraźliwe, jak sądzę. W każdym razie John przejął to od Indian. Bo oczywiście stale wśród nich przebywał. Mimo że oni byli dla niego tacy źli i nie pozwalali mu robić wszystkiego, co robili inni chłopcy. W gruncie rzeczy to nawet dobrze, bo w ten sposób łatwiej mi było trochę go ukształtować. A nie masz pojęcia, jakie to jest trudne. Tylu rzeczy nie wie; te sprawy nie należały do moich zadań. Na przykład kiedy dziecko pyta, jak działa helikopter albo kto stworzył świat, to cóż mu odpowiesz, jeśli jesteś betą i zawsze pracowałaś w dziale zapładniania? Cóż mu odpowiesz?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Po podwórku, w kurzu i pośród śmieci (teraz były cztery psy) Bernard i John spacerowali z wolna tam i z powrotem.

- Jest mi tak trudno to pojąć mówił Bernard - odtworzyć to sobie. Tak jakbyśmy żyli na dwu różnych planetach, w różnych epokach. Matka, cały ten brud, bogowie, starość, choroby... - Potrząsnął głową. - To wprost niepojęte. Nie pojmę, dopóki mi nie wyjaśnisz.

- Wyjaśnię co?

- To- wskazał osadę. - To - wskazał mały domek za wsią. - Wszystko. Całe twoje życie.

- Ale o czymże tu mówić?

- O wszystkim, od samego początku. Dokąd tylko zdołasz sięgnąć pamięcią.

- Dokąd zdołam sięgnąć pamięcią - John zmarszczył brwi. Zapadła długa chwila milczenia.

Było bardzo gorąco. Zjedli mnóstwo placków i słodkiej kukurydzy. Linda powiedziała: „Chodź, dziecinko, się położyć". Leżeli razem na dużym łóżku. „Zaśpiewaj mi", i Linda zaśpiewała. Zaśpiewała: „Ten kto bakterie tępić chce, czystą ma wannę i wc", oraz: „Śpij, bobasku mój kochany, wnet będziesz wybutlowany". Jej głos brzmiał coraz ciszej i ciszej.

Nagły głośny hałas wyrwał go ze snu. Obok łóżka stał mężczyzna, ogromny, przerażający. Mówił coś do Lindy, a ona się śmiała. Podciągnęła koc aż pod brodę, a mężczyzna ściągał go w dół. Włosy mężczyzny przypominały dwie czarne liny, a jego ramię otaczała piękna srebrna bransoleta wysadzana niebieskimi kamieniami. Podobała mu się ta bransoleta, mimo to był jednak przestraszony; ukrył buzię w ramionach Lindy. Objęła go i poczuł się bezpieczniej. W owym języku, którego zbyt dobrze nie rozumiał, Linda powiedziała do mężczyzny: „Nie przy Johnie". Mężczyzna spojrzał na niego, potem na Lindę i wypowiedział kilka słów cichym głosem. Linda odrzekła: „Nie". Ale mężczyzna przechylił się ku niemu przez łóżko, a twarz miał ogromną, straszną; czarne liny włosów dotykały koca. „Nie", powiedziała powtórnie Linda i poczuł, że jej ręce objęły go mocniej. „„Nie, nie!" Mężczyzna jednakże chwycił go za ramię, zabolało. Zaczął wrzeszczeć. Mężczyzna złapał go za drugą rękę i uniósł w górę. Linda ciągle go trzymała, powtarzając: „Nie, nie". Mężczyzna rzucił gniewnie kilka słów i nagle ręce przestały go obejmować. „Linda, Linda". Kopał, wierzgał, ale mężczyzna poniósł go do drzwi, otwarł je, posadził go na podłodze na środku

sąsiedniego pokoju i wyszedł, zamykając drzwi za sobą. On zaś wstał, podbiegł do drzwi. Stając na palcach mógł z trudem dosięgnąć drewnianego rygla. Uniósł go i pchnął drzwi, te jednak nie otwarły się. „Linda”, krzyczał. Nie odpowiadała.

Przypomina sobie obszerne mroczne pomieszczenie i duże drewniane przedmioty z przymocowanymi do nich grubymi nićmi; wokół tych przedmiotów stało wiele kobiet - robią koce, powiedziała Linda. Poleciła mu usiąść w rogu izby wśród innych dzieci, a sama poszła pomagać kobietom. Przez długi czas bawił się z tamtymi chłopcami. Nagle ludzie zaczęli coś mówić bardzo głośno, kobiety popychały Lindę, a ona płakała. Skierowała się w stronę drzwi; on pobiegł za nią. Zapytał, dlaczego tamci się złoszczą. „Bo coś zepsułam”, powiedziała. Potem sama się rozzłościła. „„Skąd miałam wiedzieć, jak robi się to ich obrzydliwe tkactwo?”, wołała. „Wstrętne dzikusy”. Zapytał, co to są dzikusy. Kiedy wrócili do domu, pod drzwiami czekał Popĕ, a on wszedł za nimi. Popĕ miał ze sobą dużą tykwę pełną cieczy, która wyglądem przypominała wodę, tyle że to nie była woda, lecz coś o brzydkim zapachu, co piekło w język i przyprawiało o kaszel. Linda upiła trochę, potem Popĕ upił, potem Linda dużo się śmiała i bardzo głośno mówiła; a potem ona i Popĕ wyszli do sąsiedniego pokoju. Gdy Popĕ poszedł, on wślizgnął się do pokoju. Linda leżała w łóżku i spała tak twardo, że nie mógł jej dobudzić.

Popĕ przychodził często. Powiedział, że płyn w tykwie nazywa się meskal, ale Linda twierdziła, że powinien się nazywać soma, tyle że po nim człowiek czuje się źle następnego dnia. Nienawidził Popĕ. Nienawidził ich wszystkich - wszystkich mężczyzn, którzy odwiedzali Lindę. Jednego popołudnia, gdy bawił się z dziećmi - pamięta, że było zimno, a w górach leżał śnieg - wrócił do domu i usłyszał rozwścieczone głosy w sypialni. Głosy były kobiece i wypowiadały słowa, których nie rozumiał; wiedział jednak, że były to okropne słowa. I nagle: bach, coś upadło; usłyszał drepczących spiesznie ludzi, nowe bach!, a potem odgłos jak podczas okładania muła, tylko mniej suchy; potem rozległ się krzyk Lindy. „Och, przestańcie, dosyć”, wołała. Wbiegł do izby. Były tam trzy kobiety w narzuconych na ramiona ciemnych kocach. Linda leżała na łóżku. Jedna z kobiet przytrzymywała jej ręce. Druga leżała w poprzek jej nóg, tak by nie mogła kopać. Trzecia okładała ją biczem. Raz, drugi, trzeci; za każdym razem Linda krzyczała. Płacząc ciągnął za frędzle koca tej kobiety. „Proszę, proszę...” Wolną ręką odsunęła go na bok. Bicz spadł znowu i Linda znów zawyła. Uczepił się ogromnej dłoni i ze wszystkich sił wbił w nią zęby. Krzyknęła, wyrwała rękę i popchnęła go tak mocno, że upadł. Gdy leżał na ziemi, przyłożyła mu trzy razy batem.

Zabolało jak jeszcze nigdy dotąd - zapiekło niczym ogień. Bat świsnął znowu, spadł. Tym razem jednak krzyknęła Linda.

- Linda, dlaczego one chciały, żeby cię bolało? - zapytał wieczorem. Płakał, bo czerwone pręgi na plecach ciągle piekły straszliwie. Ale płakał także i dlatego, że ludzie byli tacy źli, tacy niedobrzy, a on był małym chłopcem i nie mógł im nic zrobić. Linda też płakała. Ona była już duża, ale nie na tyle duża, by pokonać te trzy kobiety. Jej też było źle.

- Linda, dlaczego one chciały, żeby cię bolało?

- Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? - Ledwo było ją słychać, bo leżała na brzuchu z twarzą ukrytą w poduszce. - One twierdzą, że ci mężczyźni są ich mężczyznami - mówiła; wydawało się, że nie do niego się zwraca, lecz do kogoś wewnątrz niej samej. Długa przemowa, z której nic nie rozumiał; w końcu zaczęła płakać jeszcze głośniej niż przedtem.

- Nie płacz, Linda. Nie płacz.

Tulił się do niej. Objął ją za szyję. Linda krzyknęła.

- Uważaj! Moje plecy! Och! - I odepchnęła go z całej siły. Rąbnął głową o ścianę. - Ty mały idioto! - krzyknęła, a potem zaczęła go nagle okładać. Klaps, klaps...

- Linda - płakał - mamo, przestań!

- Nie jestem twoją matką. Nie będę twoją matką.

- Linda... och! - uderzyła go w twarz.

- Zamieniona w dzikuskę - krzyczała. - Mam młode jak zwierzę... Gdyby nie ty, mogłabym pójść do inspektora, odesłałby mnie. Ale z dzieckiem? Cóż by to był za wstyd.

Spostrzegł, że Linda ma zamiar znów go uderzyć i zasłonił twarz ramieniem.

- Och, Linda, przestań, Linda.

- Ty małe zwierzę! - ściągnęła mu ramię w dół, odsłaniając twarz.

- Linda, nie. - Zamknął oczy oczekując ciosu.

Ale nie uderzyła go. Po chwili otworzył oczy i ujrzał, że patrzy na niego. Spróbował się do niej uśmiechnąć. Ale ona nagle ogarnęła go ramionami i zaczęła całować.

Niekiedy Linda przez szereg dni w ogóle nie wstawała. Leżała w łóżku i była smutna. Albo piła przynoszoną przez Popě ciecz, śmiała się głośno, a potem zasypiała. Czasami chorowała. Często zapominała go umyć, a do jedzenia były tylko placki kukurydziane. Pamięta, jak się rozwrzeszczała, gdy po raz pierwszy znalazła w jego włosach te małe zwierzątka.

Najbardziej szczęśliwy był, gdy opowiadała mu o Tamtym Świecie.

- I naprawdę można polecieć, gdzie się chce?

- Gdzie tylko zechcesz. - I opowiadała mu o cudownej muzyce wydobywającej się ze skrzynki, o przyjemnych grach, jakimi można się zajmować, o smakowitych potrawach i napojach, światłach, które się zapalały, gdy nacisnąć mały przedmiot na ścianie, o obrazach, które się nie tylko widzi, ale i słyszy, czuje dotykiem i węchem, o innych pojemniczkach, w których znajdują się miłe zapachy, o różowych, zielonych, niebieskich i srebrnych domach wysokich jak góry, o tym, że każdy jest szczęśliwy i nikt nigdy nie bywa smutny lub zły, a każdy należy do każdego, o skrzynkach, w których można widzieć i słyszeć to, co się dzieje na drugim końcu świata, o dzieciach w uroczych czystych butlach - wszystko jest tam czyste, nie ma brzydkich zapachów ani żadnego w ogóle brudu - o ludziach, którzy nigdy nie są samotni, lecz żyją we wspólnocie, radośni i szczęśliwi jak letnie tańce tu w Malpais, nawet bardziej szczęśliwi, a szczęśliwością darzy ich każdy, każdy dzień...

Słuchał godzinami. A niekiedy, gdy wraz z innymi dziećmi zmęczył się zabawą, jeden ze starców osady opowiadał im, w tamtym innym języku, o wielkim Przemienicielu Świata, o długiej walce między Prawą a Lewą Ręką, między Wilgocią a Suszą; o Awonawilonie, który stworzył wielką mgłę ze swoich całorocznych myśli, a potem z owej mgły uczynił cały ten świat; o Matce Ziemi i Ojcu Niebiosach; o bliźniakach Ahaiyucie i Marsailenie, czyli Wojnie i Przypadku; o Jezusie i Pookongu; o Marii i Etsanatlehi, kobiecie, która odzyskuje młodość; o Czarnym Kamieniu w Laguna, Wielkim Orle i Pani Naszej z Acoma. Dziwne opowieści, dla niego tym bardziej osobliwe, że opowiadane w tamtym innym języku i stąd nie do końca zrozumiałe. Przed snem rozmyślał o Niebiosach, Londynie, Pani Naszej z Acoma i długich szeregach dzieci w czystych butlach, o Jezusie wzlatującym do nieba i o wzlatującej Lindzie, o wielkim dyrektorze Światowego Rozrodu i o Awonawilonie.

Wielu mężczyzn odwiedzało Lindę. Chłopcy zaczęli wytykać go palcami. W obcych mu słowach mówili, że Linda jest zła; nazywali ją słowami, których nie rozumiał, ale wiedział, że nie znaczą nic dobrego. Kiedyś zaczęli śpiewać o niej jakąś piosenkę, powtarzając ją w kółko. Obrzucił ich kamieniami. Oni nie pozostali dłużni; ostry kamień rozciął mu policzek. Nie mógł zatamować krwi, płynęła i płynęła; był cały zakrwawiony.

Linda uczyła go czytać. Kawałkiem węgla rysuje na ścianie obrazki - siedzące zwierzę, dziecko w butli; potem wypisuje litery. ALA MA KOTA, TO KOT, A TO ALA. Uczył się szybko i łatwo. Gdy umiał już odczytywać wszystkie wypisane na ścianie słowa, Linda otwarła swoją dużą drewnianą skrzynię i spod tych zabawnych czerwonych spodenek,

których nigdy nie nosiła, wyciągnęła cienką książkę. Często widywał ją wcześniej. „Kiedy będziesz większy - mawiała - przeczytasz ją”. A więc teraz jest już większy. Był pełen dumy.

- Obawiam się, że nie bardzo cię to zajmie - powiedziała - ale to jedyna książka, jaką mam. - Westchnęła. - Gdybyś ty widział te cudowne aparaty do czytania, jakie mieliśmy w Londynie!

Zaczął czytać. *Chemiczne i bakteriologiczne warunkowanie embriona. Wskazówki praktyczne dla bet zatrudnionych w składach embrionów.* Cały kwadrans zajęło mu odczytanie samego tylko tytułu. Rzucił książkę na podłogę. „Wstrętna, wstrętna książka!”, zawołał i zaczął płakać.

Chłopcy ciągle wyśpiewywali tę ich okropną piosenkę o Lindzie. Niekiedy śmiali się też z niego, że jest taki obdarty. Kiedy podarł odzież, Linda nie wiedziała, jak ją naprawić. W Tamtym Świecie, powiedziała mu, ludzie wyrzucają podarte ubrania i dostają nowe. „Obdartus!”, wołali za nim. „A ja za to umiem czytać - rzekł sobie w duchu - a oni nie umieją. Oni nawet nie wiedzą, co to takiego czytanie”. I było mu łatwo, pomyślawszy o czytaniu, udawać, że nic sobie nie robi z ich drwin. Poprosił Lindę, by jeszcze raz dała mu książkę.

Im bardziej chłopcy wyśmiewali go i śpiewali, tym on zacieklej czytał. Wkrótce umiał już odczytywać względnie dobrze wszystkie słowa. Nawet te najdłuższe. Ale co one znaczą? Pytał Lindy, ale nawet gdy umiała mu odpowiedzieć, nie brzmiało to dlań zbyt jasno. A zazwyczaj w ogóle nie umiała mu odpowiedzieć.

- Co to są substancje chemiczne? - pytał.

- No, takie rzeczy, jak sole magnezu, alkohol do powodowania u delt i epsilonów niskiego wzrostu i niedorozwoju umysłowego i węglany wapniowe na wzrost tkanki kostnej, no i wszystkie takie rzeczy.

- Linda, a jak się robi substancje chemiczne? Skąd się one biorą?

- No, ja nie wiem. Ze słojów. A kiedy słoje są puste, posyła się do składu chemicznego po nowe. A może stamtąd posyłają po nie do fabryki. Nie wiem. Nigdy nie miałam do czynienia z chemią. Zawsze zajmowałam się embrionami.

Podobnie było ze wszystkim, o co zapytał. Linda nigdy niczego nie wiedziała. Starcy z wioski mieli o wiele bardziej konkretne odpowiedzi.

„Nasienie ludzkie i zwierzęce, nasienie słońca, ziemi i nieba uczynił Awonawilona z Mgły Rozmnażania. Świat ma cztery Łona; on zaś umieścił nasienie w najniższym z nich. I nasienie zaczęło rosnąć...”

Pewnego dnia (John wyliczył później, że musiało to być tuż po jego dwunastych urodzinach) wrócił do domu i na podłodze w sypialni ujrzał książkę, której nigdy dotąd nie widział. Była gruba i wyglądała na bardzo starą. Okładkę miała pogryzioną przez myszy, niektóre stronice wydarte i pomięte. Podniósł ją, spojrzał na stronę tytułową; przeczytał: *Williama Szekspira dzieła wszystkie*.

Linda leżała na łóżku siorbiąc z kubka ten okropny cuchnący meskal.

- Popě to przyniósł. - Mówiła głosem grubym, ochrypłym, jakby obcym. - Leżała w jakiejś skrzyni u Antylopy Kiwy. Podobno była tam od setek lat. Bardzo możliwe, bo przejrzałam ją, pełno w niej nonsensów. Niecywilizowana. Ale przyda ci się do ćwiczeń w czytaniu.

Pociągnęła ostatni łyk, postawiła kubek na podłodze przy łóżku, odwróciła się na bok, czknęła raz i drugi i zasnęła.

Otwarł książkę na chybił trafił.

Nie, lecz żyć
W przepoconej brudnej pościeli,
Tonąc w rozpuście, chuciom się oddawać
W plugawym chlewie[1]

Dziwne słowa zakłębiły mu się w mózgu; przetoczyły się jak słowny piorun; jak bębny podczas letnich tańców, gdyby bębny umiały mówić; jak chór mężczyzn zanoszący *Pieśń Plonów*, tak piękną, tak piękną, że aż chce się płakać; jak słowa starego Mitsimy, gdy odprawia czary magiczne nad swymi piórami, rzeźbionymi kawałkami drewna, nad okruchami kości i kamieni - *kiatla tsilu silokue silokue. Kiai silu silu, tsitl* - ale były lepsze niż zaklęcia Mitsimy, bo więcej znaczyły, mówiły do niego; Mówiły tajemniczo i na wpół zrozumiale, cóż za cudowne czary, o Lindzie; o Lindzie, która tu leży i chrapie, z pustym kubkiem u stóp łóżka; o Lindzie i Popě, Lindzie i Popě.

Coraz bardziej nienawidził tego Popě. Człowiek może się uśmiechać, a być łajdakiem. Bezlitosnym, zdradliwym, wszetecznym, zepsutym łajdakiem. Co właściwie znaczą te słowa? Miał tylko niejasne pojęcie. Ale ich czar był silny, szumiały mu w głowie i zdawało mu się, że dotychczas nie czuł do Popě prawdziwej nienawiści; nigdy dotąd nie nienawidził go tak

---

[1] Cytaty z Szekspira w przekładzie tłumacza

naprawdę, bo nigdy dotąd nie umiał wypowiedzieć jak bardzo go nienawidzi. A teraz miał już te słowa, słowa jak bębny, jak śpiew i zaklęcia. Te słowa i dziwna, dziwna opowieść, z której pochodziły (nie potrafił zebrać jej w całość, ale i tak była cudowna, cudowna), pozwoliły mu nienawidzić Popě, uczyniły tę nienawiść bardziej realną; nawet samego Popě uczyniły bardziej realnym.

Pewnego dnia, gdy wrócił po zabawie z dziećmi, przez otwarte drzwi do pokoju dostrzegł ich śpiących razem na łóżku - biała Linda, obok niej prawie czarny Popě, z ramieniem pod jej barkiem, z drugą ciemną ręką na jej piersi; zapleciony warkocz długich włosów Popě leżał na jej szyi niczym czarny wąż usiłujący ją udusić. Tykwa Popě i kubek stały na podłodze obok łóżka. Linda chrapała.

Wydało mu się, że jego serce znikło pozostawiając pustkę w piersi. Był pusty. Pusty i zimny; poczuł mdłości i zawroty głowy. Oparł się o ścianę, by przyjść do siebie. Bezlitosny, zdradliwy, wszeteczny... Jak bębny, jak mężczyźni zanoszący śpiewne prośby o plony, jak zaklęcia słowa te tłukły mu się po głowie. Nagle ogarnął go żar. Policzki mu rozgorzały, pokój pociemniał i zatańczył przed oczyma. Zgrzytnął zębami. „Zabiję go, zabiję", powtarzał w kółko. I nagle pojawiły się dalsze słowa.

> Gdy zaśnie pijany albo kiedy w szale, albo wśród
> Grzesznych namiętności swego łoża

Zaklęcia były po jego stronie, wyjaśniały i wydawały polecenia. Wycofał się do sąsiedniej izby. „Gdy zaśnie pijany..." Nóż do krojenia mięsa leżał na podłodze przy palenisku. Podniósł go i na palcach wrócił pod drzwi. „Gdy zaśnie pijany..." Przebiegł przez pokój i uderzył - och, krew! - uderzył po raz drugi, gdy Popě budził się ze snu, zamachnął się, by uderzyć znowu, ale wtedy poczuł, jak chwytają go za nadgarstki przytrzymują i – au! au! - wykręcają. Nie mógł się poruszyć, był w potrzasku, małe czarne oczka Popě z bardzo bliska wpatrywały się w niego. Odwrócił wzrok. Na lewym barku Popě widniały dwie rany. „Och, krew - krzyknęła Linda. - Krew!" Nigdy nie mogła znieść widoku krwi. Popě uniósł drugą rękę - żeby mnie uderzyć, pomyślał. Skurczył się w sobie w oczekiwaniu ciosu. Ale ręka ujęła go tylko pod brodę i odwróciła mu twarz, tak iż musiał znowu patrzeć w oczy Popě. Przez nieskończenie długą chwilę, całymi godzinami. I nagle, nie mogąc się powstrzymać, zaczął płakać. Popě wybuchnął śmiechem. „No idź - powiedział w języku Indian - idź, mój dzielny Ahaijuto". Wybiegł z pokoju, by ukryć łzy.

- Masz piętnaście lat - powiedział w języku Indian stary Mitsima. - Mogę cię teraz nauczyć wyrabiania gliny.

Przykucnąwszy na brzegu rzeki, pracowali razem.

- Najpierw - powiedział Mitsima biorąc w dłoń bryłkę wilgotnej gliny - zrobimy mały księżyc. - Starzec rozgniótł bryłkę do postaci koła, potem podgiął brzegi; księżyc stał się płytką miską.

Powoli i niezdarnie naśladował drobne ruchy rąk starego.

- Księżyc, miska, a teraz wąż - Mitsima, turlając w dłoniach następny kawałek gliny, uformował go w długi giętki walec, zwinął w kółko i dokleił do brzegów miski. - Teraz następny wąż. I jeszcze jeden. I jeszcze jeden. - Krąg po kręgu Mitsima budował ścianki naczynia; było ono wąskie, wydęte, ze zwężoną szyjką. Mitsima ugniatał, uklepywał, wygładzał i zdrapywał; wreszcie było gotowe, kształtem przypominając typowy w Malpais dzbanek na wodę, tyle że miękki w dotknięciu i kremowobiały, nie zaś czarny. Wkrótce obok stanął jego własny dzbanek, niezdarne naśladownictwo dzbanka Mitsimy. Porównując je ze sobą, musiał się roześmiać.

- Następny będzie lepszy - powiedział i wziął się do ugniatania nowej bryłki gliny.

Kształtować, formować, czuć, jak palce nabierają sprawności i siły - jakaż to była dlań niezwykła przyjemność. „A, B, C, witamina D - podśpiewywał sobie przy pracy - tłuszcz jest w wątrobie, tran wieloryb śle". Mitsima także śpiewał - pieśń o polowaniu na niedźwiedzia. Pracowali przez cały dzień i przez cały dzień przepełniało go uczucie głębokiej, porywającej szczęśliwości.

- W zimie - powiedział stary Mitsima - nauczę cię robić łuk.

Stał długo przed domem; wreszcie odbywająca się tam ceremonia dobiegła końca. Otwarły się drzwi, wyszli. Kotlu szedł pierwszy, z prawą ręką wyciągniętą i mocno zaciśniętą pięścią, jak gdyby ściskał w niej jakiś cenny klejnot. Również z zaciśniętą pięścią wyciągniętej przed siebie ręki kroczyła za nim Kiakime. Szli w milczeniu, a za nimi, także w milczeniu, szli bracia, siostry, kuzyni i cała gromada starych ludzi.

Wyszli poza osadę i maszerowali przez płaskowyż. U krawędzi skały przystanęli zwracając twarze ku wczesnemu słońcu. Kotlu rozwarł dłoń. Leżała na niej szczypta białej mąki; dmuchnął w dłoń, wymruczał kilka słów, potem rzucił tę garść białego pyłu w kierunku słońca. Kiakime zrobiła to samo. Potem wystąpił naprzód oj ciec Kiakime i wzniósłszy w górę zdobioną piórami laskę modlitewną odmówił długą modlitwę, po czym rzucił laską w ślad za garściami mąki.

- To wszystko - powiedział głośno stary Mitsima. - Są poślubieni.

- No, no - odezwała się Linda, gdy wracali do domu. - Powiem tylko, że nie warto było chyba robić tyle hałasu o taki drobiazg. Kiedy w cywilizowanym kraju chłopiec chce mieć jakąś dziewczynę, to po prostu... Ależ John, dokąd ty biegniesz?

Nie słuchał jej wołania, lecz biegł, byle dalej, gdzieś gdzie mógłby być sam.

To wszystko. Słowa starego Mitsimy dźwięczały mu uszach. To wszystko, wszystko... W milczeniu, z oddali, lecz gwałtownie, rozpaczliwie i beznadziejnie kochał Kiakime. A teraz już koniec. Miał szesnaście lat.

U Antylopy Kiwy podczas pełni księżyca mówiono i czyniono tajemnicze rzeczy, tajemnicze rzeczy się rodziły. Chłopcy schodzili do kiwy i wychodzili mężczyznami. Chłopcy bali się, ale i czekali z niecierpliwością. Aż w końcu nadszedł ów moment. Słońce zgasło, wzeszedł księżyc. On zaś wyruszył wraz z innymi. Ciemne sylwetki mężczyzn u wejścia do kiwy; w głąb czerwono rozświetlonego mroku wiodła drabina. Pierwsi chłopcy zaczęli zstępować w dół. Nagle jeden z mężczyzn wystąpił naprzód, chwycił go za ramię i wyciągnął z szeregu. Wyrwał się i wśliznął na swoje miejsce. Tym razem mężczyzna uderzył go i odciągnął, chwytając za włosy. „Nie dla ciebie, białowłosy!” „Nie dla syna suki”, powiedział inny mężczyzna. Chłopcy wybuchnęli śmiechem. „Odejdź!” A ponieważ ciągle trzymał się końca szeregu, mężczyźni wołali dalej: „Odejdź!” Jeden z nich schylił się, podniósł kamień i rzucił. „Odejdź, odejdź, odejdź!” Grad kamieni. Krwawiąc pobiegł w mrok. Z czerwono oświetlonej kiwy dobiegały śpiewy. Ostatni z chłopców zszedł po drabinie. Został zupełnie sam.

Sam, za osadą, na gołej równinie płaskowyżu. Skalisty grunt majaczył w księżycowym blasku jak zbielałe kości. W dolinie kojoty wyły do księżyca. Skaleczenia bolały go, rany ciągle jeszcze krwawiły, ale nie z bólu płakał, lecz dlatego, że został sam, że go odpędzono, samotnego, w ten kościany świat skal i blasku księżyca. Usiadł na krawędzi przepaści. Księżyc miał za plecami; wejrzał w dół, w czarny cień skalnej ściany, w czarny cień śmierci. Wystarczy tylt6 jeden krok, jeden mały kroczek... Wystawił prawą rękę na światło księżyca. Rana nadgarstka ciągłe krwawiła. Co kilka sekund zbierała się kropla, ciemna, niemal bezbarwna w tej martwej poświacie. Kap, kap, kap. Jutro, jutro i następne jutro...

Odkrył Czas, Śmierć i Boga.

- Sam, zawsze sam - mówił młody człowiek.

Słowa te wzbudziły w Bernardzie uczucie żalu nad samym sobą. Sam, sam...

- To tak jak ja - powiedział w przypływie nagłej szczerości. - Jestem straszliwie samotny.

- Naprawdę - zdumiał się John. - Sądziłem, że w Tamtym Świecie... to znaczy, Linda zawsze mówiła, że tam nigdy się nie jest samotnym.

Bernard zaczerwienił się zmieszany.

- No bo wiesz - wymamrotał nie patrząc na Johna - ja jestem chyba inny niż reszta ludzi. Jeśli kogoś nietypowo wybutlują...

- Tak, tak, właśnie - potwierdził młodzieniec. - Jeśli ktoś jest odmienny, to jest skazany na samotność. Dla takiego oni są okrutni. Czy ty wiesz, że odsunęli mnie od wszystkiego, absolutnie wszystkiego? Kiedy chłopców wysyłają, żeby spędzili noc w górach, wiesz, kiedy trzeba wyśnić swoje święte zwierzę, to ja nie mogę pójść z chłopcami; nie dopuszczają mnie do swoich tajemnic. Ale i tak wszystko zrobiłem sam - dodał. - Przez pięć dni nic nie jadłem, a potem pewnej nocy poszedłem sam - wskazał palcem - w tamte góry.

Bernard uśmiechnął się pobłażliwie.

- I wyśniłeś coś? - zapytał.

Tamten skinął głową.

- Ale nie mogę ci powiedzieć co. - Umilkł na chwilę; potem ciągną1 ściszonym głosem: - Pewnego razu zrobiłem rzecz, jakiej jeszcze nikt nie dokonał: stanąłem pod skałą, w słońcu, W lecie, z rozłożonymi ramionami, jak Jezus na krzyżu.

- Po co, U licha?

- Chciałem się przekonać, jak to jest być ukrzyżowanym. Wisieć w słońcu...

- Ale po co?

- Po co? No... - zawahał się - bo czułem, że muszę. Skoro Jezus to znosił. Poza tym, jeśli ktoś uczynił coś złego... A zresztą byłem taki nieszczęśliwy; to też był powód.

- Osobliwie leczyłeś swoje nieszczęście - powiedział Bernard. Potem jednak naszła go myśl, że może w końcu był w tym jakiś sens. Lepsze to niż zażywanie somy...

- Po pewnym czasie zemdlałem - powiedział młody człowiek. - Upadłem na twarz. Widzisz ten ślad? To właśnie wtedy. - Odgarnął z czoła gęste jasne włosy. Na prawej skroni widniała gruba biała blizna.

Bernard spojrzał, ale ciało jego przebiegł nagły dreszcz, i szybko odwrócił wzrok. Warunkowanie uczyniło go nie tyle litościwym, ile nadzwyczaj delikatnym. Nawet sama wzmianka o chorobie lub ranach nie tylko go przerażała, ale wzbudzała w nim odrazę i uczucie obrzydzenia. Podobnie brud, kalectwo czy starość. Pospiesznie zmienił temat.

- Czy nie miałbyś ochoty pojechać z nami do Londynu? - zapytał, robiąc pierwsze posunięcie w kampanii, której strategię po cichu zaczął obmyślać już w owej małej chatce, gdy tylko uświadomił sobie, kto musi być „ojcem” tego młodego dzikusa.

- Chciałbyś?

Twarz młodego człowieka pojaśniała.

- Naprawdę zabierzecie mnie?

- Oczywiście; to znaczy, jeśli dostanę pozwolenie.

- Lindę też?

- No więc... - zawahał się na chwilę. Ten odrażający stwór! Nie, to niemożliwe. Chociaż, chociaż... Uświadomił sobie nagle, że jej potworność może stanowić ogromny atut.

- Ależ oczywiście! - zawołał, pokrywając swoje wcześniejsze wahanie nadmierną, hałaśliwą serdecznością.

Młody człowiek odetchnął głęboko.

- Pomyśleć, że mogłoby się spełnić coś, o czym marzyłem całe życie. Pamiętasz, co mówi Miranda?

- Jaka Miranda?

Ale młody człowiek najwyraźniej nie dosłyszał pytania.

- O cudzie! - wyszeptał; oczy mu lśniły, twarz pałała. - Jakże jest wiele dobrych stworzeń na świecie! Jaka piękna jest ludzkość! - Rumieńce pociemniały nagle; myślał o Leninie, o tym aniele w jedwabnym stroju koloru zieleni butelkowej, o Leninie olśniewającej młodością i kremami odżywczymi, pulchnej, życzliwie uśmiechniętej. Głos mu drżał.

- O, nowy wspaniały świecie - zaczął, potem nagle urwał; krew odpłynęła mu z policzków; był blady jak papier. - Czy ona jest twoją żoną? - zapytał.

- Czym?

- Żoną. Rozumiesz... na zawsze. Oni tak tu mówią: „na zawsze”, nie można zerwać.

- O, Fordzie, nie! - Bernard nie mógł powstrzymać śmiechu.

John też się śmiał, ale z innego powodu - z radości.

- O, nowy wspaniały świecie - powtórzył - który takich wydajesz ludzi. Jedźmy tam zaraz.

- Czasami wyrażasz się niezwykle osobliwie - powiedział Bernard patrząc na młodzieńca ze zdumieniem i niepewnością. A poza tym czy nie byłoby lepiej poczekać, aż sam ten nowy świat zobaczysz?

ROZDZIAŁ 9

Lenina uważała, że po tym dniu osobliwości i grozy ma prawo do pełnego, absolutnego relaksu. Gdy tylko wrócili do domu wypoczynkowego, połknęła sześć półgramowych tabletek somy, położyła się do łóżka i po dziesięciu minutach zatonęła w księżycowej poświacie wieczności. Upłynie co najmniej osiemnaście godzin, nim znowu powróci do rzeczywistości.

Tymczasem Bernard leżał w mroku zamyślony, z oczyma szeroko otwartymi. Było już dobrze po północy, gdy wreszcie zasnął. Po północy - ale jego bezsenność nie była bezowocna; miał plan.

Następnego ranka, punktualnie o dziesiątej, zielono odziany pilot o jednej ósmej krwi murzyńskiej wysiadł z helikoptera. Bernard czekał na niego pośród agaw.

- Panna Crowne jest w podróży somatycznej - wyjaśnił. - To potrwa co najmniej do piątej. Mamy więc siedem godzin.

Mógł polecieć do Santa Fe, załatwić co trzeba i wrócić do Malpais na długo przed jej przebudzeniem.

- Czy będzie tu bezpieczna sama?

- Bezpieczna jak helikopter - zapewnił go pilot.

Wsiedli i wystartowali. O dziesiątej trzydzieści cztery lądowali na dachu poczty w Santa Fe, o dziesiątej trzydzieści siedem uzyskał połączenie z Biurem Zarządcy Świata w Whitehall; o dziesiątej trzydzieści dziewięć mówił do czwartego osobistego sekretarza Jego Fordowskiej Wysokości; o dziesiątej czterdzieści cztery powtarzał swoją opowieść pierwszemu sekretarzowi, o dziesiątej czterdzieści siedem i pół zaś w jego uszach zabrzmiał głęboki, dźwięczny głos samego Mustafy Monda.

- Ośmieliłem się przypuszczać - wyjąkał Bernard - że Wasza Fordowska Wysokość zechce uznać ten przypadek za istotny z naukowego punktu widzenia...

- Tak, uważam go za naukowo istotny - odrzekł głęboki głos. - Proszę przywieźć ze sobą te dwie osoby do Londynu.

- Wasza Fordowska Wysokość pozwoli łaskawie, że powiem, iż będę potrzebował specjalnej przepustki...

- Odpowiednie polecenia - powiedział Mustafa Mond - dla nadzorcy rezerwatu są właśnie wysyłane. Proszę się udać wprost do biura nadzorcy. Do widzenia panu, panie Marks.

Zaległa cisza. Bernard odwiesił słuchawkę i jak najszybciej udał się na dach.

- Biuro nadzorcy - polecił pilotowi w zielonym stroju gammy.

O dziesiątej pięćdziesiąt cztery Bernard wymieniał z nadzorcą uścisk dłoni.

- Bardzo rad, panie Marks, bardzo. - Jego tubalny głos był teraz uniżony. - Właśnie otrzymaliśmy specjalne polecenia...

- Wiem - przerwał mu Bernard. - Przed chwilą rozmawiałem przez telefon z Jego Fordowską Wysokością. - Znudzony ton miał sugerować, że Bernard ma zwyczaj dzień w dzień rozmawiać z Jego Wysokością. Opadł na krzesło. Gdyby pan był łaskaw jak najszybciej podjąć niezbędne kroki, jak najszybciej - powtórzył dobitnie. Był wprost zachwycony sobą.

O jedenastej trzy miał w kieszeni wszystkie niezbędne papiery.

- No to kłaniam się panu - powiedział protekcjonalnie do nadzorcy, który odprowadził go aż do drzwi windy. - Kłaniam się uprzejmie.

Poszedł do hotelu, wziął kąpiel, masaż wibracyjny, elektrolityczne golenie, wysłuchał wiadomości porannych, przez pół godziny oglądał telewizję, zjadł spokojnie lunch i o wpół do trzeciej odleciał z pilotem gammą do Malpais.

Młody człowiek stał przed domem wypoczynkowym.

- Bernard - zawołał - Bernard! - Nie było odpowiedzi.

Bezszelestnie, w swych mokasynach z jeleniej skóry, wbiegł po schodach i spróbował otworzyć drzwi. Były zamknięte.

Odjechali! Odjechali! To najsmutniejsza rzecz, jaka go kiedykolwiek spotkała. Ona przecież prosiła, by ich odwiedził. A oni wyjechali. Usiadł na schodach i zapłakał.

Po półgodzinie przyszło mu do głowy zajrzeć przez okno. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mu się w oczy, była zielona walizka z wymalowanymi na niej inicjałami L,C. Radość wybuchła w nim jak płomień. Podniósł kamyk. Odłamki rozbitej szyby posypały się na podłogę. W następnej chwili był już wewnątrz pokoju. Otworzył zieloną walizkę i oto już wdychał zapach perfum Leniny, napełniając płuca samą jej istotą. Serce waliło mu jak oszalałe; przez chwilę omal nie zemdlał. Potem pochylony nad tym drogocennym pudłem dotykał, podnosił do światła, badał. Zamki błyskawiczne zapasowych szortów Leniny ze sztucznego aksamitu były najpierw zagadką, potem, po rozwiązaniu jej rozkoszną zabawą. Zzyg, zzyg, potem znowu zzzyg i jeszcze raz zzzyg; był oczarowany. Zielone pantofelki to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widział. Rozwinął dessous, zarumienił się i szybko odłożył je na bok; ucałował natomiast perfumowaną chusteczkę ze sztucznego jedwabiu i owinął ją sobie niczym apaszkę wokół szyi. Otworzywszy jakieś pudełeczko, wzniecił wonny obłoczek. Dłonie pokryły się warstewką pudru. Pocierał nimi pierś, barki, nagie ramiona. Cudowne perfumy! Zamknął oczy; potarł policzek o swoje upudrowane ramię. Na policzku

dotyk gładkiej skóry, w nozdrzach woń pachnącego piżmem pyłu - jej rzeczywista obecność. „Lenina”, szepnął, „Lenina!”

Poderwał go jakiś odgłos; obejrzał się z miną winowajcy. Wepchnął całą swoją zdobycz do walizki i zatrzasnął wieko; po chwili nastawił uszu, rozejrzał się. Żadnego znaku życia, żadnego dźwięku. A jednak był pewien, że coś usłyszał - coś jakby westchnienie, jakby skrzyp deski. Podkradł się na palcach do drzwi i otwierając je ostrożnie stanął przed szerokim korytarzem. Po jego przeciwległej stronie były drugie drzwi, uchylone. Podszedł tam, pchnął je lekko, zajrzał.

Na niskim łóżku, odrzuciwszy prześcieradło, odziana zapinaną na zamek różową jednoczęściową piżamę leżała Lenina, pogrążona w głębokim śnie i tak piękna w aureoli swych loków, tak delikatnie dziecięca ze swymi różowymi palcami u stóp i poważną uśpioną twarzą, tak ufna w bezradności bezwładnych rąk i nóg, że łzy napłynęły mu do oczu.

Nieskończenie ostrożnie - bez potrzeby, gdyż chyba tylko wystrzał z pistoletu mógłby zawrócić Leninę przed oznaczoną porą z podróży w krainę somy - wszedł do pokoju, ukląkł na podłodze obok łóżka. Patrzył, składał ręce, poruszał wargami. „Jej oczy”, szepnął.

Jej uczy, włosy, lica, chód, jej głos;
Wręczasz mi je swą mową. Och! ta jej dłoń,
Przy niej wszelka biel to atrament
Co pisze naganę samemu sobie; przy niej
Nawet pierś łabędziątka jest szorstka...

W pobliżu bzyknęła mucha; odpędził ją. „Muchy”, przypomniał sobie.

Im wolno na białym cudzie dłoni Julii
Siadać i boską świętość kraść z jej ust,
Co chociaż dziewiczo skromne, płoną,
Nawet w zetknięciu własnych warg widząc grzech.

Bardzo powoli, ostrożnym ruchem kogoś, kto chce pogłaskać płochliwego, a może i niebezpiecznego ptaka, wyciągnął przed siebie rękę. Zawisła tam drżąca, o cal od tych wiotkich palców, na samej granicy zetknięcia się dłoni. Czy się odważy? Czy ośmieli się swą niegodną dłonią zbezcześcić tę... Nie, nie odważy się. Ptak jest zbyt niebezpieczny. Ramię cofnęło się. Jakaż ona piękna! Jaka piękna!

Nagle przyłapał się na myśli, że wystarczyłoby tylko chwycić za suwak zamka błyskawicznego u jej szyi i pociągnąć w dół... Zamknął oczy, poruszył głową niczym pies wytrząsający wodę z uszu. Wstrętne myśli! Zawstydził się sam siebie. Dziewiczo skromne...

Dało się słyszeć jakieś brzęczenie. Znowu mucha chce kraść boską świętość? A może osa? Rozejrzał się, ale niczego nie dostrzegł Bzyczenie narastało i wiadomo już było, że dobiega zza przesłoniętych żaluzjami okien. Helikopter! Przerażony zerwał się na równe nogi i wybiegł do sąsiedniego pokoju, skoczył przez otwarte okno, a popędziwszy ścieżką pośród agaw, dopadł Bernarda Marksa w chwili, gdy ten wysiadał z helikoptera.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wskazówki wszystkich czterech tysięcy zegarów elektrycznych we wszystkich, w liczbie czterech tysięcy, pomieszczeniach Ośrodka w Bloomsbury wskazywały dwadzieścia siedem minut po drugiej. „Ten skrzętny ul”, jak lubił go nazywać dyrektor, był pogrążony w wirze pracy. Każdy miał co robić, wszystko biegło wedle przepisanego porządku. Pod szkiełkami mikroskopów, wymachując szaleńczo długimi ogonkami, plemniki wwiercały swoje główki w jaja; zapłodnione jaja rozrastały się, dzieliły lub - poddane procesowi Bokanowskiego - pączkowały rozpadając na całe kolonie oddzielnych embrionów. Z działu społecznego przeznaczenia windy z dudnieniem zjeżdżały do suteren, a tam, w purpurowym mroku, w duszącym upale, na wyściółce ze świńskiej otrzewnej, opite surogatem krwi i hormonami, płody rosły coraz większe i większe lub zatruwane karłowaciały w tępą epsilonowatość. Z cichym poszumem i klekotem ruchome statywy niedostrzegalnym ruchem pełzły tygodniami poprzez wieki powtórzonej Filogenezy, by wreszcie (w dziale wybutlacji) świeżo wydobyte z butli niemowlęta mogły wydać swój pierwszy wrzask przerażenia i zdumienia.

W podziemiach pomrukiwały dynama, windy gnały w górę i w dół. Na wszystkich jedenastu piętrach żłobków była właśnie pora karmienia. Z tysiąca ośmiuset butelek tysiąc osiemset pieczołowicie zaetykietowanych niemowląt ssało równocześnie swą ćwiartkę pasteryzowanej wydzieliny zewnętrznej.

Powyżej, na dziesięciu piętrach sypialni chłopcy i dziewczynki, na tyle jeszcze mali, że potrzebny im był popołudniowy sen, pracowali jak wszyscy inni, tyle że nie zdając sobie z tego sprawy, nieświadomie wysłuchując hipnopedycznych lekcji higieny i uspołecznienia, świadomości klasowej i dziecięcego seksu. Jeszcze wyżej znajdowały się sale zabaw, gdzie z powodu deszczowej pogody dziewięćset starszych dzieci bawiło się w budowanie z cegły i gliny, w „łapaj kapeć” i w grę miłosną.

Bzzz! bzzz! huczał ul, pracowicie, wesoło. Radosne były dziewczęta śpiewające nad probówkami, przeznaczacze pogwizdywali przy pracy, a w dziale wybutlacji jakież wspaniale dowcipy krzyżowały się w powietrzu nad pustymi butlami! Jednakże twarz dyrektora wkraczającego z Henrykiem Fosterem do działu zapładniania była poważna, stężała surowością.

- Przykład dla wszystkich - mówił. - I to w tym dziale, bo ma on największy w całym ośrodku procent pracowników z kast wyższych. Poleciłem mu spotkać się tu ze mną o wpół do trzeciej.

- Pracuje bardzo dobrze - wtrącił z obłudną życzliwością Henryk.

- Wiem. Dlatego tym bardziej zasługuje na surowe potraktowanie. Jego wysoki poziom intelektualny wymaga odpowiedzialności moralnej. Im większe zdolności, tym większa skłonność do odchyleń. Lepiej, żeby jeden cierpiał, niżby wielu zostało zdeprawowanych. Niech pan rozważy rzecz na zimno, panie Foster, a zobaczy pan, iż nie ma potworniejszego przestępstwa nad nietypowe zachowanie. Morderstwo oznacza śmierć tylko jednostki, a czymże w końcu jest jednostka? - szerokim gestem wskazał rzędy mikroskopów, probówek, inkubatorów. - Możemy stworzyć nową bez najmniejszego wysiłku, możemy ich stworzyć dowolnie wiele. Nietypowość zagraża czemuś więcej niż tylko życiu jednostki; ona godzi w Społeczeństwo samo. Tak, w Społeczeństwo samo - powtórzył. - No, idzie właśnie.

Bernard wszedł do sali i zmierzał ku nim pomiędzy szeregami zapładniaczy. Powłoczka swobodnej pewności siebie z trudem pokrywała jego zdenerwowanie. Ton, jakim wypowiedział: „Dzień dobry, panie dyrektorze", był niepotrzebnie zbyt głośny, ten zaś, jakim korygując ów błąd, rzekł: „Życzył pan sobie spotkać się tu ze mną na rozmowę", był śmiesznie cichy, jak pisk.

- Tak, panie Marks - powiedział dyrektor złowieszczo brzmiącym głosem. - Poprosiłem, by pan tu przyszedł. Wrócił pan z wakacji, jak przypuszczam, wczoraj wieczorem?

- Tak - odparł Bernard.

- Taak - powtórzył dyrektor przeciągając jadowicie samogłoskę. Potem podnosząc nagłe głos zagrzmiał: - Panie i panowie, panie i panowie!

Śpiew dziewcząt nad probówkami i zaabsorbowane pogwizdywanie mikroskopistów nagłe umilkły. Zapadła głęboka cisza, wszyscy spojrzeli.

- Panie i panowie - raz jeszcze powtórzył dyrektor - proszę wybaczyć, że przerywam waszą pracę. Zmusza mnie do tego bolesny obowiązek. Bezpieczeństwo i stabilność Społeczeństwa są zagrożone. Tak, panie i panowie, zagrożone. Ten człowiek – wskazał oskarżycielskim gestem na Bernarda - ten człowiek stojący tu przed nami, alfa-plus, której tyle dano i od której w związku z tym tak wiele się wymaga. ten oto wasz kolega.. a może powinienem od razu powiedzieć; były kolega... w poważny sposób nadużył pokładanego w nim zaufania. Przez swoje heretyckie poglądy na sport i somę, przez skandaliczną nietypowość życia seksualnego, odrzucenie nauk Pana Naszego Forda i odmowę zachowywania się poza godzinami pracy „jak dziecko w butli" - (tu dyrektor uczynił znak T) - dowiódł, że jest wrogiem Społeczeństwa, burzycielem, panie i panowie, wszelkiego Ładu i wszelkiej Stabilności, spiskowcem przeciw Cywilizacji samej. Z tego powodu proponuję go

zwolnić, na znak potępienia zwolnić ze stanowiska, jakie zajmuje w tym Ośrodku; proponuję wnieść natychmiast o przeniesienie go do podośrodka najniższego rzędu, i to, jako że kara taka przysłuży się najżywotniejszym interesom Społeczeństwa, do ośrodka możliwie najbardziej oddalonego od wszelkich skupisk ludności. W Islandii będzie miał niewielkie możliwości deprawowania innych swym pozbawionym bojaźni Fordziej przykładem.

Dyrektor przerwał; po chwili, krzyżując na piersi ramiona, zwrócił się podniosłym tonem do Bernarda:

- Bernardzie Marks - zapytał - czy może pan wskazać jakąś przyczynę, która powstrzymałaby mnie od natychmiastowego wykonania wydanego na pana wyroku?

- Tak, mogę - odrzekł bardzo głośno Bernard.

- No więc proszę - powiedział nieco zbity z tropu, ale nadal majestatyczny dyrektor.

- Oczywiście. Tylko to... na korytarzu. Chwileczkę. - Bernard popędził do drzwi i otworzył je. - Wejdź - polecił, i przyczyna weszła i ujawniła się w całej swej okazałości.

Rozległy się westchnienia i pomruki zdumienia i grozy; jakaś dziewczyna krzyknęła; ktoś stając na krześle, by lepiej widzieć, upuścił dwie probówki pełne plemników. Ospała, z obwisłym ciałem, dziwne i przerażające monstrum wieku średniego pośród tych jędrnych młodych ciał i nieskazitelnych twarzy, Linda wkroczyła na salę uśmiechając się zalotnie swym bezbarwnym, zniekształconym uśmiechem i kołysząc, w jej mniemaniu zmysłowo, ogromnymi biodrami. Bernard szedł obok.

- Oto on - powiedział wskazując na dyrektora.

- Myślisz, że go nie poznałam? - oburzyła się Linda; potem, zwracając się do dyrektora: - Oczywiście, że cię poznałam, Tomakin, poznałabym cię wszędzie, pośród tysiąca innych. Ale ty mogłeś mnie zapomnieć. Nie pamiętasz? Nie pamiętasz, Tomakin? Twoja Linda. - Stała patrząc na niego z przechyloną na bok głową, ciągle się jeszcze uśmiechając, ale uśmiechem, który wobec kamieniejącej z obrzydzenia twarzy dyrektora coraz bardziej tracił pewność siebie, gasł, aż w końcu zanikł zupełnie. - Nie pamiętasz mnie, Tomakin? - powtórzyła drżącym głosem. W oczach pojawił się lęk i boleść. Pokryta plamami workowata twarz skurczyła się groteskowo w wyrazie skrajnego zasmucenia. - Tomakin! - Wyciągnęła ramiona. Ktoś zachichotał.

- Co ma znaczyć - zaczął dyrektor - ten potworny...

- Tomakin! - Podbiegła doń, wlokąc za sobą koc, zarzuciła dyrektorowi ręce na szyję, ukryła głowę na jego piersi.

Ogólny śmiech wybuchł niepowstrzymaną falą.

- ... ten potworny głupi kawał! - krzyczał dyrektor.

Czerwony na twarzy, usiłował uwolnić się z uścisku. Ona trzymała go kurczowo.

- Ależ ja jestem Linda, Linda - śmiech głuszył jej słowa. - Zrobiłeś mi dziecko - wrzasnęła przekrzykując hałas. Zapadła przeraźliwa cisza; wzrok zebranych zaczął błądzić, w zakłopotaniu nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Dyrektor nagle zbladł, przestał się szamotać i stał z dłońmi na jej nadgarstkach, patrząc na nią w przerażeniu.

- Tak, dziecko. I jestem jego matką. - Rzuciła tę nieprzyzwoitość jak wyzwanie w ciszę pełną zgorszonej urazy; potem odrywając się nagle od dyrektora, zawstydzona, ach, jakże zawstydzona, zakryła twarz rękami i zaszlochała. - To nie była moja wina, Tomakin. Bo ja przecież zawsze wypełniałam polecenia. Zawsze, sam wiesz. Nie wiem, jak się to... Gdybyś wiedział, Tomakin, jak strasznie... Ale on jednak mi pomógł. - Odwracając się w stronę drzwi zawołała: - John! John!

Wszedł natychmiast, przystanął na moment w progu, rozejrzał się, potem w swych mokasynach przemknął cicho przez salę, upadł na kolana przed dyrektorem i wyrzekł czystym głosem:

- Mój ojcze!

Słowo to (bo „ojciec” było nie tyle nieprzyzwoite - przy całej jego konotacyjnej bliskości wobec obrzydliwego i niemoralnego faktu rodzenia dzieci - co raczej ordynarne, było nietaktem skatologicznym raczej niż pornograficznym), komicznie sprośne, rozładowało atmosferę zgęszczoną do niemożliwości. Śmiech wybuchł potężny, wręcz histeryczny, salwa za salwą, jakby nigdy nie miał ustać. Mój ojcze - i to do dyrektora. - Mój ojcze! O, Fordzie, Fordzie. To świetne. Ryk i rechot nasilił się znowu, śmiech aż do rozpuku, łzy na policzkach. Stłukło się jeszcze sześć probówek z plemnikami. Mój ojcze!

Blady, z obłędem w oczach, dyrektor toczył po sali wzrokiem omdlałym z wściekłości i upokorzenia.

Mój ojcze! Śmiech, który już zdawał się zamierać, rozszalał się jeszcze głośniejszy niż dotychczas. Dyrektor zakrył uszy rękami i wypadł z sali.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Po epizodzie w dziale zapładniania londyńskie kasty wyższe opętało pragnienie ujrzenia tego uroczego stwora, który upadł na kolana przed dyrektorem Rozrodu i Warunkowania - a raczej przed byłym dyrektorem, bo biedak natychmiast potem złożył dymisję i nigdy już jego noga nie postała w Ośrodku - a więc pacnął przed nim i nazwał go (to zbyt dobry żart, żeby mógł być prawdziwy!) „swoim ojcem". Z Lindą natomiast nie chwyciło; nikt nie zdradzał najmniejszej ochoty do oglądania jej. Powiedzieć, że się jest matką - to już nie żart, to nieprzyzwoitość. Ponadto nie była prawdziwą dzikuską; urodziła się z butli i została uwarunkowana jak wszyscy inni: nie mogła więc mieć takich malowniczych pomysłów. No i wreszcie (zasadniczy powód, dla którego ludzie nie chcieli oglądać biednej Lindy) jej wygląd. Tłusta; utraciła młodzieńczą prezencję; zniszczone zęby, plamista cera; no i ta Figura (Fordzie!) - wprost nie sposób na nią patrzeć bez uczucia mdłości, tak, prawdziwych mdłości. A więc ci najlepsi byli zdecydowani n i e oglądać Lindy. Linda zaś ze swej strony nie pragnęła oglądać tamtych. Powrót do cywilizacji był dla niej powrotem do somy, możliwością leżenia w łóżku i odbywania raz po raz podróży bez bólu głowy i wymiotów po powrocie, bez owego uczucia, jakie zawsze ma się po peyotlu, uczucia, jakoby zrobiło się coś tak zawstydzająco antyspołecznego, iż nigdy już nie będzie można spojrzeć ludziom w oczy. Soma nie robiła takich niemiłych kawałów. Podróż z nią była doskonała i jeśli następny ranek nie był zbyt przyjemny, to nie sam w sobie, lecz w porównaniu z radościami podróży. Lekarstwem na to było uczynienie podróży nieprzerwaną. Domagała się łapczywie coraz większych, coraz bardziej częstych dawek. Doktor Shaw początkowo się sprzeciwiał, potem dawał jej, ile chciała. Zażywała do dwudziestu gramów na dobę.

- Co ją wykończy w miesiąc lub dwa - wyznał doktor Bernardowi. - System oddechowy zostanie sparaliżowany. Przestanie oddychać. Koniec. No i dobrze. Gdybyśmy mogli ją odmłodzić to co innego. Ale nie możemy.

Zdziwiło wszystkich (bo przecież dzięki somatycznym podróżom pozbywano się kłopotliwej obecności Lindy), że John miał obiekcje.

- Czy wy jej nie skracacie życia, pozwalając na takie dawki?

- W pewnym sensie tak - przyznał doktor Shaw. - Jednakże w innym wydłużamy je. - Młody człowiek patrzył nie rozumiejąc. - Soma może odebrać kilka lat życia w zwykłym czasie - mówił doktor - lecz pomyśl o ogromnym, niezmiernym przedłużeniu go poza czas. Każda somatyczna podróż to okruch tego, co nasi przodkowie nazywali wiecznością.

John zaczął rozumieć.

- Wieczność gościła w naszych ustach i oczach - mruknął.

- Słucham?

- Nic, nic.

- Oczywiście - kontynuował doktor Shaw - nie można pozwalać na wędrówki w wieczność ludziom, którzy mają jakieś poważne zajęcie. Skoro jednak ona nie ma żadnego poważnego zajęcia...

- Mimo wszystko - upierał się John - nie wydaje mi się to w porządku.

Doktor wzruszył ramionami.

- No cóż, jeśli wolisz, żeby się darła bez przerwy jak opętana...

W końcu John musiał ustąpić. Linda otrzymała swoją somę. Odtąd pozostawała w swym pokoiku na trzydziestym siódmym piętrze domu, w którym zamieszkiwał Bernard; leżała w łóżku, radio i telewizor włączone, kranik z paczulą odkręcony tak, by tylko kapał, w zasięgu ręki tabletki somy. Tam pozostawała, a mimo to nie było jej tam wcale, ciągle była daleko stamtąd, nieskończenie daleko, w podróży; w podróży po jakimś innym świecie, w którym muzyka płynąca z radia była labiryntem dźwięcznych barw, migotliwym, roztętnionym labiryntem, wiodącym z konieczności krętą, ale jakże piękną ścieżką ku jasnemu centrum absolutnej pewności; w którym tańczące obrazy z telewizora składały się na niewypowiedzianie rozkoszny, rozśpiewany czuciofilm; w którym kapiąca paczula była słońcem, milionem seksofonów, była kochającym się z nią Popě, tylko w o wiele większym stopniu, nieporównanie bardziej. I bez końca.

- Nie, nie możemy jej odmłodzić. Jestem jednak niezmiernie wdzięczny - zakończył doktor Shaw - za umożliwienie mi obejrzenia przypadku starości na przykładzie ciała ludzkiego. Serdecznie dziękuję, że mnie pan wezwał. - Gorąco uścisnął dłoń Bernarda.

Tak więc wszyscy uganiali się za Johnem. Jednakże można go było oglądać tylko za pośrednictwem Bernarda, urzędowego opiekuna. Bernard stwierdził, że po raz pierwszy w życiu traktowany jest nie tylko normalnie, ale wręcz jako osoba o szczególnym znaczeniu. Nie było już plotek o alkoholu w jego surogacie krwi, kpin z niskiego wzrostu. Henryk Foster robił wszystko, by zyskać jego życzliwość. Benito Hoover zrobił mu prezent z sześciu paczek gumy do żucia nasycanej wydzielinami hormonów płciowych; wicedyrektor przeznaczenia przyszedł i obrzydliwie wyżebrał zaproszenie na jedno z wieczornych przyjęć u Bernarda. Co do kobiet to wystarczyło, by Bernard tylko napomknął o możliwości zaproszenia, a mógł mieć każdą, którą zechciał.

- Bernard zaprosił mnie na przyszłą środę na oglądanie Dzikusa - oznajmiła triumfalnie Fanny.

- Cieszę się bardzo - powiedziała Lenina. - Musisz teraz przyznać, że myliłaś się co do Bernarda. Czy nie sądzisz, że jest wprost uroczy?

Fanny skinęła głową.

- I muszę stwierdzić - powiedziała - że byłam bardzo miłe zaskoczona.

Główny butlator, dyrektor przeznaczenia, trzech wicedyrektorów działu zapładniania, profesor czuciofilmoznawstwa w Instytucie Inżynierii Emocyjnej, dziekan Wspólnotowej Śpiewami Westminsteru, inspektor procesu bokanowizacji... lista notabli pragnących odwiedzić Bernarda nie miała końca.

- A w zeszłym tygodniu miałem sześć dziewcząt - zwierzył się Helmholtzowi Watsonowi. - Jedną w poniedziałek, dwie we wtorek, dwie w piątek i jedną w sobotę. A gdybym miał więcej czasu i ochoty, to byłoby ich jeszcze tuzin, aż nazbyt chętnych...

Helmholtz słuchał tych przechwałek w ponurym milczeniu tak pełnym potępienia, że Bernard poczuł się obrażony.

- Jesteś zazdrosny - powiedział.

Helmholtz potrząsnął głową.

- Jest mi tylko smutno, to wszystko - odrzekł.

Bernard wyszedł fukając ze złości. Nigdy już, powiedział sobie, nigdy nie odezwie się do Helmholtza.

Mijały dni. Powodzenie zawróciło Bernardowi w głowie i w konsekwencji całkowicie pogodziło go (jak przystało każdemu dobremu narkotykowi) ze światem, który dotychczas uznawał za tak niezadowalający. Gdy tylko świat go docenił, porządek rzeczy stał się właściwy. Jednakże, pogodzony ze światem dzięki osobistemu sukcesowi, nie wyrzekł się przywileju krytyki owego porządku. Postawa krytyczna przydawała mu ważności we własnych oczach; czuł się kimś wyższym, kimś ponad. A poza tym naprawdę wierzył, że są rzeczy zasługujące na krytykę. (Równocześnie naprawdę cieszył go sukces i możliwość posiadania każdej kobiety, jaka tylko mu się spodoba). Wobec tych, którzy mu, ze względu na Dzikusa, nadskakiwali, Bernard prezentował nieprawomyślność, czepiając się w swoim krytycyzmie różnych kwestii. Słuchano go uprzejmie. Lecz za jego plecami niejeden kiwał głową. „Ten młody człowiek źle skończy”, mówili, prorokując z tym większym przekonaniem, że sami mieli zamiar we właściwym czasie osobiście zadbać o to, by ów koniec był zły. „Drugim razem żaden nowy Dzikus mu już nie pomoże”, mówili. Póki co jednak był ów pierwszy Dzikus, udawali więc życzliwość. A z racji tej życzliwości Bernard

czuł się prawdziwie wielki - ogromny, a równocześnie lekki uniesieniem, lżejszy od powietrza.

- Lżejszy od powietrza - mówił Bernard wskazując w górę.

Wysoko, wysoko nad nimi na niebie niczym perła różowił się w słonecznym blasku balon na uwięzi, wypuszczony przez Ministerstwo Pogody.

„... rzeczonemu Dzikusowi - brzmiała instrukcja otrzymana przez Bernarda - ukazać cywilizowane życie we wszystkich jego aspektach...”

Ukazywał mu je teraz z lotu ptaka, z platformy wieży na Charing-T. Naczelnik stacji i dyżurny meteorolog służyli za przewodników. To jednakże Bernard mówił najwięcej. Odurzony swoim sukcesem, zachowywał się, jakby był co najmniej odbywającym wizytację zarządcą świata. Lżejszy niż powietrze.

Opadła z nieba Zielona Rakieta przybywająca z Bombaju. Pasażerowie wysiadali. Przez osiem luków kabiny wyglądało ośmiu bliźniaków-Drawidów odzianych w stroje barwy khaki. Stewardzi.

- Tysiąc dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę - powiedział dobitnie naczelnik stacji. - Co pan o tym powie, panie Dzikus?

John powiedział, że owszem.

- Ale - dodał - Ariel potrafił okrążyć kulę ziemską w czterdzieści minut.

„Dzikus - pisał Bernard w swoim raporcie dla Mustafy Monda – przejawia zadziwiająco nikłe zainteresowanie i równie nikłe zdumienie wobec osiągnięć cywilizacji. Bez wątpienia jest to po części spowodowane przez fakt, iż słyszał o nich od kobiety Lindy, jego m...”

(Mustafa Mond zmarszczył brwi. „Czy ten idiota uważa, że jestem zbyt wstydliwy, by zobaczyć to słowo napisane w całości?”).

„Po części zaś tym, że jego uwaga skupia się na tak zwanej przezeń „duszy”, którą uważa on za byt niezależny od świata fizycznego; gdy zaś usiłowałem mu wykazać...”

Zarządca opuścił kilka następnych zdań i już miał odwrócić stronę w poszukiwaniu jakichś bardziej interesujących konkretów, gdy jego uwagę przykuł szereg zdań wprost niezwykłych. „... chociaż muszę przyznać - przeczytał - iż zgadzam się z Dzikusem co do tego, że cywilizacyjne dziecięctwo jest zbyt łatwe lub, jak on to ujmuje, ma zbyt małą cenę; chciałbym niniejszym skorzystać z okazji i zwrócić uwagę jego Fordowskiej Wysokości na...”

Wściekłość Mustafy Monda niemal natychmiast ustąpiła wesołości. Obraz tej kreatury uroczyście pouczającej go - jego - o właściwym porządku był doprawdy zbyt groteskowy. Ten człowiek chyba zwariował. „Muszę dać mu nauczkę", powiedział sobie, po czym odchylił w tył głowę i roześmiał się głośno. Tak, nauczkę, ale jeszcze nie teraz.

Był to mały zakład produkujący reflektory dla helikopterów, filia Towarzystwa Wyposażenia Elektrycznego. Już na dachu (okólny list polecający od zarządcy czynił cuda) oczekiwał ich dyrektor techniczny i kierownik działu kadr. Po schodach zeszli do zakładu.

- Każdy element procesu produkcyjnego - wyjaśniał kierownik - realizowany jest, na tyle, na ile to możliwe, przez członków tej samej grupy Bokanowskiego.

W rezultacie osiemdziesiąt trzy czarne płaskonose delty krótkogłowe wykonywały walcowanie na zimno. Pięćdziesięciu sześciu orlonosych rudzielców-gamm obsługiwało pięćdziesiąt sześć czteroosiowych śmigających tokarek.

Sto siedem senegalskich warunkowanych termicznie epsilonów pracowało w odlewni. Trzydzieści trzy żeńskie delty, o długich głowach, płowym owłosieniu, wąskich miednicach, wszystkie o wzroście metr sześćdziesiąt dziewięć (z dokładnością do dwudziestu milimetrów), gwintowały śruby. W montażowni dwie grupy karłów, gamm-plus, składały dynama. Naprzeciw siebie stały dwa niskie stoły; pomiędzy nimi krążył przenośnik, dowożąc oddzielnie części; czterdzieści siedem jasnowłosych głów pochylało się ku czterdziestu siedmiu głowom ciemnowłosym. Czterdzieści siedem zadartych nosów ku czterdziestu siedmiu haczykowatym; czterdzieści siedem cofniętych szczęk ku czterdziestu siedmiu wysuniętym. Zmontowane mechanizmy sprawdzało osiemnaście bliźniaczych, odzianych w zielony strój gamm, dziewcząt o kędzierzawych kasztanowatych włosach; pakowanie do skrzyń wykonywało trzydziestu czterech krótkonogich, leworęcznych mężczyzn, delt-minus, ładowało zaś skrzynie na oczekujące ciężarówki i przyczepy sześćdziesięciu trzech niebieskookich, płowowłosych i piegowatych epsilonów-półkretynów.

- O nowy wspaniały świecie... - złośliwa pamięć podsunęła Dzikusowi słowa Mirandy. - O nowy wspaniały świecie, który takich wydajesz ludzi.

-I zapewniam was-zakończył kierownik działu kadr, gdy opuszczali fabrykę - że bardzo rzadko mamy jakieś kłopoty z pracownikami. Zawsze spotykamy...

Wtem Dzikus porzucił nagle swoich towarzyszy i za kępą wawrzynów zaczął gwałtownie wymiotować, jak gdyby twardy grunt był podłogą helikoptera zapadającego w dziurę powietrzną.

„Dzikus - pisał Bernard - odmawia zażywania somy i wydaje się zatroskany faktem, że kobieta Linda, jego m..., stale przebywa w somatycznej podróży. Warto zaznaczyć, że pomimo starości jego m... i jej w najwyższym stopniu odrażającego wyglądu Dzikus często ją odwiedza i wydaje się do niej bardzo przywiązany - interesujący przykład na to, jak wczesne warunkowanie może zmodyfikować, a nawet usunąć naturalne odruchy (w tym wypadku odruch ucieczki od nieprzyjemnego obiektu)”.

W Eton wylądowali na dachu szkoły. Po przeciwnej stronie dziedzińca szkolnego bielała w słońcu pięćdziesięciodwupiętrowa Lupton’s Tower. Instytut po jej lewej stronie i szkolna śpiewalnia wspólnotowa po prawej wzniosły swe czcigodne kształty z żelazobetonu i vita-szkła. W środku czworokątnego dziedzińca stał stary malowniczy posąg Pana Naszego Forda odlany ze stali chromowej.

Doktor Gaffney, rektor, i panna Keate, dyrektorka szkoły, powitali ich, gdy wysiedli z helikoptera.

- Czy dużo tu macie bliźniaków? - zapytał z obawą w głosie Dzikus, kiedy rozpoczynali zwiedzanie.

- Och, nie - odparł rektor. - Eton jest przeznaczony wyłącznie dla chłopców i dziewcząt z kast wyższych. Jedno jajo, jeden osobnik. To oczywiście utrudnia edukację. Ponieważ jednak - westchnął - będą musieli oni podejmować odpowiedzialność i działać w sytuacjach nieprzewidywalnych, nie można tego uniknąć.

Tymczasem Bernard upodobał sobie mocno pannę Keate.

- Gdyby pani była wolna wieczorem w poniedziałek, środę lub piątek... - powiedział. Wskazując palcem na Dzikusa dodał: - Wie pani, on jest naprawdę ciekawy. Malowniczy.

Panna Keate uśmiechnęła się (jaki miły uśmiech, pomyślał), powiedziała „dziękuję”; będzie bardzo rada wpaść na któreś z przyjęć. Rektor otworzył drzwi.

Pięć minut w klasie alf-dwuplusów wprawiło Johna w lekkie oszołomienie.

- Co to jest względność elementarna? - szepnął do Bernarda. Bernard usiłował wytłumaczyć, potem dał za wygraną i zaproponował, żeby przejść do innej sali.

Spoza drzwi wychodzących na korytarz, którym szli do sali geograficznej bet-minus, śpiewny sopran wołał: „Raz, dwa, trzy, cztery”, a potem ze znużeniem, niecierpliwie: „Mówiłam, tak jak poprzednio”.

- Ćwiczenia maltuzjańskie - wyjaśniła panna Keate. - Większość naszych dziewcząt jest bezpłodna, rzecz jasna. Ja sama jestem bezpłodna. - Uśmiechnęła się do Bernarda. Mamy jednak około ośmiuset nie sterylizowanych, które wymagają ciągłego treningu.

W sali geograficznej bet-minus John dowiedział się, że: „rezerwat dzikich to miejsce, którego z racji niesprzyjających warunków klimatycznych i geologicznych lub ubóstwa źródeł naturalnych nie opłaca się cywilizować”. Klik! Sala pogrążyła się w ciemności; i oto nagle nad głową nauczyciela pojawili się penitenci z Acoma, którzy zgięci w pokłonie przed Panią Naszą i zawodzący w znany Johnowi sposób wyznawali swe grzechy przed Jezusem na krzyżu, przed wizerunkiem orła, symbolu Pookonga. Młodzi uczniowie z Eton wybuchnęli śmiechem. Ciągle zawodząc penitenci powstali z kolan, zrzucili górne części odzieży i zaczęli się raz za razem biczować za pomocą węźlastych rzemieni. Jeszcze potężniejsza salwa śmiechu zagłuszyła nawet wzmacniany specjalnie zapis ich jęków.

- Dlaczego oni się śmieją? - zapytał Dzikus z bolesnym zdumieniem.

- Dlaczego? - rektor zwrócił ku niemu twarz, na której gościł jeszcze szeroki uśmiech. - Dlaczego? No bo to jest nadzwyczaj zabawne.

W półmroku sali Bernard zaryzykował gest, na który dawniej nie zdobyłby się chyba w zupełnym nawet mroku. Silny poczuciem swej niedawno zdobytej ważności, objął ramieniem kibić dyrektorki szkoły. Kibić poddała się jak gałązka wierzby. Już miał zamiar ukraść całusa lub nawet dwa, a może i zaryzykować delikatne uszczypnięcie, gdy okiennice otwarły się znowu.

- Może już pójdziemy - powiedziała panna Keate i ruszyła ku drzwiom.

- A to - rzeki rektor w chwilę później - jest sala kontroli hipnopedycznej.

Setki szaf grających z muzyką syntetyczną, jedna szafa na jedną sypialnię, stały na półkach wzdłuż trzech ścian sali; w przegródkach na czwartej ścianie znajdowały się papierowe rolki ścieżki dźwiękowej z wdrukowanym w nie zapisem poszczególnych lekcji hipnopedycznych.

- Tu się wsuwa rolkę - wyjaśniał Bernard przerwawszy doktorowi Gaffneyowi - naciska się ten guzik...

- Nie, nie, ten - poprawił nachmurzony doktor Gaffney.

- No właśnie, ten. Rolka się odwija. Atomy selenu przetwarzają impulsy świetlne w fale głosowe i...

- I gotowe - dokończył doktor Gaffney.

- Czy oni czytają Szekspira? - zapytał Dzikus, gdy zmierzając do laboratoriów biochemicznych przechodzili obok szkolnej biblioteki.

- Oczywiście, że nie - powiedziała rumieniąc się dyrektorka.

- Nasza biblioteka - stwierdził doktor Gaffney - zawiera wyłącznie książki fachowe. jeśli nasza młodzież potrzebuje rozrywki, może iść na czuciofilm. Nie zachęcamy jej do oddawania się samotnym zabawom.

Pięć autokarów pełnych chłopców i dziewcząt, rozśpiewanych lub w milczeniu obejmujących się parami, przemknęło obok nich po szklanej jezdni.

- Właśnie wracają - wyjaśnił doktor Gaffney, gdy tymczasem Bernard szeptem umawiał się z dyrektorką szkoły na wieczorne spotkanie - z krematorium w Slough. Warunkowanie tanatyczne zaczyna się w osiemnastym miesiącu życia. Każde dziecko spędza dwa poranki tygodniowo w szpitalu umierających. Są tam najlepsze zabawki, a w dniach zejścia podaje się dzieciom krem czekoladowy. Uczą się uznawać śmierć za rzecz zwykłą.

- Jak każdy inny proces fizjologiczny - wtrąciła fachowo dyrektorka.

O ósmej w Sayoyu. Uzgodnione.

W powrotnej drodze do Londynu zatrzymali się w Brentford przed zakładami Zrzeszenia Telewizyjnego.

- Zechciej zaczekać tu chwilę, a ja pójdę zatelefonować - rzekł Bernard.

Dzikus czekał i patrzył. Pierwsza zmiana właśnie kończyła pracę. Tłumy pracowników kast niższych stały w długich kolejkach przed przystankiem jednoszynówki - siedemset albo osiemset gamm, delt, epsilonów, mężczyzn i kobiet, ale nie więcej niż tuzin odmiennych twarzy i figur. Każdej z osób kasjer wraz z biletem podawał małe pudełeczko tabletek. Długi rząd kobiet i mężczyzn przesuwał się powoli.

- Co jest w tych szkatułkach? - zapytał wspomniawszy *Kupca weneckiego* Dzikus Bernarda, gdy ten dołączył po chwili.

- Dzienna porcja somy - odpowiedział dość niewyraźnie Bernard, bo właśnie trzymał w ustach kawałek gumy do żucia, prezentu od Benita Hoovera. - Dostają ją po pracy. Cztery półgramowe tabletki. W soboty sześć.

Lenina weszła do przebieralni podśpiewując sobie wesoło.

- Wyglądasz na zadowoloną z siebie - powiedziała Fanny.

- Bo jestem zadowolona - odparła. Zzzyg! – Bernard dzwonił pół godziny temu. - Zzzyg, zzzyg! Wydobyła się z szortów. - Ma dziś niespodziewane spotkanie. - Zzzyg! - Prosił mnie, bym zabrała wieczorem Dzikusa na czuciofilm. Muszę pędzić. - Pognała w stronę łazienki.

- Ma szczęście dziewczyna - powiedziała do siebie Fanny patrząc w ślad za Leniną.

Nie było w tej uwadze zazdrości; dobroduszna Fanny po prostu stwierdzała fakt. Lenina miała szczęście; dzieliła przecież z Bernardem sporą część ogromnej sławy Dzikusa, jej mało znacząca osoba odbijała blask najmodniejszej aktualnie gwiazdy. Czyż sekretarz Fordowskiej Ligi Młodych Kobiet nie poprosił jej o prelekcję na temat jej doświadczeń? Czyż nie zaproszono jej na doroczny obiad w Klubie „Aphroditaeum"? Czyż nie wystąpiła w Dzienniku Czuciowizyjnym - tak iż niezliczone miliony mieszkańców planety mogły ją poznać wzrokiem, słuchem i dotykiem?

Nie mniej przyjemne były względy okazywane jej przez wybitne osobistości. Drugi sekretarz rezydującego zarządcy świata zaprosił ją na kolację i śniadanie. Jeden weekend spędziła z fordowskim sędzią Sądu Najwyższego, inny zaś w towarzystwie archiśpiewaka wspólnotowego z Canterbury. Prezes Korporacji Wydzielin Wewnętrznych i Zewnętrznych telefonował do niej nieustannie, z wicedyrektorem Banku Europejskiego zaś była w Deauville.

- To wszystko jest cudowne, oczywiście. A jednak - zwierzała się przed Fanny - czuję, jakbym w pewien sposób dokonywała nadużycia. Bo pierwszą oczywiście rzeczą, jaką oni wszyscy chcą wiedzieć, jest: jak wygląda seks z Dzikusem? A ja muszę odpowiadać, że nie wiem. - Potrząsnęła głową. - Większość mężczyzn mi nie wierzy. Ale tak jednak jest. Wolałabym, żeby było inaczej - dodała ze smutkiem i westchnęła. - On jest strasznie przystojny, nie sądzisz?

- A czy ty mu się nie podobasz? - spytała Fanny.

- Czasem wydaje mi się, że tak, a czasem, że nie. On ze wszystkich sił stara się mnie unikać. Wychodzi z pokoju, kiedy ja wchodzę; nie chce mnie dotknąć ani nawet spojrzeć na mnie. Gdy jednak czasami odwracam się nagle, przyłapuję jego wzrok; wtedy... no wiesz, jak mężczyźni patrzą na kobietę, która im się podoba.

Tak, Fanny wiedziała.

- Nie mogę tego rozgryźć - stwierdziła Lenina.

Nie mogła tego rozgryźć; nie tylko była zdziwiona - była wręcz zmartwiona.

- Bo widzisz, Fanny, mnie się on podoba.

Podobał się coraz bardziej. No, dziś będzie świetna okazja, pomyślała perfumując się po kąpieli. Klap, klap, klap - świetna okazja. Jej dobry humor znalazł upust w postaci piosenki:

Tul mnie miły z całej siły;
Całuj mnie aż po świtanie;

Tul kochanku bez ustanku;
Jak soma dobre kochanie.

Organ węchowy grał uroczo odświeżające capriccio ziołowe, tocząc pasaże tymianku i lawendy, rozmarynu, bazylii, mirtu, estragonu; szereg odważnych modulacji w tonacji korzennej aż po ambrę; potem powolny powrót przez drzewo sandałowe, kamforę, cedr i świeże siano (od czasu do czasu delikatny dysonans - powiew zapachu sosu nerkowego, leciutki domysł woni świńskiego gnoju) od prostych aromatów, od których utwór się rozpoczął. Gasło ostatnie tymiankowe tchnienie; podniosła się burza braw, zapłonęły światła. W aparacie muzyki syntetycznej zaczęła się rozwijać rolka ze ścieżką dźwiękową. Miłym rozmarzeniem wypełniło powietrze trio złożone z hiperskrzypiec, superwiolonczeli i surogatoboju. Trzydzieści lub czterdzieści taktów, a potem na tym tle instrumentalnym zaczął wyśpiewywać głos więcej niż ludzki - to gardłowy, to bardziej płytki, to pusty jak flet, to nabrzmiały tęskną harmoniką, bez wysiłku przechodził od najniższych rejestrów Gasparda Forstera, wręcz na granicy śpiewu, aż po tryl wysoko nad górnym C, jaki jedyny raz w dziejach muzyki zdołała osiągnąć Lucrezia Ajugari (w roku 1770, na scenie Opery Książęcej w Parmie, ku zdumieniu Mozarta).

Zagłębieni w miękkich fotelach Lenina i Dzikus wdychali i słuchali. Teraz kolej na oczy i naskórek.

Światła pogasły; w mroku solidne i jakby zawisłe o własnej. mocy, zapłonęły świetliste litery. TRZY TYGODNIE W HELIKOPTERZE. BARWNY STEREOSKOPOWY CZUCIOFILM, SUPERŚPIEW, SYNTDIALOGI. Z TOWARZYSZENIEM ZSYNCHRONIZOWANEGO ORGANU WĘCHOWEGO.

- Trzymaj dłonie na tych metalowych guzach na poręczach fotela - szepnęła Lenina. - W przeciwnym razie nie będziesz odbierał efektów dotykowych.

Dzikus uczynił, jak mu poradzono.

Tymczasem znikł ów świetlisty napis; przez dziesięć sekund trwał zupełny mrok; potem, nagłe, zdumiewająco i nieporównanie bardziej materialne, niż mogłoby się wydawać w faktycznych kształtach z krwi i kości, daleko bardziej realne niż realność sama, zjawiły się stereoskopowe obrazy złączonych w uścisku: gigantycznego Murzyna i młodej złotowłosej, krótkogłowej bety-plus.

Dzikus drgnął. To doznanie na wargach! Uniósł dłoń do ust; łaskotanie ustało; opuścił dłoń na metalowe guzy; pojawiło się znowu. Tymczasem organ węchowy wydzielał woń piżma. Ścieżka dźwiękowa wydała gołębie supergruchanie: „Oo-ooch”, a bas bardziej głęboki

od afrykańskiego, rozbrzmiewając z częstością zaledwie trzydziestu dwu drgań na sekundę, odpowiedział: „Aa-aach”. „Ooch-ach! Ooch-ach!”, stereoskopowe wargi złączyły się ponownie, i raz jeszcze twarzowe sfery erogenne sześciu tysięcy widzów ‚Alhambry" dotknęła nieznośna wprost, galwaniczna rozkosz. „Ooch...”

Fabuła filmu była nadzwyczaj prosta. W kilka minut po pierwszych oochach aachach (odśpiewano duet i odprawiono rytualik miłosny na owej słynnej skórze niedźwiedziej, której każdy włosek - wicedyrektor przeznaczenia miał w zupełności rację - dawał się odczuć z osobna i jak najwyraźniej) Murzyn uległ katastrofie helikopterowej, spadł na głowę. Bach! Cóż za cios w czoło! Na sali podniósł się chór „au” i „aj”.

Kontuzja obróciła wniwecz całe uwarunkowanie Murzyna. Wykształcił w sobie wyłączną, maniacką namiętność do bety-blondynki. Ona się opiera. On się upierz. Następują utarczki, pościgi, napaść na rywala, wreszcie sensacyjne porwanie. Blondynka beta zostaje uniesiona w niebo i trzymana tam, w wiszącym helikopterze, przez trzy tygodnie, pozostając w niesłychanie antyspołecznym tête-à-tête z czarnym szaleńcem. Wreszcie, po całej serii przygód i po obfitości powietrznej akrobacji, uwalnia ją trzech młodych przystojnych mężczyzn-alf. Murzyna odsyła się do ośrodka rewarunkowania dorosłych, Film zaś ma zakończenie pomyślne i przyzwoite, beta-blondynka bowiem zostaje kochanką wszystkich trzech jej wybawców. Robią chwilę przerwy na śpiew w kwartecie syntetycznym przy pełnym superorkiestralnym akompaniamencie i woni gardenii z organów węchowych. Potem po raz ostatni pojawia się niedźwiedzia skóra i wśród dęcia w seksofony ostatni stereoskopowy pocałunek niknie w mroku, ostatni łaskoczący impuls elektryczny zamiera na wargach niczym ginąca ćma, która trzepocze, drży, coraz słabiej, coraz lżej, aż wreszcie zamiera i leży zupełnie, zupełnie nieruchoma.

Dla Leniny jednakże nie całkiem zamarła. Jeszcze po zapaleniu świateł, gdy krok za krokiem posuwali się wśród tłumu w stronę wind, duch ćmy ciągle trzepotał na wargach Leniny, ciągle znaczył na skórze delikatne, budzące dreszcz drożyny lęku i rozkoszy. Policzki jej płonęły, lśniły zwilgotniałe oczy, pierś falowała. Chwyciła bezwładne ramię Dzikusa i przycisnęła je do swego boku. Rzucił na nią spojrzenie, blady, cierpiący, rozpalony pożądaniem i tym pożądaniem równocześnie zawstydzony. Nie był godzien, nie był... Ich oczy spotkały się na moment. Jakież skarby obiecywał jej wzrok! Królewski okup temperamentu. Szybko odwrócił wzrok, uwolnił uwięzione ramię. Podświadomie lękał się, że mogłaby przestać być tym czymś, czego czuł się niegodzien.

- Nie powinnaś oglądać takich rzeczy - orzekł, starając się jak najspieszniej przerzucić z Leniny na warunki zewnętrzne odpowiedzialność za wszelkie minione lub wszelkie ewentualne przyszłe odchylenia od doskonałości.

- Jakich rzeczy, John?

- Takich jak ten okropny film.

- Okropny? - Lenina była szczerze zdumiona. - Sądziłam, że jest uroczy.

- To było podłe - powiedział z oburzeniem - to było nikczemne.

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem, o co ci chodzi. - Czemu on jest taki dziwny? Dlaczego wszystko usiłuje popsuć?

W taksikopterze ledwie na nią spojrzał. Spętany mocnym, choć nigdy nie wypowiedzianym ślubem, poddany prawom, które dawno temu przestały obowiązywać, siedział odwrócony bokiem i milczący. Niekiedy, jak gdyby jakiś palec potrącał napiętą w nim do granic wytrzymałości strunę, całym jego ciałem wstrząsał nagły nerwowy dreszcz.

Taksikopter wylądował na dachu domu, w którym mieszkała Lenina. „Nareszcie", pomyślała z radością, wysiadając z taksówki. Nareszcie - mimo że on nadal jest taki dziwny. Stojąc w świetle lampy zerknęła w podręczne lusterko. Nareszcie. Tak, nos rzeczywiście trochę błyszczy. Wytrząsnęła nieco pudru z puderniczki. Odpowiedni moment - bo on właśnie płaci za taksówkę. Potarła świecące miejsce myśląc przy tym: „On jest strasznie przystojny. Nie musi być taki nieśmiały jak Bernard. A jednak... Każdy inny mężczyzna już dawno by to zrobił. No, ale nareszcie dziś". Część twarzy widoczna w małym okrągłym lusterku uśmiechnęła się nagle do niej.

- Dobranoc - rozległ się za jej plecami zdławiony głos. Lenina odwróciła się. Stał w drzwiach taksówki patrząc nieruchomym wzrokiem; zapewne patrzył tak przez cały ten czas, gdy ona pudrowała nos, i czekał - ale na co? A może się wahał usiłując podjąć decyzję i ciągle myślał, myślał jakieś nadzwyczajne myśli - nie była w stanie pojąć jakie.

- Dobranoc, Lenino - powtórzył; jego usta wykrzywił osobliwy grymas, próba przywołania uśmiechu.

- Ależ John - Myślałam, że ty... Czy ty nie...?

Zamknął drzwi i pochylił się ku pilotowi wydając mu jakieś polecenie. Taksówka wzbiła się w górę.

Spoglądając przez okno w podłodze Dzikus widział zwróconą ku górze twarz Łeniny, bladą w jasnym świetle lamp. Jej otwarte usta coś wołały. Oglądana z góry w

perspektywicznym skrócie postać oddalała się szybko; malejący kwadrat dachu zdawał się pogrążać w otchłani mroku.

W pięć minut później był już w swoim pokoju. Ze schowka wyjął nadgryziony przez myszy tom, z nabożną czcią odwracał wyplamione i zmięte stronice; zaczął czytać *Otella*. Otello, jak sobie przypomniał, jest jak ów bohater *Trzech tygodni w helikopterze*: też Murzyn.

Otarłszy oczy Lenina podążyła przez dach ku windzie. Zjeżdżając na dwudzieste siódme piętro wyjęła fiolkę somy. Jeden gram, zadecydowała, nie wystarczy; jej przykrość jest więcej niż jednogramowa. Ale jeśli weźmie dwa, może nie obudzić się na czas jutro rano. Wybrała wyjście pośrednie wytrząsając na stuloną lewą dłoń trzy tabletki półgramowe.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Bernard musiał wołać stojąc pod zamkniętymi drzwiami; Dzikus nie chciał otworzyć.

- Ależ wszyscy już są, czekają na ciebie!

- A niech czekają - dobiegi zza drzwi stłumiony głos.

- John, przecież dobrze wiesz - (jakże trudno jest mówić przekonywająco, gdy trzeba tak natężać głos!) - że zaprosiłem ich, aby mogli poznać ciebie.

- Powinieneś był najpierw mnie zapytać, czy mam ochotę ich poznać.

- No John, przecież zawsze przychodziłeś.

- Dlatego właśnie już więcej nie chcę.

- Zrób to dla mnie - Bernard darł się przymilnym tonem. - Nie chcesz zrobić tego dla mnie?

- Nie.

- Mówisz serio?

- Tak.

- To co ja mam robić? - z rozpaczą zawołał Bernard.

- A idź do diabla - odkrzyknął zirytowany głos.

- Ależ dzisiaj przybył tu archiśpiewa1ś~ wspólnotowy z Canterbury. - Bernard nieomal płakał.

- *Ai yaa tákua!* - Tylko w języku Zuñi Dzikus był w stanie należycie wyrazić swój stosunek do archiśpiewaka wspólnotowego. - *Háni!* - dodał po chwili; potem jeszcze (z jakąż gwałtownością w głosie) zadrwił: - *Sons ěso tse-ná* - i splunął na podłogę, tak jak mógłby to zrobić Popě.

W końcu pokonany Bernard musiał wycofać się do swojego mieszkania i powiadomić niecierpliwe towarzystwo, że Dzikus nie pokaże się tego wieczoru. Wieść przyjęto z oburzeniem. Mężczyźni byli wściekli, że niepotrzebnie okazywali względy tej płotce o niesmacznej reputacji i heretyckich poglądach. Im kto wyższą zajmował pozycję społeczną, tym głębszą czuł urazę.

- Tak sobie ze mnie zakpić - powiedział archiśpiewak. - Ze mnie!

Co do kobiet, to z oburzeniem uznały, że je wykorzystano - że je wykorzystał ten paskudny karzełek, któremu omyłkowo dodano alkoholu do butli - ten stwór o posturze gammy-minus. To obelga, tak mówili, i to coraz głośniej. Dyrektorka szkoły w Eton była w tym szczególnie aktywna.

Tylko Lenina milczała. Blada, z nietypową dla niej melancholią w błękitnych oczach, siedziała w kącie pokoju, odgrodzona od nich emocjami, które nie były ich udziałem. Przyszła na przyjęcie przepełniona dziwnym uczuciem lęku i zarazem uniesienia. „Za kilka minut - powiedziała sobie wchodząc do pokoju - ujrzę go, porozmawiam z nim, powiem mu (zdecydowała się na to), że mi się podoba, i to bardziej niż ktokolwiek, kogo dotychczas znałam. A potem może on powie..."

Co powie? Krew napłynęła jej do twarzy.

„Dlaczego wczoraj po czuciofilmie był taki dziwny? Taki osobliwy. A jednak jestem pewna, że bardzo mu się podobam. Jestem pewna..."

To właśnie w tym momencie Bernard podał ową wiadomość; Dzikus nie przyjdzie na przyjęcie.

Lenina poczuła nagle wszystkie sensacje doznawane zwykle na początku leczenia surogatem gwałtownych namiętności - poczucie straszliwej pustki, lęk zapierający dech w piersi, nudności. Zdawało jej się, że praca serca ustała.

„To pewnie dlatego, że mu się nie podobam", powiedziała sobie. I od razu ta możliwość stała się ustaloną prawdą: John odmówił przyjścia, ponieważ ona mu się nie podoba. Nie podoba mu się...

- Tego doprawdy już zbyt wiele - mówiła dyrektorka szkoły z Eton do dyrektora sieci krematoriów i systemu odzyskiwania fosforu. - Kiedy pomyślę, że ja...

- Tak - rozległ się głos Fanny Crowne - to o alkoholu to całkowita prawda. Mój znajomy znał kogoś, kto pracował wówczas w składzie embrionów. Tamta osoba powiedziała to mojemu przyjacielowi, a on powiedział mnie...

- Fatalne, fatalne - powiedział Henryk Foster, starając się okazać współczucie archiśpiewakowi. - Być może zainteresuje pana, że nasz były dyrektor zamierzał przenieść go do Islandii.

Przekłuwany każdym wypowiadanym słowem nadęty balon pewności siebie Bernarda uchodził teraz tysiącem otwartych ran. Blady, zmieszany, pognębiony i do głębi wstrząśnięty krążył pośród swych gości bąkając nieskładne przeprosiny, zapewniając, że następnym razem Dzikus na pewno się pojawi, nalegając, by usiedli i częstowali się karotenowymi kanapkami, witaminą A pâté, surogatem szampana. Zajadali posłusznie, gospodarza jednak ignorując; pili, ale odnosili się doń niegrzecznie lub wymieniali między sobą uwagi na jego temat - głośno, obraźliwie, tak jakby go tam w ogóle nie było.

- Cóż, moi przyjaciele - wyrzekł archiśpiewak wspólnotowy z Canterbury swym pięknym, dźwięcznym głosem, który służył mu do prowadzenia obchodów Dnia Forda - cóż,

moi przyjaciele, czas już chyba na mnie... - Wstał, odstawił szklankę, strzepnął z purpurowej, wiskozowej sukni okruchy wystawnego posiłku i podążył ku drzwiom.

Bernard rzucił się zastępować mu drogę.

- Czy pan archiśpiewak naprawdę musi...? Jeszcze bardzo wcześnie. Miałem nadzieję, że pan...

O tak, cóż on miał za nadzieje, gdy Lenina powiedziała mu w zaufaniu, że archiśpiewak wspólnotowy przyjąłby zaproszenie, gdyby mu je wysłano. „Wiesz, on jest naprawdę uroczy”. I pokazała Bernardowi mały zloty wisiorek w kształcie T do zamka błyskawicznego, podarowany jej przez archiśpiewaka na pamiątkę weekendu spędzonego przez nią w diecezjalnej śpiewalni. *Obecni będą archiśpiewak z Canterbury oraz pan Dzikus.* Bernard ogłaszał swój triumf na każdej z kart zaproszeniowych. A tu Dzikus ten właśnie, ten właśnie wieczór wybrał na to, by zamykać się w pokoju i wołać *Háni!*, a nawet (dobrze, że Bernard nie rozumiał języka Zuñi) *Sons ĕso tse-ná*! Chwila, która miała być ukoronowaniem całej kariery Bernarda, obróciła się w moment jego największego upokorzenia.

- Miałem taką nadzieję... - powtarzał bełkotliwie, spoglądając na wielkiego dygnitarza zmieszanym, błagalnym wzrokiem.

- Mój młody przyjacielu - rzekł donośnie archiśpiewak wspólnotowy tonem uroczystym i surowym; zapadło powszechne milczenie. - Pozwól mi udzielić ci jednej rady. - Pogroził Bernardowi palcem. - Zanim nie będzie za późno. Jednej dobrej rady. - (Ton stał się grobowy). - Prostuj ścieżki swoje, mój młody przyjacielu, prostuj ścieżki swoje. - Uczynił nad nim znak T i odwrócił się. - Lenino, dziecko moje - zawołał innym już tonem. - Pójdź ze mną.

Posłusznie, choć bez uśmiechu i (zupełnie obojętna wobec doznanego zaszczytu) bez emocji Lenina wyszła za nim z pokoju. Pozostali goście podążali w stosownym oddaleniu. Ostatni z nich zatrzasnął drzwi. Bernard został sam.

Podziurawiony na wylot, oklapły, opadł na fotel i ukrywszy twarz w dłoniach zapłakał. W chwilę potem po zastanowieniu zażył cztery tabletki somy.

Na górze w swoim pokoju Dzikus czytał *Romea i Julię*.

Lenina i archiśpiewak wspólnotowy wysiedli na dachu śpiewalni.

- Szybko, szybko, mój przyjacielu... to jest, chciałem powiedzieć, Lenino - wołał niecierpliwie archiśpiewak stojąc u wejścia do windy. Lenina, która zwolniła na chwilę, by popatrzeć na księżyc, opuściła oczy i pospieszyła przez dach, aby dołączyć do archiśpiewaka.

„Nowa teoria biologii”, brzmiał tytuł rozprawy, którą Mustafa Mond właśnie kończył czytać. Siedział przez chwilę, marszcząc w zamyśleniu brwi, potem wziął pióro i napisał w poprzek strony tytułowej: „Reprezentowane przez autora matematyczne podejście do pojęcia celu jest nowe, wysoce oryginalne, lecz heretyckie, a dla obecnego porządku społecznego niebezpieczne i potencjalnie wywrotowe. Nie publikować”. Ostatnie zdanie podkreślił. „Autora obserwować. Może zajść konieczność przewiezienia go do Morskiej Stacji Biologicznej na Świętej Helenie”. Szkoda, pomyślał kładąc podpis. Robota mistrzowska. Ale gdy się raz zacznie uznawać wyjaśnienia w kategoriach celu... to nie wiadomo, co z tego może wyniknąć. Tego typu idea może rozwarunkować co bardziej niestabilne umysły kast wyższych - pozbawić je wiary w szczęśliwość jako Dobro Najwyższe, a w zamian rozbudzić w nich przekonanie, iż cel jest gdzieś dalej, gdzieś poza sferą aktualnego bytowania ludzi; że celem życia nie jest podtrzymanie dobrobytu, lecz jakieś tam pogłębianie i doskonalenie świadomości, jakieś poszerzanie wiedzy. Co zresztą, pomyślał zarządca, może być prawdą. Ale prawdą nie do przyjęcia w obecnych warunkach. Ponownie wziął pióro i słowa „Nie publikować” podkreślił jeszcze jedną linią, grubszą i bardziej czarną niż poprzednia; potem westchnął. „Cóż by to była za radość - pomyślał - gdybym nie musiał doglądać tej szczęśliwości!”

Z zamkniętymi oczyma, z twarzą promieniejącą zachwytem John cicho deklamował w samotności:

> Och, ona wzorem jest blaskowi świecy!
> Zda się zawisa u policzka nocy
> Jak drogi klejnot u Etiopa ucha;
> Zbyt piękna, by dotykać jej, zbyt krucha...

Złoty wisiorek w kształcie T spoczywał, lśniąc, na piersi Leniny. Archiśpiewak wspólnotowy ujął go frywolnym ruchem, frywolnie pociągał w dół, w dół.

- Może raczej - odezwała się nagle Lenina, przerywając długą chwilę milczenia - wezmę parę gramów somy.

W tym samym czasie Bernard pogrążony był w głębokim śnie i uśmiechał się do swego prywatnego raju marzeń sennych. Uśmiechał się i uśmiechał. Lecz nieuchronnie co trzydzieści sekund duża wskazówka elektrycznego budzika nad jego łóżkiem przeskakiwała

do przodu z prawie niedosłyszalnym „klik”. Klik, klik, klik, klik... I już było rano. Bernard znów znajdował się pośród marności przestrzeni i czasu. W ponurym nastroju poleciał taksówką do pracy w Ośrodku. Po narkotyku powodzenia nie zostało śladu; był na trzeźwo swoim starym sobą; w porównaniu do minionego balonu tych ostatnich tygodni stare ja wydawało się cięższe od otaczającej je atmosfery, i to bardziej niż kiedykolwiek indziej.

Tak oklapłemu Bernardowi Dzikus nieoczekiwanie okazał wiele życzliwości.

- Dziś o wiele bardziej przypominasz siebie z Malpais - rzekł, gdy Bernard opowiedział mu swą żałosną historię. - Pamiętasz naszą pierwszą rozmowę? Przed tamtą małą chatką. Jesteś dziś taki jak wtedy.

- Bo znów jestem nieszczęśliwy, oto dlaczego.

- Ja tam wolę być nieszczęśliwy, niż pozostawać w stanie tej fałszywej, kłamliwej szczęśliwości, w jakiej tu się żyje.

- Dobre sobie - powiedział gorzko Bernard. - To przecież wszystko twoja wina. Nie przyszedłeś na przyjęcie i przez to napuściłeś ich wszystkich na mnie! - Wiedział, że to, co mówi, jest absurdalnie niesprawiedliwe; w duchu, a w końcu i głośno, przyznał rację temu, co w odpowiedzi Dzikus rzekł o marności przyjaźni z ludźmi, którzy wskutek tak drobnego powodu potrafią się przerodzić we wrogów-prześladowców. Pomimo jednak świadomości tego faktu i przyznawania Dzikusowi racji, pomimo tego, iż wsparcie i życzliwość przyjaciela były mu teraz jedyną pociechą, Bernard żywił nadal, obok szczerej życzliwości, skryty żal do Dzikusa i obmyślał małą akcję zemsty. Żal do archiśpiewaka wspólnotowego był bezsensowny; nie było sposobu zemścić się na głównym butlatorze czy zastępcy dyrektora przeznaczenia. Dla Bernarda Dzikus posiadał, jako potencjalna ofiara, ogromną przewagę nad tamtymi: był w zasięgu Bernarda. Jedną z głównych funkcji przyjaciela jest znosić (w złagodzonej, symbolicznej postaci) krzywdy, jakie chcielibyśmy, ale nie możemy, wyrządzić naszym wrogom.

Innym przyjacielem-ofiarą Bernarda był Helmholtz. Gdy opuszczony przez wszystkich przyszedł i raz jeszcze prosił o przyjaźń, której podtrzymywanie wydawało mu się w okresie powodzenia niegodne zachodu, Helmholtz dał ją; dal ją bez wyrzutów, bez komentarzy, jak gdyby zapomniał, że kiedykolwiek się pokłócili. Poruszony tym Bernard czuł zarazem upokorzenie tą wielkodusznością - tym bardziej niezwykłą (i stąd tym bardziej upokarzającą), że niczego nie zawdzięczała somie, a wszystko charakterowi Helmholtza. To Helmholtz taki, jakim był na co dzień, zapominał i wybaczał, nie Helmholtz w półgramowej podróży. Bernard pełen był niekłamanej wdzięczności (było ogromną pociechą odzyskać

przyjaciela), ale i niekłamanej żądzy odegrania się (miła byłaby mała zemsta na Helmholtzu za jego wspaniałomyślność).

Przy pierwszym spotkaniu, jakie nastąpiło po dawnym zerwaniu przyjaźni, Bernard wylał żale nad swoimi nieszczęściami i przyjął słowa pociechy. Dopiero w kilka dni później dowiedział się ze wstydem i zdumieniem, że nie tylko on ma kłopoty. Helmholtz także popadł w konflikt z Władzą.

- Chodziło o pewne rymowanki - wyjaśnił. - Robiłem dla trzeciego roku mój zwyczaj owy wykład z wyższej inżynierii emocyjnej. Dwanaście wykładów, siódmy o rymowankach. Ściśle mówiąc, „O użyciu rymów w propagandzie moralnej i reklamach". Zawsze ilustruję wykłady licznymi przykładami. Tym razem przyszło mi do głowy, że podam im mój dopiero co napisany tekst. Czyste szaleństwo, rzecz jasna, ale nie mogłem się oprzeć. - Roześmiał się. - Ciekaw byłem, jak zareagują. A poza tym - dodał poważniejszym tonem - chciałem zadziałać propagandowo; próbowałem wsterować ich w uczucie, jakie miałem pisząc ten tekst. Fordzie! - roześmiał się znowu. - Cóż to była za afera! Szef mnie wezwał i zagroził natychmiastowym wylaniem z roboty. Mam już krechę.

- Ale co to był za tekst? - zapytał Bernard.

- O samotności.

Bernard uniósł brwi.

- Powiem ci go, jeśli chcesz. - I Helmholtz zaczął:

Klan wczorajszego dnia,
Pałeczki, lecz rozbity tam-tam,
Północ w samym środku miasta,
Flet gdzieś w pustce gra,
Śpiące oczy, zacięte usta,
Wszystkie maszyny stanęły,
A miejsca teraz puste,
Gdzie tłumy się kłębiły -
Ta cisza się raduje,
Płacze (na głos albo w sobie),
Przemawia - lecz głosem czyim?
Kto mi na to odpowie?
Brak na przykład Zosi,
Brak ramion gładkich

Egerii, jej uroczych piersi,
Warg i, no tak, pośladków,
Z wolna staje się obecnością;
Czyją? I tak bezsensowieje
Pytanie me, czy realnością
Jest coś, co nie istnieje,
Choć łatwo tym zaludniamy
Pustą noc, tworząc większą obfitość
Niż tam, gdzie spółkujemy.
Czemuż jest taka w tym nieprzyzwoitość?

- No, i taki podałem im przykład, a oni donieśli szefowi.

- Wcale się nie dziwię - rzekł Bernard. - Jest całkowicie przeciw treściom nauk przez sen. Pamiętaj, że mieli co najmniej ćwierć miliona ostrzeżeń przed samotnością.

- Wiem. Ale chciałem zobaczyć, co będzie.

- No to zobaczyłeś.

Helmholtz roześmiał się tylko.

- Czuję - powiedział po chwili milczenia - że zaczynam mieć temat do pisania. Że zaczynam być zdolny do wykorzystania tej wewnętrznej mocy, którą czuję w sobie... tego nadmiaru, tej mocy ukrytej. Zdaje się, że coś do mnie przychodzi.

On pomimo swoich kłopotów, pomyślał Bernard, wydaje się szczęśliwy. Helmholtz i Dzikus przylgnęli do siebie natychmiast. I to tak serdecznie, że Bernard poczuł ostre uczucie zazdrości. W ciągu tych wszystkich tygodni nie udało mu się dojść do takiej zażyłości z Dzikusem, jaką Helmholtz osiągnął od pierwszej niemal chwili. Obserwując ich, słuchając ich rozmów, przyłapywał się niekiedy na uczuciu, że zawistnie żałuje, iż w ogóle poznał ich ze sobą. Wstydził się swej zazdrości, więc wysilał wolę, a także zażywał somę, byle tylko uwolnić się od tego uczucia. Wysiłek woli nie był jednak zbyt skuteczny, między podróżami somatycznymi zaś z konieczności miały miejsce przerwy. Wstrętne uczucie powracało.

Na trzecim spotkaniu z Dzikusem Helmholtz wygłosił swój wiersz o samotności.

- Co o tym sądzisz? - zapytał wyrecytowawszy całość.

Dzikus pokręcił głową...

- A posłuchaj tego - brzmiała jego odpowiedź. Otworzył szufladę, w której trzymał nadgryzioną przez myszy książkę, i odczytał:

Niech śpiewem rozgłośny ptak
Na samotnym Azji drzewie,
Smutny zwiastun, da nam znak...

Helmholtz słuchał z narastającym podnieceniem. Przy „samotnym Azji drzewie” drgnął; przy „zwiastunie o przenikliwym głosie” uśmiechnął się nagle z jawną przyjemnością; przy „każdym ptaku pod skrzydłem tyrana” poczerwieniał; przy „zamarłej muzyce” zbladł jednak i drżał od niesłychanej emocji.

Dzikus czytał dalej:

Więc na własność trwoga spadła,
Że jaźń nie jest już ta sama;
Natura dwojako zwana
Nie w jeden, nie w dwa popadła.
Rozum w sobie pomieszany
Widział, jak się podział zrasta...

- Orgia-porgia! - zawołał Bernard, przerywając czytanie głośnym, nieprzyjemnym śmiechem. - To hymn posługi solidarnościowej. Mścił się na swoich dwóch przyjaciołach za to, że bardziej lubili siebie nawzajem niż jego.

W trakcie następnych dwóch czy trzech spotkań często powtarzał ten swój mały odwet. Było to proste, ale (jako że zarówno Helmholtz jak Dzikus straszliwie ubolewali nad każdym skażeniem i sprofanowaniem ich ubóstwianego kształtu poezji) nadzwyczaj skuteczne. W końcu Helmholtz zagroził, że wyrzuci go za drzwi, jeśli jeszcze raz odważy się im przeszkodzić. Jednakże, osobliwa rzecz, następne zakłócenie, i to najbardziej przykre, miało miejsce z winy samego Helmholtza.

Dzikus czytał na głos *Romea i Julię* - a czytał (ciągle widząc w sobie Romea, w Leninie zaś Julię) głosem drżącym namiętnością. Sceny pierwszego spotkania kochanków Hełmholtz słuchał z pełną zadziwienia uwagą. Scena w zasadzie zachwyciła go poezją, jednakże wyrażane tam uczucia wywołały jego uśmiech. Popaść w taki stan z powodu pragnienia dziewczyny wydawało się nader zabawne. Jednakże, ujmując rzecz od strony techniki słowa, cóż za wspaniały przykład inżynierii emocyjnej!

- Ten facet - powiedział - bije na głowę naszych najlepszych speców od propagandy.

Dzikus uśmiechnął się z .triumfem i czytał dalej. Wszystko było dobrze do chwili, gdy w ostatniej scenie trzeciego aktu pan Capulet i pani Capulet zaczęli zmuszać Julię do poślubienia Parysa. Helmholtz przejawiał niepokój podczas całej tej sceny; gdy jednak Julia w patetycznej interpretacji Dzikusa wykrzyknęła:

Czyliż nie ma litości w niebiosach,
Co by wejrzała w otchłań mego bólu?
O droga matko, nie odpychaj mnie!
Opóźnij ślub o miesiąc, tydzień choć;
A jeśli nie, to ściel mi małżeńskie łoże
W mrocznym grobowcu, gdzie Tybalt spoczywa...,

Helmholtz wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem.

Matka i ojciec, zabawna nieprzyzwoitość) zmuszają córkę, żeby sobie wzięła chłopca, którego ona nie chce! A ta idiotka nie mówi, że ma innego (w danej chwili przynajmniej), którego woli! Ta nieprzyzwoita i absurdalna sytuacja była niesłychanie komiczna. Najwyższym wysiłkiem powstrzymywał napór swej wesołości, jednakże wzmianka o „drogiej matce" (wypowiedziana pełną bólu intonacją Dzikusa) i o martwym ciele Tybalta, najwyraźniej nie skremowanym i trwoniącym fosfor w jakimś mrocznym grobowcu, to już było dlań zbyt wiele. Śmiał się nieprzerwanie, gdy tymczasem blady z oburzenia Dzikus spoglądał nań sponad książki, a gdy śmiech trwał nadal, zamknął ją gniewnie, wstał i gestem kogoś, kto usuwa swe perły sprzed wieprzy, schował ją do szuflady.

- A jednak - mówił Helmholtz, gdy złapawszy oddech na tyle, by móc złożyć przeprosiny, udobruchał Dzikusa, tak iż ten zechciał słuchać wyjaśnień - zdaję sobie sprawę, że takie zabawne, obłąkane sytuacje są potrzebne; w przeciwnym razie nie można by pisać naprawdę dobrze. Dlaczego ten facet był tak wspaniałym specem od propagandy? Bo tyle było wokół niezdrowych, dręczących rzeczy, które go poruszały. Musisz doznawać bólu i trosk, inaczej nie stworzysz tekstów prawdziwie dobrych, przeszywających jak promienie Roentgena. Ale ci ojcowie i matki! - potrząsnął głową. - Nie możesz oczekiwać ode mnie, żebym znosił z powagą ojców i matki. No i żeby mnie poruszała sprawa, czy chłopak będzie miał dziewczynę czy nie? - (Dzikus drgnął, lecz Helmholtz, w zamyśleniu wpatrzony w podłogę, nie zauważył tego). - Nie - zakończył z westchnieniem - to jest do niczego. Potrzeba nam innego szaleństwa i innej przemocy. Ale jakiego rodzaju? Jakiego? Gdzie tego szukać? - Umilkł; potem potrząsając głową zakończył: - Nie wiem. Nie wiem.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Henryk Foster wyłonił się z rubinowego półmroku składu embrionów.

- Chcesz pójść dziś wieczorem na czuciofilm?

Lenina w milczeniu potrząsnęła głową.

- Wychodzisz z kimś? - Zawsze chciał wiedzieć kto z kim pośród jego znajomych. - Z Benitem? - dopytywał się.

Ponownie potrząsnęła głową.

Henryk dostrzegł zmęczenie w jej purpurowych oczach, bladość twarzy pod powłoką tocznia, smutek w kącikach pozbawionych uśmiechu karminowych ust.

- Nie jesteś przypadkiem chora? - zapytał z niepokojem, w obawie, czy nie zapadła na którąś z chorób zakaźnych, jakie jeszcze, w niewielkiej liczbie, przetrwały.

Jeszcze raz Lenina zaprzeczyła ruchem głowy.

- Tak czy owak powinnaś pójść do lekarza - stwierdził Henryk. - Wizyta u lekarza choroby do ciebie zraża - dodał wprasowując w nią za pomocą klepnięcia w plecy tę hipnopedyczną maksymę. - Może przydałby ci się substytut V ciążowy - podsunął. - Albo kuracja surogatem gwałtownych namiętności. Wiesz, niekiedy zwykły surogat namiętności niezbyt...

- Och, na miłość fordowską - Lenina przerwała swe uparte milczenie - zamknij się już! - I odwróciła się do swoich embrionów.

Rzeczywiście, kuracja SGN! Roześmiałaby się, gdyby nie to, że była bliska płaczu. Tak jakby nie dość jej było własnych GN! Westchnęła głęboko, napełniła strzykawkę. „John", szeptała do siebie, „John..." Potem zaczęła dumać: „Mój Fordzie, czy ja zrobiłam tu już zastrzyk śpiączki czy nie?" Po prostu nie pamiętała. W końcu postanowiła nie ryzykować nowej dawki i przeszła do następnej butli.

W dwadzieścia dwa lata, osiem miesięcy i cztery dni później młody obiecujący administrator w Mwanza-Mwanza, alfa-minus, umrzeć miał na trypanosomiasis - pierwszy przypadek od ponad pół wieku. Wzdychając Lenina kontynuowała pracę.

W godzinę potem w przebieralni Fanny ostro protestowała:

- Ależ to absurd wpędzać się w taki stan. Po prostu absurd - powtarzała. - I o co? O mężczyznę. O jednego mężczyznę.

- Ale mnie się podoba właśnie ten.

- Tak jakby na świecie nie było milionów innych mężczyzn.

- Ale ja tamtych nie chcę.

- Skąd wiesz, skoro nie wypróbowałaś!

- Wypróbowałam.

- No ilu? - zapytała Fanny, pogardliwie wzruszywszy ramionami. - jednego, dwóch?

- Tuziny. Ale - dodała potrząsając głową - nic w tym nie było dobrego.

- A zatem musisz być wytrwała - powiedziała sentencjonalnie Fanny. Było jednak oczywiste, że jej wiara we własne porady uległa zachwianiu. - Niczego nie da się osiągnąć bez wytrwałości.

- Ale teraz...

- Nie myśl o nim.

- Nie potrafię.

- No to zażywaj somę.

- Zażywam.

- No więc dalej zażywaj.

- Kiedy w przerwach on ciągłe mi się podoba. Zawsze będzie mi się podobał.

- Skoro tak - orzekła stanowczym tonem Fauny - to idź i weź go. Czy chce, czy nie.

- Ach, gdybyś ty wiedziała, jaki on był strasznie dziwny!

- Tym bardziej trzeba z nim stanowczo.

- Łatwo ci mówić.

- Nie myśl o tych bzdurach. Działaj. - Głos Farmy grzmiał niczym trąba; mogłaby być teraz prelegentką Fordowskiej Ligi Młodych Kobiet, wygłaszającą wieczorny odczyt dla młodocianych bet-minus. - Tak, działaj. I to od zaraz. Natychmiast.

- Boję się - powiedziała Lenina.

- No, wobec tego zażyj najpierw pół grama somy. Ja idę teraz wziąć kąpiel. - Odmaszerowała wlokąc za sobą ręcznik.

Zabrzmiał dzwonek i Dzikus, który niecierpliwie oczekiwał, że Helmholtz odwiedzi go tego popołudnia (bo w końcu zdecydował się powiedzieć Helmholtzowi o Leninie i teraz nie mógł się już doczekać chwili zwierzeń), zerwał się i pobiegł do drzwi.

- Czułem, że przyjdziesz, Helmholtz! - zawołał otwierając drzwi.

Na progu, w białym stroju marynarskim ze sztucznego atłasu i w okrągłej białej czapeczce filuternie założonej na bakier, stała Lenina.

- Och! - jęknął Dzikus, jak po tęgim uderzeniu w głowę.

Pół grama wystarczyło, by Lenina zapomniała o swych lękach i zakłopotaniu.

- Hej, John - powiedziała z uśmiechem i minąwszy go weszła do pokoju. Odruchowo zamknął drzwi i poszedł za nią. Lenina usiadła. Zapadła długa chwila milczenia.

- John, wydajesz się niezbyt zachwycony moją wizytą - rzekła wreszcie.

- Niezbyt zachwycony? - Dzikus spojrzał na nią z wyrzutem, po czym nagle upadł przed nią na kolana i ujmując jej dłoń, ucałował ze czcią. - Niezbyt zachwycony? Och, gdybyś ty wiedziała - szepnął i odważywszy się podnieść na nią wzrok mówił dalej: - Ubóstwiona Lenino, uwielbiana najszczytniej, godna tego, co na świecie najcenniejsze. - Uśmiechała się doń czule i słodko. - O, doskonała - (pochylała się ku niemu z rozchylonymi ustami) - doskonała ł w swym stworzeniu - (coraz niżej) - niezrównana pośród stworzeń wszelkich. - Jeszcze niżej. Dzikus zerwał się nagle na równe nogi. - Dlatego - powiedział odwróciwszy twarz - chciałem najpierw coś zrobić... To znaczy okazać się ciebie godnym. Nigdy naprawdę wart ciebie nie będę. Ale przynajmniej okażę, że nie jestem zupełnie b e z wartości. Chciałem coś zrobić.

- No, skoro uważasz to za konieczne... - zaczęła Lenina, ale nie dokończyła zdania. W jej głosie pobrzmiewała irytacja. Kiedy człowiek się pochyła, coraz niżej, z rozchylonymi ustami, by stwierdzić nagle, gdy jakiś niezguła zrywa się na równe nogi, że człowiek pochyla się na darmo - no to jest chyba powód, nawet z pół gramem somy cyrkulującym krwiobiegu, prawdziwy powód do irytacji.

- W Malpais - bełkotał nieskładnie Dzikus - trzeba było przynieść skórę lwa górskiego, to znaczy, gdy. się chciało kogoś poślubić. Albo wilka.

- W Angli nie ma lwów - Lenina wręcz warknęła.

- A nawet gdyby były - dorzucił z nagłą, pogardliwą niechęcią - ludzie zabijaliby je zapewne z helikopterów, gazem trującym albo czymś takim. Tego, Lenino, nie chciałbym robić. - Wyprostował się, odważył spojrzeć na nią i napotkał wyraz poirytowanego niezrozumienia. Speszony, mówił coraz bardziej nieskładnie: - Zrobię coś. Wszystko, co rozkażesz. Bo wiesz, pewne czyny przydają cierpienia. Lecz nagrodą jest radość, jakiej dostarcza ich wypełnienie. Oto co czuję. To jest, będę zmiatał pył przed tobą.

- Ależ my tu mamy odkurzacze - zdumiała się Lenina. - To nie jest konieczne.

- Tak, oczywiście że nie jest konieczne. Ale pewne poniżenia znaczą szlachetność. Czyż nie?

- No ale skoro są odkurzacze...

- Nie w tym rzecz.

- I epsilony półkretyni, którzy je obsługują - mówiła dalej - no to po co, po co?

- Po co? Ależ dla ciebie, dla ciebie. Żeby pokazać, że ja...

- I co mają odkurzacze do lwów...

- Pokazać, jak bardzo...

- Albo lwy do radości oglądania mnie... - Była coraz bardziej zirytowana.

- Jak bardzo cię kocham, Lenino! - zawołał niemal z rozpaczą.

Wskutek fali wewnętrznego poruszenia krew uderzyła do twarzy Leniny.

- Naprawdę, John?

- Ale nie chciałem tego mówić - krzyczał Dzikus zaciskając ręce aż do bólu. - Dopóki nie,.. Posłuchaj, Lenino, w Malpais ludzie biorą ślub.

- Biorą co? - irytacja znów pojawiła się w jej głosie. O czym teraz on mówi?

- Na zawsze. Ślubują sobie żyć razem na zawsze.

- Cóż za straszny pomysł! - Lenina była szczerze wstrząśnięta.

- Przeżywając przejawy piękna duszą, co szybciej się odradza, niźli stygnie krew.

- Słucham?

- To też jest z Szekspira. Jeżeli odbierzesz jej dziewiczy wianek, nim wszystkie święte ceremonie w całej pełni obrzędu...

- Na Forda, John, mówże do rzeczy. Nie rozumiem ani słowa. Najpierw te odkurzacze, a teraz jakieś wianki. Zwariuję przy tobie. - Zerwała się i jakby w obawie, że on wymknie się jej fizycznie, tak jak wymykał się duchowo, schwyciła go za nadgarstek. - Odpowiedz mi na jedno pytanie: czy ja ci się podobam, czy nie?

Przez chwilę trwała cisza, potem on odrzekł nadzwyczaj cichym tonem:

- Kocham cię bardziej niż cokolwiek na świecie.

- No to czemu u licha nie mówiłeś od razu? - zawołała, a jej irytacja była tak wielka, że wbiła paznokcie w jego nadgarstek. - Zamiast pleść o wiankach, odkurzaczach i lwach i dręczyć mnie całymi tygodniami.

Puściła jego rękę i odepchnęła ją od siebie ze złością.

- Gdyby nie to, że tak mi się podobasz, byłabym na ciebie zła.

I oto jej ramiona otaczają jego szyję, a on czuje jej delikatne wargi na swoich. Tak cudownie delikatne, tak gorące i elektryzujące, że mimowolnie musiał wspomnieć pocałunki z *Trzech tygodni w helikopterze*. Ooch! ooch! stereoskopowej blondynki i aach! Murzyna bardziej niż realnego. Straszne, straszne, straszne.., usiłował się wyrwać, ale Lenina objęła go jeszcze mocniej.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? - szepnęła odchylając głowę, by nań spojrzeć. Jej oczy patrzyły z tkliwym wyrzutem.

„Choć pokój mroczny, okazja jedyna (poetycko rozbrzmiewał w nim głos sumienia), chociaż zły duch kusi, nigdy mój honor rozpustą, się nie splami. Nigdy, nigdy!”, postanowił.

- Ty głuptasie - mówiła. - Tak cię pragnęłam. A ty skoro też mnie pragnąłeś, dlaczego nie...?

- Ależ, Lenino - zaczął protestować, a gdy ona natychmiast rozplotła ręce odstąpiwszy od niego, pomyślał, że zrozumiała to, czego on jeszcze nie zdążył wyrzec. Gdy jednak odpięła swój biały patentowany pas myśliwski i powiesiła go starannie na poręczy fotela, zaczął podejrzewać, że się omylił.

- Lenino! - powtórzył z przerażeniem.

Sięgnęła dłonią do szyi .i wykonała długi ruch ku dołowi; biała bluza marynarska rozpruła się aż po sam skraj; podejrzenie zestaliło się w twardą, twardą pewność.

- Lenino, co ty robisz?

Zip, zip! Bezsłowna odpowiedź. Zdjęła obszyte u spodu dzwoneczkami spodnie. Jej dessous było bladoróżowe. Złote T, podarunek archiśpiewaka wspólnotowego, lśniło na jej piersi.

„Te mlecznobiałe grona, co zza okna krat wyjrzały ku światu...” Śpiewne, dźwięczące, czarodziejskie słowa czyniły ją w dwojnasób niebezpieczną, kuszącą. Ciche, łagodne, ale jakże przeszywające! Wdzierają się, wczepiają w umysł, drążą tunele w postanowieniu.

„Najmocniejsze śluby najchętniej trawi pożar krwi. Bądź bardziej przytomny, bo inaczej...”

Zip! Krągła różowość rozdwoiła się jak rozcięte jabłko. Jeden ruch ramion, unie sienie najpierw prawej, potem lewej nogi: i oto dessous leży na podłodze, martwe i jakby przywiędłe.

Ciągle jeszcze w butach, pończoszkach i okrągłej białej czapce zawadiacko nałożonej ruszyła ku niemu.

- Kochanie! Kochanie! Gdybyś był tylko powiedział! - Wyciągnęła ramiona.

A Dzikus zamiast też powiedzieć „kochanie” i wyciągnąć swoje ramiona, cofnął się przerażony, machając na nią rękami, jak gdyby usiłował odpędzić jakieś napastujące go niebezpieczne zwierzę. Cztery kroki w tył i natrafił na ścianę.

- Słodki! - powiedziała Lenina i ogarnąwszy go ramionami przywarła do jego ciała. - Obejmij mnie - poleciła. - Tul mnie z całej siły. - Ona też miała poezję do dyspozycji, znała śpiewne słowa, słowa-zaśpiewy, słowa jak odgłosy bębnów.

- Całuj mnie - zamknęła oczy, zniżyła głos do sennego mruczenia - całuj mnie aż po świtanie. Tul kochanku bez...

Dzikus chwycił ją za nadgarstki, oderwał jej ręce od swojego karku, odepchnął na odległość ramion.

- Au, boli, co ty... och! - Umilkła nagle. Przestrach kazał jej zapomnieć o bólu. Otwarłszy oczy ujrzała jego twarz... nie, nie j e g o twarz, lecz twarz dziką, obcą, bladą, wykrzywioną grymasem jakiejś obłąkanej, niepojętej furii.

- John, co się stało? - wyszeptała oszołomiona. Nie odpowiedział, wpatrywał się tylko w jej twarz tym swoim obłąkanym wzrokiem.

Ręce ściskające jej nadgarstki drżały. Oddychał głęboko i nierówno. Nagle dobiegł ją ledwo słyszalny, lecz przerażający odgłos zgrzytania zębami.

- Co się dzieje? - krzyknęła niemal.

Jakby przebudzony jej krzykiem chwycił ją za ramiona i zaczął nią potrząsać.

- Dziwka! - wołał - Dziwka! Bezwstydna ladacznica.

- Och, przestań, przestań - protestowała głosem groteskowo drżącym od tego potrząsania.

- Dziwka!

- Proszę.

- Przeklęta dziwka!

- Lepsza mikstura niż... - zaczęła.

Dzikus odepchnął ją z taką siłą, że zachwiała się i upadła.

- Precz! - wołał stojąc nad nią groźnie - precz z moich oczu albo cię zabiję. - Zacisnął pięści.

Lenina zakryła twarz ramieniem.

- Nie, John, proszę, przestań...

- Pospiesz się. Szybko!

Z ciągle uniesionym ramieniem, śledząc trwożnym wzrokiem każdy ruch Dzikusa, powstała z podłogi i, ciągle skulona, osłaniając głowę przemknęła do łazienki.

Jak wystrzał z pistoletu zabrzmiał solidny klaps, którym został przyspieszony jej odwrót.

- Au! - ciało Leniny pomknęło do przodu.

Bezpiecznie zamknięta w łazience, przystąpiła do oględzin swoich obrażeń. Stanąwszy tyłem do lustra, odwróciła głowę. Patrząc przez lewe ramię dostrzegła na perłowym ciele wyrazisty, czerwony ślad otwartej dłoni. Dotknęła ostrożnie bolącego miejsca.

W pokoju Dzikus chodził tam i z powrotem, chodził, chodził, w rytm muzyki czarodziejskich słów.

„Robi to strzyżyk, a mała złota muszka także na mój rozum się łajdaczy. Żadna łasica, żadna wypasiona klacz nie pała większą żądzą. Od pasa w dół centaury, choć od góry kobiety. Do ramion córy bogów. Poniżej szatan rządzi. Piekło, ciemności, siarczana otchłań, ogień, smród, zniszczenie; tfu, tfu, tfu! Uncję piżma, dobry aptekarzu, bym sobie odświeżył wyobraźnię".

- John - rozległ się z łazienki cichy nieśmiały głos - John!

O ziele, coś tak piękne i tak wonne, że twój zapach o ból przyprawia zmysły. Czy ta najlepsza z ksiąg mogła zawierać słowo „dziwka"? Niebiosa wdychają twą woń...

Lecz zapach jej perfum jeszcze go otaczał, kurtka pobielała od pudru, który pokrywał jej aksamitne ciało. „Bezwstydna ladacznica, bezwstydna ladacznica, bezwstydna ladacznica". Nieodparty rytm rozbrzmiewał nieustannie. „Bezwstydna..."

- John, czy może... zechciałbyś podać mi ubranie...

Podniósł obszyte dzwoneczkami spodnie, bluzę, dessous.

- Otwórz! - rozkazał kopiąc w drzwi.

- Nie otworzę. - Głos był przestraszony, ale pełen determinacji.

- No to jak ci mam to podać?

- Przepchnij przez wentylator nad drzwiami.

Uczynił to i powrócił do niespokojnego przemierzania pokoju. „Brudna ladacznica, brudna ladacznica. Diabeł Lubieżności o tłustym brzuchu i kartoflanym palcu..."

- John!

Nie odpowiedział. „O tłustym brzuchu i kartoflanym palcu".

- John!

- O co chodzi? - odezwał się niechętnym tonem.

- Czy zechciałbyś może podać mi pas maltuzjański?

Lenina siedziała nadsłuchując kroków w pokoju, a nadsłuchując zastanawiała się, jak długo może on tak chodzić tam i z powrotem i czy ma czekać, aż on wyjdzie z mieszkania, czy może nie byłoby bezpieczniej pozwolić jego szaleństwu trochę się uspokoić, a potem otworzyć łazienkę i drapnąć.

Te pełne niepokoju dumania przerwało dzwonienie telefonu, które dobiegło z pokoju. Kroki umilkły. Usłyszała glos Dzikusa rozmawiającego z ciszą.

- Halo?

....

- Tak.

....

- Owszem, jestem, o ile to nie uzurpacja z mojej strony.

....

- Tak, przecież już powiedziałem. Mówi pan Dzikus.

....

- Co? Kto chory? Oczywiście że mnie interesuje.

....

- Ale czy to coś poważnego? Naprawdę jest z nią źle? Zaraz przyjdę...

....

- Nie u siebie? A dokąd ją zabrali?

....

- O Boże! Jaki tam jest adres?

....

- Park Lane trzy, tak? Trzy? Dziękuję.

Lenina dosłyszała jeszcze stuk odkładanej słuchawki, potem szybkie kroki. Trzasnęły drzwi. Cisza. Czy rzeczywiście wyszedł?

Z największą ostrożnością uchyliła drzwi o parę milimetrów; zerknęła przez szczelinę; pusty pokój dodał jej odwagi; otwarła drzwi nieco szerzej i wychyliła głowę; w końcu na palcach wśliznęła się do pokoju; przez parę sekund stała z mocno bijącym sercem, nasłuchując, nasłuchując; po chwili skoczyła do drzwi wejściowych, otwarła, wymknęła się, zatrzasnęła, pobiegła. Dopiero w sunącej w dół szybu windzie zaczęła czuć się bezpieczna.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Szpital Umierających przy Park Lane był sześćdziesięciopiętrowym wieżowcem obłożonym kaflami koloru pierwiosnków. Gdy Dzikus wysiadał z taksikoptera, wesoło ubarwiony powietrzny kondukt pogrzebowy poderwał się z dachu i pofrunął nad parkiem ku zachodowi, w stronę krematorium w Slough.

U wejścia do windy portier podał Dzikusowi odpowiednią informację, a ten pojechał w dół na oddział osiemdziesiąty pierwszy (galopującej starości, wyjaśnił portier), mieszczący się na piętrze siedemnastym.

Była to duża słoneczna sala, pomalowana na żółto; stało tam dwadzieścia łóżek, wszystkie zajęte. Linda umierała w towarzystwie - w towarzystwie i ze wszelkimi nowoczesnymi wygodami. Atmosferę ożywiały wesołe melodie syntetyczne. W nogach każdego łóżka, zwrócony ekranem do umierającego, stał odbiornik telewizyjny. Obraz sączył się bez przerwy, od rana do późnej nocy. Co kwadrans zmieniał się automatycznie aromat powietrza.

- Staramy się - objaśniła pielęgniarka, która przejęła u wejścia na oddział opiekę nad Dzikusem - staramy się tworzyć tu prawdziwie miłą atmosferę, coś pomiędzy hotelem pierwszej kategorii a czucioteatrem, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

- Gdzie ona jest? - zapytał Dzikus ignorując grzeczne objaśnienia.

Pielęgniarka była obrażona.

- Spieszy się panu - stwierdziła.

- Czy jest jakaś nadzieja?

- To znaczy... że nie umrze? - Skinął głową. - Nie, oczywiście, że nie. Dla osób tu przysyłanych nie... - urwała zdumiona wyrazem rozpaczy na jego bladej twarzy. - A o co chodzi? - spytała. Nie zdarzało jej się coś takiego u odwiedzających. (Nie było ich tu zresztą wielu: dlaczego miałoby być wielu?) - Czy dobrze się pan czuje?

Skinął głową.

- To jest moja matka - wyrzekł ledwo dosłyszalnie.

Pielęgniarka spojrzała zdumionym, przerażonym wzrokiem, potem szybko odwróciła spojrzenie. Od szyi po skronie była czerwona jak burak.

- Proszę mnie do niej zaprowadzić - rzekł Dzikus, usiłując nadać swojemu głosowi naturalne brzmienie.

Ciągle zaczerwieniona, poprowadziła go przez oddział. Twarze, jeszcze świeże i nie pomarszczone (bo starość galopowała tak szybko, że nie miała czasu zaatakować policzków -

tylko serce i mózg), odwracały się w ślad za nimi. Drogę Dzikusa znaczyły puste, obojętne spojrzenia drugiego dzieciństwa. Drżał patrząc na to wszystko.

Linda leżała pod ścianą, na końcu długiego rzędu łóżek. Wsparta wygodnie na poduszkach, oglądała półfinały mistrzostw Ameryki Południowej w tenisie na powierzchni riemannowskiej, które w ściszonej i pomniejszonej reprodukcji rozgrywały się na ekranie telewizora w nogach jej łóżka. Tam i sam po kwadracie oświetlonego szkła bezgłośnie przebiegały małe figurki, niczym ryby w akwarium - milczący, lecz pełni żywotności mieszkańcy innego świata.

Linda patrzyła z niewyraźnym, nie rozumiejącym uśmiechem. Jej blada, obrzmiała twarz nosiła wyraz tępego uszczęśliwienia. Od czasu do czasu powieki jej opadały i zdawała się drzemać. Potem z lekkim drgnięciem budziła się, by oglądać groteskowe akwarium mistrzostw tenisowych, słuchać supergłosowego Wurlitzeriany, wyśpiewującego: „Tul mnie miły z całej siły”, wdychać dobywające się z wentylatora nad jej głową ciepłe powiewy werbeny - budziła się do wszystkich tych rzeczy, ale raczej do snu, w którym wszystko to, przemienione i upiększone somą w jej krwi, składało się na cudowną całość, i uśmiechała się swym wynaturzonym, bladym uśmiechem infantylnego ukontentowania.

- No, ja muszę już iść - powiedziała pielęgniarka. - Zaraz nadejdzie grupa dzieci. Poza tym ten numer trzeci - wskazała miejsce na sali. - Lada chwila zejdzie. No, proszę się rozgościć. - Odeszła szybkim krokiem.

Dzikus usiadł obok łóżka.

- Linda - szepnął ujmując jej dłoń.

Na dźwięk swojego imienia odwróciła głowę. Zamglony wzrok zajaśniał rozpoznaniem. Ścisnęła jego rękę, uśmiechnęła się, wargi drgnęły; potem nagle głowa opadła. Spała. Siedział patrząc na nią, szukał w tym steranym ciele, szukał - i dopatrywał się - tamtej młodej twarzy, co pochylała się nad jego dzieciństwem w Malpais, wspomniał zamknąwszy oczy jej głos, jej ruchy, wszystkie zdarzenia ich wspólnego życia. „Ten kto bakterie tępić chce, czystą ma wannę i wc”. Jak ona pięknie śpiewała! I te dziecięce wierszyki, jakże czarodziejsko dziwne i tajemnicze!

A, B, C, witamina D:
Tłuszcz jest w wątrobie, tran wieloryb śle.

Poczuł gorące łzy wzbierające pod powiekami, gdy wspomniał te słowa i wyśpiewujący je głos Lindy. I lekcje czytania; Ala ma kota, to kot, a to Ala; i *Wskazówki*

praktyczne dla bet zatrudnionych w składach embrionów. I długie wieczory przy ogniu lub latem na tarasie małego domku, gdy opowiadała mu o Tamtym Świecie spoza rezerwatu: o owym pięknym, pięknym Tamtym Świecie, którego wspomnienie, wspomnienie niebios, raju dobra i piękna, ciągle przechowywał nietknięte, nie skażone przez kontakt z realnością tego oto realnego Londynu, tych rzeczywistych cywilizowanych mężczyzn i kobiet.

Nagły jazgot piskliwych głosików kazał mu otworzyć oczy; otarłszy szybko łzy, rozejrzał się wokoło. Bezkresny, zdawało się, strumień identycznych ośmioletnich chłopców wlewał się do sali. Bliźniacy, jeden za drugim, jeden za drugim - koszmar. Twarze, jedna powielona twarz - bo była tylko jedna wśród tego mnóstwa postaci - patrzyła gapiowato, niemal całą wypełniały nozdrza i wodniste wybałuszone oczy. Ubrania mieli koloru khaki. Wszystkie usta półotwarte. Wchodzili piszcząc i gadając. Zdawało się, że salę oblazły robaki. Rozproszyły się między łóżkami, wyłaziły na nie, wpełzały pod nie, zaglądały do skrzynek odbiorników telewizyjnych, wykrzywiały się do pacjentów.

Linda zdziwiła ich i przestraszyła. Chłopcy zbili się w gromadkę w nogach jej łóżka, patrząc z wylękłą, tępą ciekawością zwierząt zaskoczonych nagle przez coś im nie znanego.

- O, patrzcie, patrzcie! - mówili do siebie cichymi, przestraszonymi głosami. - Co jej jest? Czemu taka tłusta?

Nigdy dotąd nie widzieli tego rodzaju twarzy - nigdy nie widzieli twarzy, która nie byłaby młoda i jędrna, ciała, które by straciło szczupłość i prostą sylwetkę. Wszystkie inne umierające - kobiety sześćdziesięcioletnie - wyglądały jak dziewczątka. Linda, w wieku czterdziestu czterech lat, była przy nich niczym potwór, obraz starości w stanie rozkładu.

- Okropna, nie? - szeptali chłopcy. - Popatrz, jakie ma zęby!

Spod łóżka, między krzesłem Johna a ścianą, wychynęła nagle małpia twarz chłopca i zaczęła się wpatrywać w uśpioną twarz Lindy.

- Ale... - odezwał się, lecz rozpoczęte zdanie przerodziło się we wrzask. Dzikus chwycił go bowiem za kołnierz, uniósł wysoko nad krzesło i dawszy zdrowo w ucho, wyjącego odrzucił od łóżka.

Wrzaski sprawiły, że na ratunek przybiegła główna pielęgniarka.

- Co pan mu zrobił? - zawołała ze złością. - Nie wolno panu bić dzieci.

- To niech się trzymają z dala od tego łóżka. - Głos Dzikusa drżał z oburzenia. - Co tu w ogóle robią ci brudni gówniarze? To wstrętne!

- Wstrętne? Ale o cóż panu chodzi? Warunkowanie tanatyczne. I ostrzegam pana - mówiła dalej głosem pełnym wściekłości - jeśli będzie pan przeszkadzał w warunkowaniu, to zawołam portierów i wyrzucą pana.

Dzikus wstał i zrobił kilka kroków w jej stronę. Jego ruchy, a także wyraz twarzy były tak groźne, że pielęgniarka cofnęła się w popłochu. Z najwyższym wysiłkiem się opanował i odwróciwszy się w milczeniu, usiadł przy łóżku.

Nieco uspokojonym, choć pełnym godności, a zarazem nieco niepewnym i nieufnym tonem powiedziała:

- Ja ostrzegałam. Więc niech pan uważa.

Zabrała jednak dwóch szczególnie ciekawskich i poleciła im przyłączyć się do gry w łapaj-zatrzask, którą jeden z jej kolegów prowadził na drugim końcu sali.

- To leć teraz, kochanie, na szklankę roztworu kofeiny - zwróciła się do drugiej pielęgniarki. Użycie kierowniczego autorytetu podbudowało jej samopoczucie i wiarę w siebie.

- No, dzieci, dalejże! - zawołała.

Linda poruszyła się niespokojnie, otwarła na chwilę oczy, rozejrzała się wokoło niezbyt przytomnym wzrokiem, a potem znowu zapadła w sen. Siedząc obok niej Dzikus starał się z wysiłkiem odzyskać nastrój sprzed paru minut. „A, B, C, witamina D", powtórzył w myśli, tak jakby te słowa były zaklęciem zdolnym przywrócić do życia martwą przeszłość. Jednakże zaklęcie nie działało. Piękne wspomnienia uparcie odmawiały powrotu; jedynym co odrażająco zmartwychwstawało, była zazdrość, brzydota i ubóstwo. Popě i krew spływająca z jego skaleczonego ramienia; Linda śpiąca w sposób budzący odrazę, muchy bzyczące wokół meskalu rozlanego na podłodze obok łóżka; chłopcy wykrzykujący przezwiska, gdy szła przez wieś... Och nie, nie! Zamknął oczy, potrząsnął głową, by odpędzić te wspomnienia. „A, B, C, witamina D..." Usiłował pomyśleć o czasach, gdy siedział jeszcze u niej na kolanach, a ona obejmowała go ramionami i śpiewała mu, długo, kołysząc go do snu. „A, B, C, witamina D, witamina D, witamina D..."

Supergłosowy Wurlitzeriana przeszedł do łkającego crescenda; nagle werbena ustąpiła, dając w systemie cyrkulacji zapachów miejsce silnej woni paczuli. Linda poruszyła się, przebudziła, przez parę sekund spoglądała ze zdziwieniem na półfinały, a potem, uniósłszy twarz i wykonawszy jeden czy dwa wdechy nowego aromatu, uśmiechnęła się nagle - uśmiechem dziecinnego zachwytu.

- Popě - zamruczała i zamknęła oczy. - Och, jak ja to lubię, jak ja... - Westchnęła i na powrót zatonęła w poduszkach.

- Linda! przemówił błagalnym tonem Dzikus. - Nie poznajesz mnie! - Tak bardzo się starał, ze wszystkich sil; dlaczego ona sama nie pozwała mu zapomnieć? Ścisnął jej bezwładną dłoń z całej siły, jak gdyby chciał ją zmusić do powrotu z tego snu o niegodnych

przyjemnościach, z tych niskich i wstrętnych wspomnień - do powrotu w teraźniejszość, w rzeczywistość; teraźniejszość przerażającą, realność straszną - ale przecież doniosłą, znaczącą, szalenie ważną właśnie z racji bliskości tego, co czyni ją tak zatrważającą.

- Linda, nie poznajesz mnie?

Poczuł w odpowiedzi słaby uścisk dłoni. Łzy stanęły mu w oczach. Pochylił się i pocałował ją.

Jej wargi rozchyliły się.

- Popě! - szepnęła znowu, i było to, jakby ktoś rzucił mu w twarz bryłą gnoju.

Nagle poczuł w sobie przypływ gniewu. Po raz drugi zahamowana namiętność jego smutku znalazła sobie inne Ujście: przerodziła się w namiętność szalonej wściekłości.

- Ależ ja jestem John! - krzyczał. - Jestem John! - I w obłędzie rozpaczy chwycił ją za ramiona i trząsł jej ciałem.

Oczy Lindy otwarły się; widziała go, rozpoznawała – „John!" - ale rzeczywistą twarz, rzeczywiste gwałtowne ręce umiejscawiała w świecie swej wyobraźni, pośród własnych, osobistych skojarzeń z wonią paczuli i super-Wurlitzerem, pośród odmienionych wspomnień i osobliwie przekształconych doznań składających się na wszechświat jej snu. Rozpoznawała Johna, swojego syna, ale był dla niej intruzem w rajskim Malpais, gdzie odbywała z Popě swą podróż somatyczną. Czuła złość, gdyż lubiła Popě, a John nią potrząsał, bo Popě leżał tu w łóżku - tak jakby było w tym coś złego, tak jakby wszyscy cywilizowani ludzie nie postępowali podobnie. „Każdy należy do każ..." Jej głos nagle osłabi do ledwo dosłyszalnego rzężenia; brakowało jej powietrza; usta otwarły się; uczyniła rozpaczliwy wysiłek, by napełnić płuca, ale wydawało się, że zapomniała nagle sztuki oddychania. Usiłowała krzyknąć - ale nie zdołała wydać z siebie głosu; tylko groza w otwartych szeroko oczach dawała znać o jej cierpieniu. Uniosła dłonie do gardła, potem zakrzywione palce zaczęły drapać powietrze - powietrze, którym nie potrafiła już oddychać, powietrze, które przestało dla niej istnieć.

Dzikus, zerwawszy się z krzesła, stał pochylony nad nią.

- Co z tobą, Linda? Co z tobą? - Jego głos brzmiał błagalnie; zdawał się prosić o uspokojenie jego przestrachu.

Spojrzenie, jakie nań skierowała, niosło w sobie bezgraniczną grozę - grozę i, jak mu się wydało, wyrzut. Usiłowała się unieść, lecz opadła bezsilnie na poduszki. Twarz miała straszliwie wykrzywioną, wargi sine.

Dzikus odwrócił się i popędził w głąb sali.

- Szybko, szybko! - wołał. - Szybko tutaj!

Stojąca w środku pierścienia bliźniąt grających w łapaj-zatrzask główna pielęgniarka obejrzała się. Początkowe zdziwienie niemal natychmiast przerodziło się w dezaprobatę.

- Proszę nie krzyczeć! Tu są dzieci - powiedziała marszcząc brwi. - Może pan rozwarunkować... Ależ co pan robi? - Dzikus przedzierał się przez pierścień. - Ostrożnie! - Jakiś chłopiec zapłakał.

- Szybko, szybko! - Złapał ją za rękaw, pociągnął za sobą. - Szybko! Coś się jej stało. Zabiłem ją. Gdy dotarli do łóżka Linda nie żyła.

Dzikus stał przez chwilę w milczeniu, skamieniały, potem upadł na kolana przed łóżkiem i zakrywszy twarz rękami wybuchnął niepowstrzymanym płaczem.

Pielęgniarka stała zdezorientowana, przenosząc wzrok z klęczącej przy łóżku postaci (skandaliczny występ!) na bliźniaków (biedne dzieci), którzy przerwali teraz zabawę i gapili się z przeciwległego końca sali, gapili się wszystkimi swymi oczyma i nozdrzami na szokującą scenę przy łóżku numer dwadzieścia. Czy powinna do niego przemówić? Spróbować przywołać go do porządku? Przypomnieć mu, gdzie się znajduje? I ile zła może wyrządzić tym biednym niewiniątkom? Psując swoim niesmacznym wrzaskiem całe ich uwarunkowanie tanatyczne - tak jakby śmierć była czymś strasznym, tak jakby był sens o kogokolwiek robić tyle szumu! To może zrodzić w nich jak najgorsze wyobrażenia o sprawie, może zwieść ich ku całkowicie niewłaściwym, w najwyższym stopniu antyspołecznym reakcjom.

Podeszła bliżej i dotknęła jego ramienia.

- Nie mógłby się pan opanować? - odezwała się cichym, gniewnym głosem. Obejrzawszy się jednak ujrzała, że z pół tuzina bliźniaków powstało z podłogi i zmierza ku niej przez salę. Krąg się rozsypywał. Za chwilę... Nie, ryzyko było zbyt wielkie; cała grupa Bokanowskiego może się cofnąć w warunkowaniu o sześć, siedem miesięcy. Pospieszyła ku swym zagrożonym podopiecznym.

- No, kto chce eklera czekoladowego? - zawołała wesołym tonem.

- Ja! - wrzasnęła chórem cała grupa Bokanowskiego. Łóżko numer dwadzieścia natychmiast poszło w zapomnienie.

- O Boże, Boże, Boże - powtarzał Dzikus. Wśród zamętu smutku i poczucia winy, które wypełniały jego umysł, przebijało się tylko to jedno artykułowane słowo. - Boże - szeptał. - Boże...

- Co on mówi? - gdzieś tuż obok rozległ się piskliwy głos, przebijający przez zaśpiewy super-Wurlitzera.

Dzikus drgnął gwałtownie i odsłaniając twarz obejrzał się. Pięciu bliźniaków koloru khaki, każdy z kawałkiem długiego eklera w prawej dłoni, z twarzami rozmaicie umazanymi czekoladą stało w rządku, gapiąc się nań małpim wzrokiem.

Pochwycili jego spojrzenie i uśmiechnęli się wszyscy jednocześnie. Jeden z nich wskazał końcem eklera:

- Ona jest nieżywa? - zapytał.

Dzikus przez chwilę patrzył na nich w milczeniu. Potem w milczeniu powstał z klęczek, w milczeniu ruszył powoli ku wyjściu.

- Ona jest nieżywa? - dopytywał się ciekawski bliźniak drepcząc u jego boku.

Dzikus spojrzał nań i, nadal bez słowa, odepchnął go od siebie. Bliźniak zaczął wyć. Dzikus nawet się nie obejrzał.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Obsługa Szpitala Umierających przy Park Lane składała się ze stu sześćdziesięciu dwu delt podzielonych na dwie grupy Bokanowskiego złożone odpowiednio z osiemdziesięciu czterech rudowłosych kobiet i siedemdziesięciu mężczyzn, długogłowych brunetów. O szóstej, po zakończeniu dnia pracy, obie grupy zbierały się w holu szpitala i otrzymywały z rąk dyżurnego podskarbnika swe racje somy.

Wyszedłszy z windy Dzikus dostał się w sam środek tego tłumu. Myśl jego zajęta była jednak czym innym - śmiercią, smutkiem, poczuciem winy; bezwiednie, me zdając sobie sprawy z tego, co robi, zaczął przepychać się przez tłum.

- Gdzie się pchasz? No co jest, uważaj no!

Głos wysoki i głos niski (tylko te dwa głosy z licznych gardeł) pisnął i zawarczał. Zwielokrotnione nieskończenie, niczym przez rząd luster, dwie twarze, jedna gładka, piegowata, krągła, w pomarańczowej aureoli włosów, druga pociągła, ptasiodzioba, pokryta dwudniowym zarostem, ze złością zwróciły się ku niemu. Do jego świadomości przedarły się ich słowa, za pośrednictwem zaś żeber ostre szturchnięcia łokciami. Raz jeszcze powrócił do rzeczywistości, rozejrzał się, uświadomił sobie, co widzi - uświadomił sobie ze zgrozą i wstrętem tę dokuczliwą zmorę jego dni i nocy, zmorę wpełzającej wszędzie nierozróżnialnej jednakowości. Bliźnięta, wszędzie bliźnięta... Niczym robactwo oblazły i skalały tajemnicę śmierci Lindy. Teraz znowu robactwo, tyle że większe, w pełni dorosłe, pełzło po jego smutku i skrusze. Przystanął i wzrokiem zdumionym i wstrząśniętym omiatał tłum barwy khaki, w którego środku się znalazł, wyższy od niego o głowę. „Jakże jest wiele dobrych stworzeń na świecie!" Melodyjne słowa drwiły zeń bezlitośnie. „Jaka piękna jest ludzkość! O nowy wspaniały świecie..."

- Rozdział somy! - zawołał donośny głos. - W kolejności proszę. Pospieszyć tam, pospieszyć!

Otwarły się drzwi, wniesiono do holu stół i krzesła. Głos należał do dorodnego alfy, który wkroczył niosąc czarną żelazną kasetę. Oczekujące bliźnięta wydały pomruk zadowolenia, zapominając natychmiast o Dzikusie. Ich uwagę przyciągała teraz czarna kaseta, którą młody człowiek umieścił na stole i zajmował się teraz otwieraniem jej. Wieko uniosło się.

- Oo-och! - jęknęła cała sto sześćdziesiątka dwójka niczym na pokazie ogni sztucznych.

Młody człowiek wyjął garść małych fiolek.

- Teraz proszę podchodzić - rzekł władczym tonem. - Po kolei. I bez tłoku.

Po kolei, bez tłoku bliźnięta podchodziły. Najpierw dwu mężczyzn, potem kobieta, potem mężczyzna, potem trzy kobiety, potem...

Dzikus stał i patrzył. „O nowy wspaniały świecie, o nowy wspaniały świecie...” Melodia tych słów zdawała się w jego umyśle zmieniać ton. Drwiły zeń pośród jego nędzy i żałości, drwiły zeń z jakże niesłychanym cynizmem! Chichocząc szatańsko, podkreślały odrażającą, budzącą mdłości brzydotę owej mary nocnej. I oto nagle odtrąbiły wezwanie do broni. „O nowy wspaniały świecie!” Miranda obwieszczała możliwość piękna, możliwość przemiany nawet mary nocnej w coś godnego i szlachetnego. „O nowy wspaniały świecie!” To było wyzwanie, rozkaz.

- Bez tłoku tam, co jest! - krzyknął ze złością dyżurny podskarbnik. Zatrzasnął wieko kasety. - Nie będę wydawał, dopóki nie będzie porządku.

Delty zamruczały, przez chwilę szturchały się trochę nawzajem, po czym nastał spokój. Groźba była skuteczna. Pozbawienie somy - strach pomyśleć!

- No, teraz to co innego - powiedział młody człowiek i otwarł kasetę.

Linda była niewolnicą, Linda umarła; pozostali powinni żyć w wolności, a świat winien stać się piękny. Zadośćuczynienie, obowiązek. I nagle Dzikus ujrzał jasno, co musi uczynić; było to jak otwarcie żaluzji, jak rozsunięcie kurtyny.

- Proszę podchodzić - polecił dyżurny podskarbnik.

Następna kobieta w stroju khaki podeszła.

- Stać! - zawołał Dzikus donośnym, dźwięcznym głosem. - Stać!

Przepchnął się do stołu; delty patrzyły na niego ze zdziwieniem.

- Fordzie! - szepnął dyżurny podskarbnik wstrzymując oddech. - To Dzikus. - Dyżurny przeląkł się.

- Posłuchajcie, zaklinam was - poważnym głosem zaczął Dzikus. - Użyczcie mi uwagi... - Nigdy przedtem nie przemawiał publicznie i czuł, jak trudno mu wyrazić to, co chciał powiedzieć. - Nie bierzcie tych strasznych pigułek. To trucizna! Trucizna!

- Panie... Dzikus - uśmiechając się pojednawczo zaczął dyżurny podskarbnik - czy zechciałby mi pan pozwolić...

- Trucizna dla duszy i ciała.

- Tak, tak, ale niech mi pan pozwoli dokończyć rozdziału, zgoda? No, bądź tak dobry. - Z ostrożną serdecznością, gestem pogromcy dzikiego zwierzęcia poklepał Dzikusa po ramieniu. - Chciałbym tylko...

- Nigdy! - wołał Dzikus.

- No słuchaj, mój stary...

- Wyrzućcie to wszystko, tę straszną truciznę.

Słowa: „Wyrzućcie to wszystko”, poprzez powłokę niezrozumienia przedarły się do świadomości delt. Tłum wydał gniewny pomruk.

- Przynoszę wam wolność - mówił Dzikus zwracając się ku bliźniętom. - Przynoszę...

Dyżurny podskarbnik nie słyszał już reszty; wymknąwszy się z holu wertował pospiesznie książkę telefoniczną.

- W mieszkaniu go nie ma - podsumował Bernard. - W moim też nie, u ciebie także nie. W „Aphroditaeum” nie, w Ośrodku ani w Instytucie też nie. Dokąd on mógł pójść?

Helmholtz wzruszył ramionami. Wrócili z pracy spodziewając się, że Dzikus będzie na nich czekał w tym lub innym spośród ich zwykłych miejsc spotkań, a tu po człowieku ani śladu. Co zresztą było dość denerwujące, bo mieli zamiar wpaść do Biarritz czteromiejscowym sportikopterem Helmholtza. Spóźnią się na kolację, jeśli Dzikus wkrótce nie nadejdzie.

- Poczekamy jeszcze pięć minut - oświadczył Helmholtz. - Jeśli się nie zjawi, to...

Przerwało mu dzwonienie telefonu. Podniósł słuchawkę.

- Halo! Tak, przy telefonie. - Potem, po dłuższej przerwie na słuchanie: - Forda mać! - zaklął. - Zaraz tam będę.

- Co jest? - zainteresował się Bernard.

- To facet ze szpitala przy Park Lane, mój znajomy - odparł Helmholtz. - Dzikus tam jest. Zdaje się, że zwariował. W każdym razie to pilne. Lecisz ze mną?

Popędzili razem do windy.

- A czyż wy chcecie być niewolnikami? - mówił właśnie Dzikus, gdy wchodzili do wnętrza szpitala. Twarz mu płonęła rumieńcem, oczy jarzyły się blaskiem zapału i oburzenia. - Czyż chcecie być dziećmi? Tak, dziećmi, które kwilą i rzygają - dodał zirytowany ich zwierzęcą tępotą, która zmuszała go do ciskania obelgami w tych, których przyszedł wyzwalać. Obelgi stukały głucho o grubą powłokę ich głupoty; patrzyli na niego z tępym wyrazem ponurej niechęci w oczach. „Tak, rzygają!”, wołał. Smutek i wyrzuty sumienia, współczucie i obowiązek - wszystko to poszło teraz w zapomnienie, zostało niejako wchłonięte przez ostrą, przemożną nienawiść do tych na wpół zwierzęcych potworów.

- Czyż nie chcecie być wolni, być ludźmi? Nie rozumiecie pewnie nawet, co znaczą słowa ludzkość i wolność? - gniew przydawał potoczystości jego wymowie; słowa płynęły łatwo, szybkim strumieniem.

- Nie rozumiecie? - powtórzył, alt nie otrzymał odpowiedzi. - Dobrze więc - ciągnął ponuro - ja was nauczę; uczynię was wolnymi, czy chcecie tego, czy nie. - I pchnąwszy okiennice okna wychodzącego na dziedziniec szpitala, zaczął garściami wyrzucać fiolki somy.

Przez chwilę tłum khaki milczał skamieniały, ze zdumieniem i grozą patrząc na tak ohydne świętokradztwo.

- On zwariował - szepnął Bernard zapatrzony szeroko otwartymi oczyma. - Zabiją go. Za... - Wielki krzyk podniósł się nagle z tłumu; zamachały w stronę Dzikusa groźnie zaciśnięte pięści. - Pomóż mu, Fordzie! - rzekł Bernard i odwrócił wzrok.

- Ford pomaga tym, którzy sobie sami pomagają. - I ze śmiechem, i to śmiechem radosnym, Helmholtz przepchnął się przez tłum.

- Wolnymi, wolnymi! - krzyczał Dzikus i jedną ręką wyrzucał nadal somę, a drugą tłukł w nierozróżnialne gęby napastników. - Wolnymi! - i oto nagle Helmholtz był już u jego boku... zacny stary Helmholtz...! i też tłukł - ludźmi! - i też raz po raz sięgał garścią po fiolki. - Tak, ludźmi, ludźmi! - i już po truciźnie. Podniósł kasetę i ukazał im puste czarne wnętrze. - Jesteście wolni!

Delty zawyły w przypływie zdwojonej furii.

- To koniec z nami - szepnął Bernard plącząc się po obrzeżu pola walki, po czym pod wpływem nagłego impulsu rzucił się im pomagać, potem jednak zreflektował się i zatrzymał; zawstydzony ruszył znowu; potem znowu stop i stal tak upokorzony swoim niezdecydowaniem - jeśli im nie pomoże, to oni mogą zginąć, jeśli im pomoże, to zginie on - gdy, Fordowi dzięki! na salę (wyłupiaste oczy i świńskie ryje gazowych masek) wpadła policja.

Bernard popędził na spotkanie. Machał rękami; nareszcie działał, nareszcie coś robił. Krzycząc raz po raz „na pomoc!", coraz głośniej, tak aby przekonać samego siebie, że pomaga.

- Na pomoc! Na pomoc! NA POMOC!

Policjanci odepchnęli go z drogi biegnąc do swojej roboty. Trzej z nich z przypiętych do pleców rozpylaczy strzelało w powietrze gęstymi obłokami pary somatycznej. Dwóch innych instalowało przenośną szafę grającą muzyki syntetycznej. Czterech pozostałych

wdarło się w tłum i plując płynem z luf pistoletów wodnych nabitych chloroformem, kładło jednego po drugim co bardziej krewkich walczących.

- Szybko, szybko! - darł się Bernard. - Zabiją ich, jeśli się nie pospieszycie. Zab... och! - Zirytowany jego paplaniną, jeden z policjantów poczęstował go nabojem z pistoletu wodnego. Przez jedną lub dwie sekundy Bernard stal chwiejąc się niepewnie na nogach, które jakby nagle utraciły kości, ścięgna i mięśnie, stając się słupami zwykłej galarety, a potem już nawet nie galarety: wody, I osunął się bezwiednie na podłogę.

Nagle z syntetycznej szafy grającej przemówił Glos. Glos Rozsądku, Głos Dobrego Samopoczucia. Rolka ścieżki dźwiękowej rozwijała się odtwarzając Syntetyczną Mowę Antyrozruchową Numer Dwa (Średnia Siła Oddziaływania). Z samej głębi nie istniejącego serca Głos wyrzekł: „Przyjaciele, przyjaciele! - tonem tak podniosłym, pełnym tak niezmiernie czułego wyrzutu, że nawet oczy policjantów ukryte za gazmaskami zaszkliły się na moment - po co to wszystko? Czyż nie czujecie się dobrze i szczęśliwie we wspólnocie? Dobrze i szczęśliwie - powtórzył Głos. - Zaprzestańcie, zaprzestańcie już. - Zadrżał, opadł do szeptu i na chwilę ucichł. Potem zaczął znowu, tonem tęsknej powagi: - Och, jakże pragnę, byście byli szczęśliwi. Jakże pragnę byście byli dobrzy! Zaklinam, zaklinam, bądźcie dobrzy i..."

Po dwóch minutach Głos i opary somy odniosły skutek. Płacząc delty ściskały się i całowały - półtuzinowe grupki obejmujących się bliźniąt. Nawet Helmholtz i Dzikus byli bliscy łez. Z kasy przyniesiono nowy przydział fiolek; szybko odbył się nowy rozdział i przy akompaniamencie nabrzmiałego uczuciem barytonu Głosu ślącego pożegnania bliźnięta rozeszły się szlochając rozdzierająco. „Zegnajcie, moi najdroższi przyjaciele, najdroższi przyjaciele, niech was Ford ma w swej opiece! Żegnajcie, moi najdrożsi, najdrożsi przy jacie-je, niech was Ford ma w swej opiece. Żegnajcie, moi najdrożsi..."

Gdy zniknęła ostatnia delta, policjant wyłączył szafę. Anielski Głos umilkł.

- Pójdziecie bez oporu - zapytał sierżant - czy będziemy musieli... - ukazał ostrzegawczo pistolet wodny.

- O tak, bez oporu - odrzekł Dzikus, dotykając a to rozciętej wargi, a to podrapanej szyi, a to ukąszenia lewej dłoni.

Także Helmholtz, ciągle jeszcze z chusteczką u krwawiącego nosa, kiwnął głową na potwierdzenie.

Przebudziwszy się i odzyskawszy władzę w nogach, Bernard zdecydował się w tym właśnie momencie ulotnić i możliwie najdyskretniej zaczął przemykać ku drzwiom.

- Hej, ty tam - zawołał sierżant, a policjant o świńskim ryju gazmaski pospieszył przez salę i położył rękę na ramieniu Bernarda.

Ten odwrócił się z wyrazem obrażonej niewinności. Ucieka? Nawet mu to nie przyszło do głowy.

- Ale doprawdy nie rozumiem - powiedział do sierżanta - na co ja jestem wam potrzebny.

- Ty jesteś przyjacielem zatrzymanych, tak?

- No... - zaczął Bernard i zawahał się. Cóż, nie sposób temu zaprzeczyć. - No... jestem... i co z tego?

- To pójdziesz z nami - polecił sierżant i ruszył przodem, prowadząc grupę do drzwi, a potem w stronę auta policyjnego, które czekało na zewnątrz.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Pokój, do którego ich wprowadzono, był gabinetem zarządcy.

- Jego Fordowska Wysokość zaraz nadejdzie - lokaj gamma pozostawił ich samych.

Helmholtz roześmiał się głośno.

- Wygląda to bardziej na kofeina-party niż na sąd - powiedział i zagłębił się w najbardziej zbytkowny z miękkich foteli. - No, trzymaj się, Bernard - dodał rzuciwszy okiem na pozieleniałą, nieszczęśliwą twarz przyjaciela. Jednakże Bernard nie chciał się trzymać; bez słowa odpowiedzi, nawet nie spojrzawszy na Helmholtza usiadł na najbardziej niewygodnym krześle, wybranym rozmyślnie w nieokreślonej nadziei przebłagania jakoś gniewu sił wyższych.

Tymczasem Dzikus obchodził niespokojnie pomieszczenie, z niedbałym zainteresowaniem przypatrując się książkom stojącym na półkach, rolkom ścieżki dźwiękowej i szpulom czytatorów zgromadzonych w ponumerowanych gablotach. Na stole pod oknem leżał opasły tom oprawny w miękką, czarną imitację skóry i ozdobiony ogromnymi złotymi T. Wziął księgę i otworzył. MOJE ŻYCIE I DZIEŁO, przez PANA NASZEGO FORDA. Wydało ją w Detroit Towarzystwo Krzewienia Wiedzy Fordowskiej. Kartkował niespiesznie tom, tu przeczytał zdanie, ówdzie akapit i właśnie dochodził do wniosku, że księga go nie interesuje, gdy drzwi się otwarły i rezydujący zarządca na Europę Zachodnią wszedł żwawym krokiem do pokoju.

Mustafa Mond uścisnął dłoń wszystkim trzem, lecz odezwał się tylko do Dzikusa.

- A więc nie podoba się panu zbytnio cywilizacja? - rzekł.

Dzikus spojrzał na niego. Uprzednio zdecydowany był kłamać, awanturować się, pozostać obojętnym, lecz zachęcony pogodnym, inteligentnym wyrazem twarzy zarządcy, postanowił mówić prawdę, wprost i bez ogródek.

- Nie - potrząsnął głową.

Bernard drgnął i spojrzał z przerażeniem. Co sobie pomyśli zarządca? Być uznanym za przyjaciela człowieka, który stwierdza, że nie lubi cywilizacji, stwierdza otwarcie, i to do zarządcy - to wprost straszne.

- Ależ John... - zaczął. Spojrzenie Mustafy Monda sprawiło, że zamilkł upokorzony.

- Oczywiście - przyznał Dzikus - jest parę miłych rzeczy. Ta cała muzyka w powietrzu...

- Niekiedy tysiąc dźwięcznych strun mi w uszach brzmi, niekiedy głosy.

Twarz Dzikusa pojaśniała od nagłej radości.

- Czytał pan to? - zapytał. - Myślałem, że tu w Anglii nikt nie zna tej książki.

- Prawie nikt. Jestem jednym spośród bardzo nielicznych. Rozumie pan, to jest zakazane. Ponieważ jednak ja tutaj ustanawiam prawa, więc i ja mogę je łamać. Bezkarnie, panie Marks - dodał, zwracając się do Bernarda. - Czego pan, obawiam się, nie może czynić.

Bernard jeszcze głębiej zapadł w otchłań swej nędzy.

- Ale dlaczego to jest zakazane? - zapytał Dzikus. Podekscytowany spotkaniem człowieka, który czytał Szekspira, natychmiast zapomniał o wszystkim innym.

Zarządca wzruszył ramionami.

- Bo jest stare, to zasadniczy powód. Rzeczy stare nam tu niepotrzebne.

- Nawet gdy są piękne?

- Zwłaszcza wtedy, gdy są piękne. Piękno wabi, a my nie chcemy, żeby ludzi wabiły rzeczy stare. Chcemy, żeby lubili tylko to, co nowe.

- Ale to nowe jest takie głupie i okropne. Te sztuki, w których nic tylko helikoptery latają tam i nazad i czuje się pocałunki aktorów. - Skrzywił się. - Kozły i małpy! - Tylko w słowach Otella znajdował należyty wyraz dla swej pogardy i nienawiści.

- Miłe, oswojone zwierzątka, bądź co bądź - mruknął zarządca.

- Dlaczego nie oglądają *Otella* zamiast tamtego świństwa?

- Powiedziałem już panu; jest stary. A poza tym nie zrozumieliby.

Tak, istotnie. Wspomniał śmiech Helmholtza nad *Romeem i Julią*.

- No więc - rzekł po chwili - coś nowego, co przypominałoby *Otella*, a co mogliby zrozumieć.

- Taką właśnie rzecz chcielibyśmy wszyscy napisać - odezwał się Helmholtz, przerywając długą chwilę milczenia.

- I nigdy jej nie napiszecie - stwierdził zarządca. - Jeśliby bowiem naprawdę przypominała *Otella*, nikt by jej nie zrozumiał, choćby była nie wiedzieć jak nowa. A gdyby była nowa, nie mogłaby zapewne przypominać *Otella*.

- Dlaczego nie?

- Właśnie, dlaczego nie? - powtórzył Helmholtz.

On też zapomniał o niemiłych okolicznościach tego spotkania. Tylko pozieleniały z lęku i trwogi Bernard pamiętał; tamci jednakże nie zwracali nań uwagi.

- Dlaczego nie?

- Bo nasz świat jest inny niż świat Otella. Nie można produkować aut nie mając stali, nie można tworzyć tragedii bez społecznej niestabilności. A dziś świat jest stabilny. Ludzie są szczęśliwi; otrzymują wszystko, czego zapragną, a nigdy nie pragną czegoś, czego nie mogą

otrzymać. Są zamożni, bezpieczni, zawsze zdrowi; nie boją się śmierci; żyją w stanie błogiej niewiedzy o namiętnościach i starości; nie prześladują ich matki i ojcowie; nie mają żon, dzieci, kochanków ani kochanek, budzących silne uczucia; są tak uwarunkowani, że praktycznie nie są w stanie postępować inaczej, niż powinni. A jeśli coś nie gra, pozostaje soma, którą pan, panie Dzikus, wyrzuca przez okno w imię wolności. Wolności! Roześmiał się. - Oczekiwać od delt rozumienia, co to jest wolność! A potem, żeby rozumiały *Otella*! O mój poczciwy chłopcze!

Dzikus milczał przez chwilę.

- Mimo wszystko - powtórzył z uporem - *Otello* jest dobry, jest lepszy niż te czuciofilmy.

- Oczywiście, że tak - przystał zarządca. - Ale to właśnie cena, jaką musimy płacić za stabilność. Trzeba było wybierać między szczęśliwością a tym, co zwane jest sztuką przez duże er. Poświęciliśmy sztukę. Mamy w zamian czuciofilmy i organy węchowe.

- Ale one nic nie znaczą!

- Znaczą same w sobie; znaczą obfitość miłych doznań u publiczności.

- Ależ... to tworzy jakiś idiota.

Zarządca roześmiał się.

- Nie jest pan zbyt uprzejmy dla swego przyjaciela, pana Watsona. To jeden z naszych najlepszych inżynierów emocyjnych...

- On ma rację - rzekł ponuro Helmholtz. - To jest idiotyczne. Pisać, gdy nie ma nic do powiedzenia...

- Zgoda. Ale to właśnie wymaga maksymalnej pomysłowości. Produkujecie auta ze znikomej ilości stali, dzieła sztuki praktycznie z niczego, jedynie z czystych wrażeń.

Dzikus potrząsnął głową.

- To wszystko jest dla mnie wprost okropne.

- Bardzo możliwe. Faktyczna szczęśliwość zawsze wypada blado na tle spodziewanej nagrody za nędzę. No i rzecz jasna stabilność nie jest tak efektowna jak niestabilność. Zadowolenie zaś nie ma w sobie tej aureoli, jaka zdobi szlachetną walkę z nieszczęściem, nie ma malowniczości cechującej walkę z pokusą lub upadek z powodu namiętności lub zwątpienia. Szczęśliwość nigdy nie bywa wzniosła.

- Być może - przyznał Dzikus po chwili milczenia - ale czy musi być tak marna jak te wszystkie bliźnięta? - Przetarł dłonią oczy, jak gdyby chciał usunąć zapamiętany obraz tych długich szeregów identyków przy stołach montażowych, tych kolejek bliźniąt u wejścia na stację jednoszynówki w Brentford, tych ludzkich robaków pełzających wokół śmiertelnego

łoża Lindy, tej mnogości powtórzeń jednej i tej samej twarzy u jego napastników. Spojrzał na swą zabandażowaną lewą dłoń i zadrżał. - Okropne!

- Ale jakie użyteczne! Widzę, że nie przepada pan za grupami Bokanowskiego; zapewniam pana jednak, że stanowią one fundament, na którym wspiera się wszystko inne. Są żyroskopem, który nadaje stabilność rakiecie Republiki w jej równym locie. - Głęboki głos wibrował; gestykulujące dłonie zagarniały przestrzeń i wskazywały pęd niezwyciężonej maszyny; oracja Mustafy Monda sięgała poziomu standardów syntetycznych.

- Zastanawia mnie - rzekł Dzikus - po co wam oni, jeśli przyjąć, że możecie z tych waszych butli uzyskać wszystko, co wam się podoba. Dlaczego nie zrobicie każdego alfą-podwójnym-plusem?

Mustafa Mond roześmiał się.

- Bo nie chcemy, żeby nam popodrzynali gardła - odparł. - Wierzymy w szczęśliwość i stabilność. Społeczeństwo samych tylko alf nie uniknęłoby nędzy i niestabilności. Wyobraźmy sobie fabrykę obsadzoną przez alfy, to jest przez zróżnicowane, nie powiązane ze sobą jednostki o dobrej dziedziczności i tak uwarunkowane, by mogły (w pewnych granicach) dokonywać swobodnych wyborów i przyjmować na siebie odpowiedzialność. Wyobraźmy sobie tylko! - powtórzył.

Dzikus spróbował sobie wyobrazić, bez większego jednak efektu.

- To byłby absurd; człowiek wybutlowany i uwarunkowany jako alfa zwariowałby, gdyby mu przyszło wykonywać pracę epsilona półkretyna; zwariowałby albo by zaczął tłuc wszystko dokoła. Alfy można w pełni socjalizować, ale tylko pod Warunkiem, że da się im pracę alf. Tylko od epsilona można oczekiwać właściwego epsilonom poświęcenia, to zaś z tego prostego powodu, że dla niego nie są to poświęcenia, lecz działania po linii najmniejszego oporu. Warunkowanie wyznaczyło mu tor, po którym ma się poruszać. Inaczej nie potrafi; jego los jest z góry ustalony. Nawet po wybutlacji pozostaje niejako w butli - w niewidzialnej butli wpojonych mu w fazie embrionalnej i w dzieciństwie zachowań. Każdy z nas rzecz jasna - kontynuował zarządca w zamyśleniu - idzie przez życie w jakiejś butli. Jeśli jednak jesteśmy alfami, nasze butle są, relatywnie rzecz biorąc, ogromne. Bardzo byśmy cierpieli, gdyby nas przenieść do mniejszej przestrzeni. Nie można przelewać surogatu szampana kast wyższych do butli kast niższych. Teoretycznie jest to oczywiste. ale zostało potwierdzone także w praktyce. Eksperyment cypryjski rozwiał wszelkie wątpliwości.

- Co to było? - zapytał Dzikus.

Mustafa Mond uśmiechnął się.

- Cóż, można by to nazwać eksperymentem rebutlacji. Zaczął się on A.F. 473. Zarządcy oczyścili Cypr ze wszystkich mieszkańców i zasiedlili go specjalnie dobraną grupą dwudziestu dwu tysięcy alf. Dano im wszelkie wyposażenie rolnicze i przemysłowe i pozostawiono, by sobie radzili o własnych siłach. Wynik potwierdził wszelkie teoretyczne oczekiwania. Ziemia była źle uprawiana, we wszystkich fabrykach strajki, prawa lekceważono, poleceń nie wykonywano; wszyscy wyznaczeni do gorszych prac intrygowali w celu uzyskania lepszych stanowisk, a ci na lepszych stanowiskach również intrygowali, by utrzymać swoje pozycje. Po sześciu latach mieli już pierwszorzędną wojnę domową. Gdy dziewiętnaście tysięcy mieszkańców zginęło, pozostałe przy życiu trzy tysiące jednomyślnie uchwaliły petycję do zarządców świata z prośbą o ponowne objęcie przez nich wyspy. Co też uczyniono. Taki był koniec jedynej w świecie społeczności złożonej z samych alf.

Dzikus westchnął z głębi piersi.

- Populacyjne optimum - mówił Mustafa Mond - modelowane jest na proporcjach góry lodowej: osiem dziewiątych pod wodą, jedna dziewiąta ponad.

- A czy ci pod wodą są szczęśliwi?

- Bardziej niż ci znad powierzchni. Bardziej niż na przykład twoi tu obecni przyjaciele.

- Pomimo tej strasznej pracy?

- Strasznej? Oni tak nie sądzą. Przeciwnie, lubią ją. Jest łatwa, jest dziecinnie prosta. Nie wymaga wysiłku umysłu ani mięśni. Siedem i pół godziny lekkiej, niewyczerpującej pracy, potem racja somy, gry, seks bez ograniczeń i czuciofilmy. Czegóż jeszcze mogliby chcieć? No tak - przyznał - mogliby chcieć skrócenia czasu pracy. A my rzecz jasna moglibyśmy im to dać. Technicznie rzecz biorąc, nie ma żadnego problemu ze skróceniem ~godzin pracy kast niższych do trzech czy czterech godzin dziennie. Ale czy przez to staną się szczęśliwsi? Otóż nie. Ponad półtora wieku temu przeprowadzono odnośny eksperyment. W całej Irlandii wprowadzono czterogodzinny dzień pracy. Wynik? Niepokój i ogromny wzrost spożycia somy. Te trzy i pół godziny dodatkowego czasu wolnego tak dalece nie przyczyniały szczęśliwości, że ludzie czuli potrzebę ucieczki od nich. Urząd wynalazków jest zawalony projektami minimalizacji pracy. Są tego całe tysiące - Mustafa Mond wykonał wzgardliwy ruch dłonią. - A dlaczego ich nie wdrażamy? Dla dobra pracowników; byłoby okrucieństwem obarczać ich jeszcze większym czasem wolnym. Podobnie w rolnictwie. Moglibyśmy uzyskać syntetycznie dowolny produkt, gdybyśmy tylko zechcieli. Ale nie chcemy. Wolimy zatrudniać jedną trzecią populacji w rolnictwie. Dla ich własnego dobra, gdyż uzyskiwanie żywności z gleby pochłania więcej czasu niż produkowanie jej w fabryce.

A poza tym musimy myśleć o naszej stabilności. Nie potrzeba nam zmian. Każda zmiana zagraża stabilności. To dalszy powód, dla którego tak niechętnie ~wprowadzamy nowe wynalazki. Każde odkrycie w naukach teoretycznych jest potencjalnie wywrotowe; nawet naukę musimy niekiedy traktować jak ewentualnego wroga. Tak, nawet naukę.

Naukę? Dzikus zmarszczył brwi. Słowo było mu znane. Nie potrafiłby jednak powiedzieć, co ono dokładnie znaczy. Ani Szekspir, ani starcy z wioski nigdy nie używali tego słowa, od Lindy zaś uzyskał tylko niejasne wyobrażenia: nauka jest czymś, za pomocą czego robi się helikoptery, czymś, co każe się śmiać z tańców Święta Plonów, czymś, co chroni przed zmarszczkami i wypadaniem zębów. Z rozpaczliwym wysiłkiem usiłował zrozumieć słowa zarządcy.

- Tak - mówił Mustafa Mond - to dalszy koszt stabilności. Nie tylko sztuka jest nie do pogodzenia ze szczęśliwością. Nauka także. Nauka jest niebezpieczna; musimy jak najbardziej czujnie trzymać ją na łańcuchu i w kagańcu.

- Co? - zdumiał się Helmholtz. - Ależ my przecież na każdym kroku powtarzamy, że nauka jest wszystkim. To hipnopedyczny aksjomat.

- Trzy razy na tydzień w przedziale wieku trzynaście do siedemnastu - dodał Bernard.

- I cała propaganda nauki, jaką robimy w Instytucie...

- Zgoda, ale jaka nauka? - rzekł sarkastycznie Mustafa Mond. - Brak wam wykształcenia naukowego, więc nie możecie sądzić. A swego czasu byłem nie najgorszym Fizykiem. Na tyle dobrym, by uświadomić sobie, że cała ta nasza nauka to książka kucharska z pewną prawowierną teorią gotowania, której nikt nie może podważać, oraz z listą przepisów, których nie wolno stosować bez specjalnego pozwolenia szefa kuchni. Teraz ja jestem szefem kuchni. Ale kiedyś byłem ciekawskim młodym kuchcikiem. Zacząłem trochę gotować na własną rękę. Nieprawowiernie, wbrew zaleceniom. W gruncie rzeczy nieco prawdziwej nauki. - Umilkł.

- Jaki był skutek? - zapytał Helmholtz Watson.

Zarządca westchnął.

- Podobny jak ten, który czeka was, młodzi ludzie. Groziło mi zesłanie na wyspę.

Te słowa pobudziły Bernarda do gwałtownej, niebywałej aktywności.

- Zesłać mnie na wyspę? - Zerwał się, przebiegł przez pokój i stanął gestykulując przed zarządcą. - Nie może pan mnie zesłać. Ja nic nie zrobiłem. To oni. Przysięgam, że to oni - oskarżycielskim gestem wskazywał Helmholtza i Dzikusa. - Och, błagam, proszę mnie nie wysyłać do Islandii. Przyrzekam, że będę się sprawował właściwie. Niech mi pan da jeszcze jedną szansę. Błagam, niech mi pan da szansę. - Zalał się łzami. - Naprawdę, to

wszystko ich wina - szlochał. - Nie do Islandii. Błagam Jego Fordowską... - I nagle służalczo rzucił się na kolana przed zarządcą. Mustafa Mond usiłował go podnieść, lecz Bernard uparł się czołgać w prochu; niestrudzenie wyrzucał z siebie potok słów. W końcu zarządca zmuszony był zadzwonić na swego czwartego sekretarza.

- Sprowadź trzech ludzi - polecił - i zabierzcie pana Marksa do sypialni. Zróbcie mu dobrą waporyzację somatyczną, połóżcie go do łóżka i zostawcie.

Czwarty sekretarz wyszedł i powrócił w towarzystwie trzech lokajów w zielonych liberiach. Bernard, ciągle krzyczący i szlochający, został wyniesiony.

- Mógłby kto pomyśleć, że grozi mu ucięcie głowy - powiedział zarządca, gdy drzwi się zamknęły. - A gdyby miał choć odrobinę rozsądku, to by zrozumiał, że ta kara w gruncie rzeczy jest dla niego nagrodą. Wysyła się go na wyspę. A więc wysyła się go do miejsca, gdzie zetknie się z tak zwaną interesującą grupą mężczyzn i kobiet, jakiej nie spotka nigdzie indziej w świecie. Z ludźmi, którzy dla takich czy innych powodów mieli zbyt wielką świadomość swej indywidualności, by móc się dopasować do wspólnotowego życia. Z ludźmi, których nie zadowala prawowierność, którzy mają własne, niezależne idee. Z każdym, krótko mówiąc, kto jest kimś. Wręcz zazdroszczę panu, panie Watson.

Helmholtz roześmiał się.

- Dlaczego więc pan sam nie przebywa na wyspie?

- Bo ostatecznie wybrałem to tutaj - odparł zarządca. - Dano mi do wyboru: albo zesłanie na wyspę, gdzie mógłbym sobie uprawiać swoją naukę teoretyczną, albo udział w Radzie Zarządzania, z perspektywą objęcia faktycznego zarządzania w stosownym czasie. Wybrałem to drugie i zarzuciłem naukę. - Po chwili milczenia dodał: - Niekiedy żal mi nauki. Szczęśliwość to surowy nauczyciel, zwłaszcza szczęśliwość innych. Dużo bardziej surowy (jeśli nie jest się uwarunkowanym na bezdyskusyjną akceptację) niż prawda. - Westchnął, umilkł znowu, potem zaczął mówić żywszym już tonem: - Cóż, powinność jest powinnością. Nie można kierować się upodobaniami. Pragnę prawdy. Lubię naukę. Ale prawda jest groźna, a nauka stanowi zagrożenie publiczne. Równie niebezpieczna jak zbawienna. Dzięki niej mamy najbardziej stabilną równowagę w dziejach. Na przykład Chiny były w porównaniu z nami beznadziejnie niestabilne; nawet pierwotne matriarchaty nie przewyższały nas stabilnością. To wszystko mamy, powtarzam, dzięki nauce. Nie możemy jej jednak pozwolić, by popsuła własne dobre dzieło. Dlatego tak uważnie wyznaczamy granice badaniom, przez co zresztą omal nie zesłano mnie na wyspę. Pozwalamy nauce zajmować się tylko najbardziej aktualnymi problemami bieżącymi. Do wszystkich innych badań jak najusilniej zniechęcamy. Ciekawą rzeczą - mówił po krótkiej przerwie - jest lektura tego, co ludzie z czasów Pana

Naszego Forda pisali o postępie naukowym. Zdawali się sądzić, że będzie on posuwał się nieograniczenie, niezależnie od wszystkiego innego. Wiedza była dobrem najwyższym, prawda najwyższą wartością; cała reszta pełniła rolę wtórną i podrzędną. Co prawda już wtedy idee zaczynały ewoluować. Sam Pan Nasz Ford położył wielkie zasługi w zakresie przesuwania punktu ciężkości z prawdy i piękna na wygodę i szczęśliwość. Produkcja masowa tego wymagała. Powszechna szczęśliwość tego wymagała. Powszechna szczęśliwość utrzymuje turbiny w stałym ruchu; prawda i piękno nigdy. No i, rzecz jasna, gdy masy przejęły władzę, zaczęła się liczyć szczęśliwość, nie zaś prawda i piękno. Niemniej jednak nieograniczone badania naukowe nadal były dozwolone. Nadal mówiło się o prawdzie i pięknie jak o dobru najwyższym. Aż do wojny dziewięcioletniej. Dopiero to kazało zmienić ton. Cóż po prawdzie, pięknie czy wiedzy, gdy wokoło pękają bomby bakteriologiczne? Wtedy to po raz pierwszy zaczęto naukę kontrolować: po wojnie dziewięcioletniej. Ludzie w owym czasie gotowi byli poddawać kontroli nawet swój apetyt. Wszystko w imię spokojnego życia. Od tamtego czasu kontrolujemy nieustannie. Oczywiście prawdzie nie wyszło to na zdrowie. Ale szczęśliwości tak. Nie można mieć czegoś za nic. Trzeba było opłacić szczęśliwość. I pan, panie Watson, właśnie płaci za nią - płaci, bo zbyt pana pociąga piękno. Mnie. zbyt pociągała prawda; ja także zapłaciłem.

- Ale pan nie znalazł się na wyspie - rzekł Dzikus przerywając długą chwilę milczenia.

Zarządca uśmiechnął się.

- Zapłaciłem w inny sposób. Wybierając służbę na rzecz szczęśliwości. Cudzej, nie własnej. Dobrze się składa - dodał po chwili - że mamy na Ziemi tyle wysp. Nie wiem, co byśmy bez nich poczęli. Trzeba by was chyba upchać do komór gazowych. Przy okazji, panie Watson, czy lubi pan klimat tropikalny? Markizy na przykład? Samoa? A może coś bardziej rześkiego?

Helmholtz powstał z miękkiego fotela.

- Szczególnie lubię jak najgorszy klimat - odparł. - sądzę, że pisze się lepiej, gdy klimat jest zły. Może na przykład silne wiatry i burze...

Zarządca skinął głową z uznaniem.

- Podoba mi się pan, panie Watson. Naprawdę mi się pan podoba. Równie bardzo, jak bardzo potępiam pana z urzędu. - Uśmiechnął się. - Może Wyspy Falklandzkie.

- Tak, chyba będą w sam raz - rzekł Helmholtz. - A teraz, jeśli pan pozwoli, pójdę zobaczyć, jak się ma biedny Bernard.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Sztuka, nauka... wydaje się, że płacicie nader wysoką cenę za tę szczęśliwość - powiedział Dzikus, gdy zostali sami. - Jeszcze coś?

- No... oczywiście religia - odrzekł zarządca. - Przed wojną dziewięcioletnią był tak zwany Bóg. Ach, zapomniałem. Pan przecież wie wszystko o Bogu, nieprawdaż?

- No więc... - zaczął z wahaniem Dzikus. Chciał coś powiedzieć o samotności, o nocy, o płaskowyżu bielejącym w świetle księżyca, o przepaści, skoku w czarną otchłań, o śmierci. Chciał mówić - ale brakowało słów. Nawet tych Szekspira.

Tymczasem zarządca przeszedł na drugą stronę pokoju i otwierał wielki sejf wpuszczony w ścianę między półkami. Uchyliły się ciężkie drzwi.

- Jest to temat - rzekł sięgając do ciemnego wnętrza - który zawsze nadzwyczaj mnie interesował. - Wydobył gruby czarny tom. - Tego pewnie nigdy pan nie czytał.

Dzikus wziął księgę.

- *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu* - odczytał na głos ze strony tytułowej.

- Ani tego. - Mała książeczka pozbawiona okładki.

- O naśladowaniu Chrystusa.

- Ani tego - wyjął następny tom.

- Doświadczenia religijne. William James.

- A mam ich jeszcze wiele - powiedział Mustafa Mond wracając na fotel. - Całą kolekcję starożytnych nieprzyzwoitości. Bóg w mroku, Ford na widoku - wskazał ze śmiechem swą bibliotekę: półki pełne książek, rzędy szpul czytatorów i rolek ścieżki dźwiękowej.

- Ale skoro pan wie, czemu pan nie mówi ludziom o Bogu? - zawołał z oburzeniem Dzikus. - Dlaczego nie da im pan tych ksiąg?

- Z tego samego powodu, dla którego nie udostępniamy im *Otella*: są stare; mówią o Bogu sprzed wieków. Nie o Bogu dzisiejszym.

- Bóg się nie zmienia.

- Ale ludzie tak.

- Jakież to ma znaczenie?

- Największe - odpad Mustafa Mond. Ponownie wstał i skierował się do sejfu. - Był kiedyś człowiek, kardynał, nazwiskiem Newman - rzekł. - Kardynał - wyjaśnił mimochodem - to ktoś w rodzaju archiśpiewaka wspólnotowego.

- „Ja, Pandulf, kardynał Mediolanu". Czytałem o nich u Szekspira.

- Z pewnością. No więc, jak mówiłem, był kiedyś kardynał nazwiskiem Newman. O, jest ta książka. - Wyjął ją z sejfu. - Przy okazji wyjmę i tę drugą. Napisał ją niejaki Maine de Biran. Był filozofem, jeśli pan wie, kto to taki.

- Człowiek, któremu się nie śniło o wielu rzeczach, jakie są na niebie i ziemi - odparł natychmiast Dzikus.

- O właśnie. Przeczytam panu jedną z rzeczy, o których mu się w pewnym momencie śniło. Na razie jednak niech pan posłucha, co powiedział ów dawny archiśpiewak wspólnotowy. - Otworzył książkę w miejscu założonym skrawkiem papieru i zaczął czytać. – „Nie należymy do samych siebie, tak jak nie należą do nas posiadane rzeczy. Nie my siebie stworzyliśmy, nie możemy sobie samym przewodzić. Nie jesteśmy panami samych siebie. Stanowimy własność Boga. Czyż nie napełnia nas szczęśliwością taki obraz rzeczy? Czy przysparza szczęścia lub pociechy pogląd, że na1eżymy do siebie? Mogą tak sądzić ludzie młodzi lub ludzie kariery. Ci będą uznawać zapewne za rzecz nader istotną możliwość czynienia wszystkiego na własny rachunek, niezależność od kogokolwiek, możliwość niemyślenia o niczym, co poza zasięgiem wzroku, wolność od konieczności nieustannego zabiegania o akceptację, nieustannego modlenia się do kogoś, ciągłego uzależniania własnych poczynań od cudzej woli. Jednakże w miarę upływu czasu także i oni, jak wszyscy ludzie, przekonają się, że niezależność nie jest udziałem człowieka - że jest stanem nienaturalnym - może występować przez czas pewien, ale do kresu bezpiecznie nas nie doprowadzi...” - Mustafa Mond przerwał, odłożył pierwszą z książek i biorąc w dłoń drugą, kartkował stronice. - Proszę posłuchać na przykład tego - rzekł i raz jeszcze zaczął czytać swym głębokim głosem: - „Człowiek się starzeje; odczuwa w sobie owe doznania słabości, apatii, niewygody, jakie towarzyszą posuwaniu się w latach; czując zaś to wszystko, sądzi, że jest po prostu chory, i tłumi lęk przekonaniem, że ten przykry stan zrodziła jakaś szczególna przyczyna, z której, jak z choroby, ma nadzieję się wyleczyć. Daremne złudzenia! Ta choroba to starość; a jest to choroba straszna. Mówi się, że to lęk przed śmiercią i tym, co po niej nadejdzie, zwraca starzejących się ludzi ku religii. Jednakże na podstawie moich własnych doświadczeń nabrałem przekonania, że niezależnie od wszystkich takich lęków i wyobrażeń uczucia natury religijnej rozwijają się w nas z wiekiem same w sobie; rozwijają się, gdyż w chwili kiedy słabną namiętności, fantazja zaś i zmysły mniej są pobudzane i mniej skłonne do pobudzeń, umysł nasz napotyka w swej pracy mniej przeszkód, w mniejszym stopniu zamącają go obrazy, pragnienia i rozrywki, które dawniej go wciągały. I wówczas Bóg wynurza się niczym spoza chmury; dusza nasza czuje, widzi, zwraca się ku źródłu wszelkiego światła; zwraca się w sposób naturalny i nieuchronny. Teraz bowiem, gdy wszystko to, co

światu wrażeń przydawało życia i uroku, zaczyna nas opuszczać, gdy egzystencji zjawisk nie podtrzymują już wrażenia z zewnątrz lub z wewnątrz, odczuwamy potrzebę wsparcia na czymś trwałym, na czymś, co nas nigdy nie zwiedzie - na rzeczywistości, prawdzie absolutnej i wiecznej. Tak, nieuchronnie zwracamy się ku Bogu; to bowiem uczucie religijne jest ze swej natury tak czyste, tak miłe dla doświadczającej go duszy, że wynagradza nam wszystkie inne straty". - Mustafa Mond zamknął książkę i odchylił się do tyłu w fotelu. - Jedną z licznych rzeczy na niebie i ziemi, o których się filozofom nie śniło, jest to - zatoczył krąg dłonią - my, nowoczesny świat. Można być niezależnym od Boga tylko w młodości i powodzeniu; niezależność bezpiecznie do kresu nie doprowadzi. A my tu mamy młodość i powodzenie aż do kresu. I co stąd wynika? Ano to, że możemy być niezależni od Boga. Uczucie religijne wynagrodzi nam wszystkie inne straty. Ale przecież u nas nie ma żadnych strat, które wymagałyby wynagrodzenia; uczucia religijne są zbędne. Po co mielibyśmy uganiać za namiastką młodzieńczych pragnień, skoro młodzieńcze pragnienia wcale nie wygasają? Za namiastką rozrywek, skoro aż do samego końca bawią nas wszystkie młodzieńcze głupstwa? Po co nam wypoczynek, gdy nasze ciała i umysły cieszą się nieustającą sprawnością? Na co nam pociecha, skoro mamy somę? Coś trwałego, skoro mamy porządek społeczny?

- Sądzi pan więc, że Boga nie ma?

- Nie, sądzę, że prawdopodobnie jest.

- Więc czemu...?

Mustafa Mond przerwał mu w pół zdania.

- On się różnym ludziom różnie przejawia. W czasach prenowożytnych przejawiał się jako byt opisany w tych tu książkach. Dziś...

- Jak się dziś przejawia? - zapytał Dzikus.

- No więc... dziś przejawia się jako nieobecność; tak jakby go wcale nie było.

- To wasza wina.

- Nazwijmy to winą cywilizacji. Boga nie da się pogodzić z maszynami, naukową medycyną i powszechną szczęśliwością. Trzeba wybierać. Nasza cywilizacja wybrała maszyny, medycynę i szczęśliwość. Dlatego muszę trzymać te książki w sejfie. Są gorszące. Ludzie byliby wstrząśnięci, gdyby...

- Ale czyż poczucie, że Bóg istnieje, nie jest naturalne? - przerwał Dzikus.

- Równie dobrze można zapytać, czy nie jest rzeczą naturalną robić spodnie z zamkami błyskawicznymi - rzekł sarkastycznie zarządca. - Przypomniał mi pan o jeszcze jednym z tych facetów; nazywał się Bradley. Zdefiniował filozofię jako znajdowanie złych racji dla tego, w co się wierzy instynktownie. Tak jakby można było wierzyć w cokolwiek

instynktownie! Wierzy się w to czy tamto, bo tak się jest uwarunkowanym. Znajdowanie złych racji dla tego, w co się wierzy dla innych złych racji - oto na czym polega filozofia. Ludzie wierzą w Boga, gdyż zostali uwarunkowani na wiarę w Boga.

- Mimo wszystko jednak - upierał się Dzikus - jest rzeczą właściwą ludzkiej naturze wierzyć w Boga, gdy się jest w samotności. W zupełnej samotności, nocą, pośród myśli o śmierci...

- Dziś ludzie nigdy nie są samotni - rzekł Mustafa Mond. - Sprawiamy, że nie znoszą samotności; urządzamy ich życie tak, że jest prawie niemożliwe, by kiedykolwiek w nią popadli.

Dzikus pokiwał głową ponuro. W Malpais cierpiał, bo odpędzili go od wspólnych poczynań wioski, w Londynie cierpiał, gdyż nie mógł uciec od tych wspólnych poczynań, być w spokoju sam na sam ze sobą.

- Pamięta pan ten fragment *Króla Leara*? - odezwał się po chwili – „Bogowie są sprawiedliwi i z naszych miłych nam grzeszków sposobią na nas narzędzia kary; w tym samym mrocznym i występnym miejscu, w którym cię począł, oczy postradał", Edmund zaś odpowiada (pamięta pan, jest ranny, umiera): „Słusznie rzekłeś; to prawda. Koło wykonało pełny obrót; jestem tu". I co pan na to powie? Czyż nie jest tak, że istnieje jakiś Bóg, który wszystkim kieruje, wyznacza kary i nagrody?

- A jest tak? - odpowiedział pytaniem zarządca. - Możemy sobie pozwolić na dowolną ilość miłych grzeszków z kobietą bezpłodną bez obawy, iż syn kochanki wyłupi nam oczy. „Koło wykonało pełny obrót; jestem tu". Ale gdzie byłby Edmund dzisiaj? Siedziałby w miękkim fotelu, obejmując wpół dziewczynę, żułby gumę z hormonami płciowymi i oglądał czuciofilm. Bogowie są sprawiedliwi. Bez wątpienia. Jednakże ich kodeks praw w ostatecznym rachunku ustalają ludzie organizujący społeczność. Opatrzność bierze wzory z rąk ludzi.

- Czy aby na pewno? - rzekł Dzikus. - Czy aby na pewno Edmund w tym miękkim fotelu nie byłby dotknięty równie ciężką karą jak Edmund, który zostaje ranny i krwawi śmiertelnie? Bogowie są sprawiedliwi. Czy nie użyli jego miłych grzeszków jako narzędzia do zepchnięcia go w dół?

- Do zepchnięcia z jakiego poziomu? Jako szczęśliwy, ciężko pracujący, należycie konsumujący obywatel jest on bez zarzutu. Oczywiście wybierając inne normy niż nasza, można zawsze rzec, iż został zepchnięty na niższy poziom. Trzeba jednak trzymać się jednego systemu pewników. Nie można grać w golfa elektromagnetycznego stosując reguły gry w bąka do rąk.

- Ale wartość nie mieszka w jednostkowej woli - rzekł Dzikus. - Jej godność i dostojność jest nie mniej cenna sama w sobie jak w ustach chwalącego.

- No nie - zaprotestował Mustafa Mond - nie posuwajmy się za daleko. Jeśli zdecydujemy się myśleć o Bogu, to nie chcemy pozwolić, by miłe grzeszki spychały nas w dół. To pozwala cierpliwie znosić ból i działać odważnie. Widziałem to u Indian.

- Zapewne, zapewne - odparł Mustafa Mond. - Ale my nie jesteśmy Indianami. Człowiek cywilizowany nie ma żadnej potrzeby znoszenia rzeczy naprawdę przykrych. A co do działania - Fordzie chroń, żeby mu coś takiego przyszło do głowy. Cały porządek społeczny uległby rozchwianiu, gdyby ludzie zaczęli działać na własną rękę.

- No a poświęcenie? Jeśli jest Bóg, to jest racja dla poświęceń.

- Cywilizacja przemysłowa jest możliwa tylko przy braku poświęcenia. Używać aż do granic wyznaczonych higieną i ekonomią. W przeciwnym razie turbiny staną.

- Byłaby też racja dla wstrzemięźliwości płciowej! - rzekł Dzikus rumieniąc się przy tym nieco.

- Ale wstrzemięźliwość rodzi namiętność, rodzi neurastenię. Te z kolei powodują utratę stabilności. Utrata stabilności zaś oznacza koniec cywilizacji. Nie może być trwałej cywilizacji bez obfitości miłych grzeszków.

- Bóg jest racją dla wszystkiego, co szlachetne, piękne i bohaterskie. Gdybyście mieli Boga...

- Mój drogi młody przyjacielu - rzekł Mustafa Mond - cywilizacji absolutnie nie potrzeba szlachetności ani heroizmu. Te rzeczy są symptomem politycznej nieskuteczności. W społeczeństwie dobrze zorganizowanym, takim jak na przykład nasze, nikt nie ma okazji do wykazywania się szlachetnością czy heroizmem. Warunki musiałyby całkowicie utracić stabilność, by taka okazja mogła zaistnieć. Tam gdzie toczą się wojny, spory o władzę, gdzie występują skłonności do stawiania oporu, umiłowane obiekty, o które się walczy lub których się broni - tam, rzecz jasna, szlachetność i heroizm mają pewien sens. Dziś jednak nie ma wojen. Poświęca się maksimum troski temu, by chronić człowieka przed zbytnią miłością do kogokolwiek. Nie ma sporów o władzę; każdy jest tak uwarunkowany, że może robić tylko to, co robić powinien. A to, co powinien robić, jest w całości tak miłe, tyle naturalnych odruchów może przy tym znajdować Ujście, że naprawdę nikt nie ma skłonności do stawiania oporu. Gdyby zaś jakimś nieszczęśliwym trafem zdarzyło się coś niemiłego, to cóż, wtedy pozostaje zawsze soma; ona uwalnia od przykrych faktów. Soma ukoi gniew, pogodzi z wrogami, doda cierpliwości i wytrwałości. Dawniej można to było osiągnąć tylko wielkim wysiłkiem po latach trudnych ćwiczeń woli. Dziś połyka się dwie lub trzy półgramowe

tabletki i załatwione. Dziś każdy obdarzony jest cnotami. Co najmniej połowę swej moralności nosi w fiolce. Chrześcijaństwo bez łez, oto czym jest soma.

- Ale łzy są niezbędne. Nie pamięta pan, co rzekł Otello? „Jeśli po każdej burzy nadchodzi cisza, niechże zawieją wiatry, aż śmierć przebudzą". Jeden ze starych Indian opowiadał nam pewną historię. O dziewczynie z Mátsaki. Młodzieńcy, którzy chcieli ją poślubić, musieli rankiem okopać jej ogródek. Na pozór wydawało się to łatwe; były tam jednak zaczarowane muchy i komary. Większość młodzieńców nie zdołała znieść ukąszeń i ukłuć. Jeden z nich zdołał i otrzymał dziewczynę.

- Urocze! Ale w krajach cywilizowanych - rzekł zarządca - można mieć dziewczęta bez okopywania ogródków; nie ma też much ani komarów. Wytępiliśmy je wieki temu.

Dzikus kiwnął głową zmarszczywszy brwi.

- Wytępiliście je. Tak, to do was podobne. Wytępić wszystko, co niemiłe, zamiast nauczyć się z tym współżyć. Czy jest szlachetniej w duchu znosić ciosy i zatrute strzały złej fortuny, czy raczej trzeba broni dobyć przeciw morzu trosk i walką kres im położyć... Ale wy nie robicie ani tego, ani tego. Ani nie cierpienie, ani nie walka. Po prostu usuwacie ciosy i zatrute strzały. To zbyt łatwe.

Umilkł nagle, wspomniawszy matkę. W swym pokoju na trzydziestym siódmym piętrze Linda płynie w morzu śpiewających świateł i wonnych pieszczot - odpływa w dal, poza przestrzeń, poza czas, opuszcza więzienie swych wspomnień, zwyczaj ów, starego, zniek6ztałconego ciała. A Tomakin, były dyrektor „Rozrodu i Warunkowania" Tomakin jest ciągle w podróży somatycznej - wolny od upokorzeń i bólu, w świecie, w którym nie słyszy tych słów, tego drwiącego śmiechu, nie widzi tej okropnej twarzy, nie czuje obejmujących go wilgotnych, obwisłych ramion, w pięknym świecie...

- Wam potrzeba dla odmiany - mówił dalej Dzikus - czegoś, co wymagałoby łez. Nic tu nie ma wystarczająco wysokiej ceny.

(„Dwanaście i pół miliona dolarów - zaprotestował Henryk Foster, gdy Dzikus tak doń powiedział. - Dwanaście i pół miliona. Tyle kosztuje nowy ośrodek warunkowania. Ani centa mniej").

- Narażać wszystko, co śmiertelne i nietrwałe, na ten los, na śmierć i niebezpieczeństwo choćby dla byle skorupki jajka. Czy nie jest jakoś tak? - zapytał Dzikus spoglądając w twarz Mustafy Monda. - Niezależnie od Boga, choć Bóg mógłby tu być racją. Czyż w niebezpiecznym życiu nie ma czegoś... czego...

- Jest w nim wiele - odparł zarządca. - Dlatego stymuluje się od czasu do czasu system hormonalny mężczyzn i kobiet.

- Słucham? - Dzikus nie zrozumiał.

- To jeden z warunków pełnego zdrowia. Dlatego stosujemy kompensację kuracjami SGN.

- SGN?

- Surogat gwałtownej namiętności. Regularnie raz w miesiącu. Nasycamy cały system krwionośny adrenaliną. To pełny równoważnik fizjologiczny lęku i wściekłości. Wszystkie pobudzające efekty morderstwa Desdemony przez Otella, a żadnych kłopotów.

- A ja lubię kłopoty.

- My nie - odrzekł zarządca. - Wolimy, żeby wszystko szło nam wygodnie.

- Ja nie chcę wygody. Ja chcę Boga, poezji, prawdziwego niebezpieczeństwa, wolności, cnoty. Chcę grzechu.

- . Inaczej mówiąc - stwierdził Mustafa Mond - domaga się pan prawa do bycia nieszczęśliwym.

- No więc dobrze - rzekł Dzikus wyzywającym tonem - domagam się prawa do bycia nieszczęśliwym.

- Nie mówiąc o prawie do starzenia się, brzydnięcia i impotencji; o prawie do syfilisu i raka; o prawie do niedożywienia, do bycia zawszonym i do życia w niepewności jutra; o prawie do zapadnięcia na tyfus, do cierpienia niewysłowionego bólu wszelkiego rodzaju.

Zapadło długie milczenie.

- Domagam się prawa do tego wszystkiego - odezwał się wreszcie Dzikus.

Mustafa Mond wzruszył ramionami.

- Proszę bardzo - rzekł.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Drzwi były uchylone; weszli.

- John!

Z łazienki dobiegał niemiły, charakterystyczny odgłos.

- Coś nie w porządku? - zawołał Helmholtz.

Nie było odpowiedzi. Niemiły odgłos powtórzył się jeszcze dwukrotnie; potem zapadła cisza. Po chwili drzwi łazienki otwarły się i wychynął zza nich nadzwyczaj blady Dzikus.

- Och! - zawołał ze współczuciem Helmholtz - John, wyglądasz na bardzo chorego!

- Może zaszkodziła ci jakaś potrawa? - zapytał Bernard.

Dzikus skinął głową.

- Owszem, jadłem cywilizację.

- Co?

- Zatruła mnie; byłem nieczysty. A potem - dodał ciszej - zjadłem moją własną niegodziwość.

- Ale co właściwie... bo przed chwilą ty chyba...

- Już jestem oczyszczony - rzekł Dzikus. - Wypiłem ciepłej wody z gorczycą.

Tamci patrzyli nań zdumieni.

- Czy chcesz powiedzieć, że zrobiłeś to celowo? - zapytał Bernard.

- W ten sposób Indianie oczyszczają żołądek. - Usiadł westchnieniem przesunął dłonią po czole. - Odpocznę trochę - powiedział. - Jestem okropnie zmęczony.

- Cóż, nie dziwię się - stwierdził Helmholtz. Po chwili milczenia rzekł innym już tonem: - Przyszliśmy ci powiedzieć do widzenia. Wyjeżdżamy jutro rano.

- Tak, wyjeżdżamy jutro rano - powtórzył Bernard, na którego twarzy Dzikus dostrzegł nowy wyraz: zdeterminowanej rezygnacji. - Przy okazji, John - ciągnął pochylając się do przodu w fotelu i kładąc dłoń na kolanie Dzikusa - chciałbym przeprosić za wszystko, co się wczoraj zdarzyło. - Zarumienił się. - Tak mi wstyd - mówił, choć głos mu drżał - naprawdę tak mi...

Dzikus przerwał mu i ujmując jego dłoń uścisnął ją gorąco.

- Helmholtz był dla mnie cudowny - podjął po chwili Bernard. Gdyby nie on, ja...

- No już, już - zaprotestował Helmholtz.

Zapadło milczenie. Pomimo smutku - a raczej dzięki niemu, bo smutek był symptomem ich wzajemnej do siebie przyjaźni - wszyscy trzej młodzi ludzie czuli się szczęśliwi.

- Poszedłem dziś rano do zarządcy - rzekł po chwili Dzikus.

- Po co?

- Poprosić o pozwolenie wyjazdu na wyspy razem z wami.

- No i co powiedział? - zapytał żywo Helmholtz.

Dzikus potrząsnął głową

- Nie zgodził się.

- Dlaczego?

- Powiedział, że chce przeprowadzić eksperyment. Ale niech mnie diabli - dodał Dzikus z nagłą furią w głosie - niech mnie diabli, jeśli dam się eksperymentować. Żaden zarządca na świecie mnie nie zmusi. Ja też wyjeżdżam jutro rano.

- Ale dokąd? - zapytali jednocześnie.

Dzikus wzruszył ramionami.

- Wszystko jedno. Tam gdzie będę mógł być sam.

Od Guildford dolna linia wiodła przez dolinę Wey po Godalming, potem, przez Milford i Witley, prowadziła do Haslemere i dalej, przez Petersfield, do Portsmouth. Prawie do niej równoległa linia górna przechodziła nad Worplesdon, Tongham, Puttenham, Elstead i Gtayshott. Między Hog's Back a Hindhead były miejsca, gdzie obie linie były odległe od siebie nie więcej niż o sześć, siedem kilometrów. Dystans ten był zbyt mały dla nieostrożnych lotników - zwłaszcza wieczorem, po zażyciu półgrama za wiele. Zdarzały się wypadki, i to poważne. Zdecydowano przesunąć górną linię o parę kilometrów na zachód. Między Grayshott a Tongham cztery opuszczone latarnie powietrzne znaczyły przebieg starej drogi Portsmouth - Londyn. Niebo nad nimi było ciche i puste. Dopiero nad Selborne, Borden i Farnham nieprzerwanie bzyczały i ryczały helikoptery.

Dzikus na swą pustelnię obrał sobie starą latarnię stojącą na grzbiecie wzgórza między Puttenham i Elstead. Wzniesiona z żelazobetonu budowla była w doskonałym stanie - nawet zbyt wygodna, pomyślał Dzikus, gdy po raz pierwszy tam zajrzał, zbyt luksusowo cywilizowana. Uspokoił jednak swe sumienie obiecując sobie, że będzie w zamian przestrzegał bardziej surowej dyscypliny, oczyszczenia bardziej pełnego i całkowitego. Pierwsza noc w pustelni była rozmyślnie bezsenna. Spędził wiele godzin na kolanach, modląc się to do tych niebios, u których Klaudiusz błagał przebaczenia, to w języku Zuňi do

Awonawilony, to do Jezusa i Pookonga, to do orla, swego świętego zwierzęcia. Od czasu do czasu rozpościerał ramiona niczym ukrzyżowany i trzymał je tak przez długie minuty, a ból stopniowo rósł, aż stawał się męką nie do zniesienia; trzymał je w tym dobrowolnym ukrzyżowaniu, powtarzając przy tym przez zaciśnięte zęby (a pot spływał mu po twarzy): „O, wybacz mi! O, oczyść mnie! Pomóż mi być dobrym!” Powtarzał raz po raz, aż do chwili, gdy z bólu bliski był omdlenia.

Gdy nadeszło rano, uznał, że uzyskał prawo do zamieszkania w latarni; tak, nawet pomimo całych szyb w większości okien, pomimo tak wspaniałego widoku z tarasu. Ta sama bowiem przyczyna, dla której wybrał latarnię, stała się niemal natychmiast powodem jej ewentualnego porzucenia. Zdecydował się tu zostać właśnie dlatego, że widok był tak piękny i że z tego właśnie miejsca mógł niejako wyglądać nadejścia wcielonej istoty boskiej. Lecz kimże on jest; by dzień w dzień nieustannie pieścić swój wzrok pięknym krajobrazem? Kimże on jest, by żyć pośród widzialnej obecności Boga? Jedyne, na co zasłużył, to jakiś brudny chlew, jakaś nora w ziemi. Zesztywniały i ciągle jeszcze chory, od długich nocnych cierpień, lecz dlatego właśnie pokrzepiony, wdrapał się na taras wieży, rozejrzał się po świecie, nad którym właśnie wschodziło słońce, po świecie, w którym znowu miał prawo zamieszkiwać. Na północy widok ograniczała długa wapienna linia wzgórz Hog’s Back; zza jej wschodniego krańca wynurzało się siedem drapaczy chmur; było to Guildford. Spojrzawszy na nie Dzikus skrzywił się z niesmakiem; pogodzi się z nimi jednak, gdyż nocą mrugają wesoło geometrycznymi układami, a w blasku reflektorów swe świetliste palce (gestem, którego w Anglii nikt prócz Dzikusa nie rozumiał) wznoszą uroczyście ku niezgłębionym tajemnicom niebios.

W dolinie oddzielającej Hog’s Back od piaszczystego wzgórza, na którym stała latarnia, leżało Puttenham, skromna dziewięciopiętrowa wioska, a w niej parę silosów, ferma kurza i mała fabryczka witaminy D. Po drugiej stronie latarni, na południu, teren opadał długim stokiem wrzosowisk ku łańcuchowi stawów.

Za nimi, ponad lasem, wyrastała czternastopiętrowa wieża stanowiąca Elstead. Niezbyt wyraźne w mglistym angielskim powietrzu Hindhead i Selborne wabiły oko romantyczną, błękitną dalą. Jednakże nie widok dali przyciągał Dzikusa do latarni; równie ponętne było to co w pobliżu. Lasy, rozległe połacie wrzosowisk, żółtego janowca, kępy jodeł szkockich, lśniące stawy i zwieszające się nad nimi wierzby, lilie wodne, sitowie - wszystko to było piękne, a dla oka nawykłego do obrazu jałowej amerykańskiej pustyni wręcz zdumiewające. No i ta samotność! Całe dni upływały bez widoku człowieka. Latarnia znajdowała się zaledwie o kwadrans lotu od wieży na Charing-T, lecz nawet wzgórza Malpais

nie były bardziej bezludne niż to wrzosowisko w Surrey. Tłumy opuszczające codziennie Londyn opuszczały go tylko po to, by grać w golfa elektromagnetycznego lub w tenisa. Puttenham nie miało boisk; najbliższe powierzchnie Riemanna były w Guildford. Jedyną atrakcję stanowiła tu kwitnąca roślinność oraz krajobrazy. Ponieważ więc nie było po co przyjeżdżać, nikt nie przyjeżdżał. Przez pierwsze dni Dzikus żył samotnie i nikt mu samotności nie zakłócał.

Z pieniędzy na drobne wydatki, otrzymanych po przyjeździe do Anglii, John większość wydał na ekwipunek. Przed opuszczeniem Londynu nabył cztery koce ze sztucznej wełny, linę, sznurek, gwoździe, klej, parę narzędzi, zapałki (choć miał zamiar przejść z czasem na krzesiwo), trochę garnków i patelni, dwa tuziny toreb nasion i dziesięć kilogramów mąki pszennej. „Ale nie skrobię syntetyczną, ani nie bawełniany substytut mąki - mówił z naciskiem - nawet jeśli są bardziej pożywne”. Gdy jednak przyszło do hormonodajnych biszkoptów i witaminizowanego surogatu wołowiny, nie był w stanie oprzeć się namowom sprzedawcy. Spoglądając teraz na puszki, wyrzucał sobie gorzko własną słabość. Wstrętne produkty cywilizacji! Postanowił, że ich nie tknie, nawet choćby miał głodować. „To im da nauczkę”, myślał mściwie. Da nauczkę także jemu.

Przeliczył pieniądze. Spodziewał się, że ta niewielka suma, jaka mu pozostała, wystarczy, aby przetrwać zimę. Przyszłej wiosny jego ogród zrodzi tyle, że on sam będzie uniezależniony od świata. Póki co zawsze się znajdzie jakaś zwierzyna. Widział w pobliżu mnóstwo królików, po stawach zaś pływało ptactwo wodne. Zabrał się bez zwłoki do sporządzania łuku i strzał.

Nie opodal latarni rosły jesiony; do wyrobu strzał nadawały się gałęzie pięknych prostych krzewów leszczyny z pobliskiej kępy. Zaczął od ścięcia młodego jesionu, sześciostopowy pień bez gałęzi okorował, a potem stopniowo zestrugiwał białe drzewo, tak jak go uczył stary Mitsima; w końcu uzyskał drąg długości równej swemu wzrostowi, sztywny w grubszym nieco środku, giętki na cieńszych końcach. Praca napełniała go głębokim zadowoleniem. Po tylu tygodniach próżnowania w Londynie, gdzie nie było co robić, gdzie można było co najwyżej naciskać guziki i przesuwać dźwignie, czystą radość sprawiała teraz praca wymagająca wprawy i cierpliwości.

Kończył właśnie zestrugiwać drzewce, gdy uprzytomnił sobie nagle, że śpiewa - śpiewa! Wyglądało to tak, jakby natknąwszy się na siebie od zewnątrz, przyłapał się na gorącym uczynku. Zaczerwienił się, pełen poczucia winy. Ostatecznie nie przybył tu śpiewać i radować się. Uciekł przed brudem cywilizowanego życia; ma się oczyścić i być dobrym; ma czynić pokutę. Ku swemu wstydowi pojął, że zajęty struganiem łuku zapomniał o tym, co

przysiągł sobie stale pamiętać: o biednej Lindzie, o swym morderczym wobec niej czynie, o wstrętnych bliźniakach rojących się jak wszy wokół misterium jej śmierci, obrażających swą obecnością nie tylko jego żal i skruchę, ale i bogów samych. Przysiągł sobie pamiętać, przysiągł nieustającą pokutę. A tu masz, siedzi sobie szczęśliwy nad drzewcem łuku i śpiewa, naprawdę śpiewa...

Wszedł do latarni, otwarł pudełko z gorczycą, nastawił wodę.

W pół godziny później trzech robotników rolnych, delt-minus należących do jednej z puttenhamowskich grup Bokanowskiego, jechało do Elstead. Na wierzchołku wzgórza natknęli się ze zdumieniem na młodego człowieka, który stał pod opuszczoną latarnią obnażony do pasa i okładał się biczem z węźlastych rzemieni. Plecy pocięte były poziomo czerwonymi pręgami, a od pręgi do pręgi spływały cienkie strużki krwi. Kierowca ciężarówki zatrzymał wóz na skraju drogi i w towarzystwie dwóch swych kolegów oglądał z otwartymi ustami niezwykłe widowisko. Raz, dwa, trzy - liczyli uderzenia. Po ósmym młody człowiek przerwał wymierzaną sobie karę, pobiegł na skraj lasu i gwałtownie zwymiotował. Potem wrócił, podniósł bicz i ponownie zaczął się okładać. Dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście...

- O Fordzie! - szepnął kierowca. Bliźniacy byli tego samego zdania.

- O Fordziku! - powiedzieli.

W trzy dni później niczym sępy do padliny ściągnęli reporterzy.

Stwardniały po wysuszeniu nad małym ogniem ze świeżego drewna łuk był gotowy. Dzikus pracował nad strzałami. Zestrugał i wysuszył trzydzieści leszczynowych prętów, zaopatrzył w ostre gwoździe, pieczołowicie zamocował pióra. Pewnej bowiem nocy zakradł się na fermę kurzą w Puttenham i miał teraz tyle piór, że mógłby wyposażyć całą zbrojownię. Właśnie nad zamocowaniem lotek zastał go pierwszy z reporterów. Zbliżając się bezszelestnie w swych miękkich butach, zaszedł Dzikusa od tyłu.

- Dzień dobry, panie Dzikus - rzekł. - Jestem przedstawicielem „Cogodzinnej Depeszy".

Jak ukąszony przez węża zerwał się Dzikus na równe nogi rozrzucając strzały, pióra, garnek z klejem i pędzel.

- Najmocniej przepraszam - tłumaczył się szczerze zakłopotany reporter. - Nie chciałem... Dotknął kapelusza, aluminiowej rury, w której nosił swój bezprzewodowy odbiornik i przekaźnik.

- Proszę wybaczyć, że go nie zdejmuję - rzekł. - Jest nieco ciężki. No więc, jak już mówiłem, jestem przedstawicielem „Cogodzinnej Depeszy"...

- Czego pan chce? - warknął Dzikus. Reporter odpowiedział nadzwyczaj uprzejmym uśmiechem.

- Otóż naszych czytelników zainteresowałoby głęboko... - Pochylił głowę na bok, jego uśmiech stał się niemal kokieteryjny. - Tylko parę słów od pana, panie Dzikus. - I za pomocą paru rytualnych gestów odczepił dwa druty podłączone do przytroczonej u pasa przenośnej baterii, i włączył je równocześnie z obu stron aluminiowego kapelusza. Dotknął jakiejś sprężyny-na denku i wyskoczyły dwie antenki, dotknął innej na krawędzi ronda - i hokus-pokus wyskoczył mikrofon, i zawisł kołysząc się o sześć cali od nosa reportera. Ten zaś naciągnął sobie na uszy słuchawki, nacisnął przycisk z lewej strony kapelusza - i z wnętrza dobiegło słabe brzęczenie; pokręcił gałką w prawo - i brzęczenie przerwały stetoskopowe gwizdy, trzaski, czkawka i piski.

- Halo - powiedział reporter do mikrofonu - halo, halo...

Wewnątrz kapelusza rozległ się dzwonek.

- To ty, Edzel? Primo Mellon mówi. Tak, znalazłem go już. Pan Dzikus weźmie teraz mikrofon i powie parę słów. Można pana prosić, panie Dzikus? - Spojrzał na Dzikusa przywołując znowu swój nieodparty uśmiech. - Proszę powiedzieć czytelnikom, dlaczego pan tu zamieszkał. Co skłoniło pana do opuszczenia (Edzel, jesteś tam?) tak nagle Londynu. No i rzecz jasna o tym biczowaniu. - (Dzikus drgnął. Skąd wiedzą o biczowaniu?) - Wszyscy szalenie są ciekawi, jak to jest z tym biczowaniem. I jeszcze coś o Cywilizacji. No, sam pan wie: „Co myślę o Cywilizowanej Dziewczynie?" Tylko parę słów, parę słów...

Dzikus zaszokował dosłownością. Wypowiedział pięć słów i ani słowa więcej - te same pięć słów, które wyrzekł do Bernarda na temat archiśpiewaka wspólnotowego.

- *Háni! Sons ěso tse-ná*! - I chwyciwszy reportera za ramiona obrócił nim, i (młody człowiek miał kusząco miękką odzież) wymierzywszy starannie z całą siłą i precyzją championa fut-ust-bolisty posłał mu zdrowego kopniaka.

W osiem minut później na ulicach Londynu sprzedawano najnowsze wydanie „Cogodzinnej Depeszy". REPORTER „COGODZINNEJ DEPESZY" KOPNIĘTY W POŚLADEK PRZEZ MISTERIALNEGO DZIKUSA, brzmiał tytuł na pierwszej stronie, SENSACJA W SURREY.

„Sensacja nawet w samym Londynie", pomyślał reporter, gdy po powrocie czytał te słowa. I to nader bolesna sensacja. Usiadł z trudem i zabrał się do lunchu.

Nie zrażeni tym nadwyrężeniem pośladków swego kolegi czterej inni reporterzy reprezentujący nowojorski „Times", frankfurckie „Kontinuum Czterowymiarowe",

„Fordowski Monitor Naukowy” i „Zwierciadło Delty” wpadli tegoż popołudnia do latarni, spotykając się z przyjęciem coraz bardziej gwałtownym.

Z bezpiecznej odległości, rozcierając pośladki, człowiek z „Fordowskiego Monitora Naukowego” krzyczał:

- Ty głupcze! Czemu nie zażyjesz somy?

.- Wynocha stąd! - zawołał Dzikus potrząsając pięścią.

Tamten odszedł kilka kroków, potem znów się odwrócił:

- Zło przestaje istnieć, gdy się zażyje parę gramów.

- *Kobakwa iyatbokyai!* - Ton był ironiczny, a zarazem groźny.

- Ból staje się złudzeniem.

- Naprawdę? - rzekł Dzikus i podnosząc gruby kij leszczynowy zrobił krok w przód.

Człowiek z „Fordowskiego Monitora Naukowego” wskoczył do helikoptera.

Po tym incydencie Dzikusa pozostawiono na pewien czas w spokoju. Kiedyś nadleciało kilka ciekawskich helikopterów i zawisło w pobliżu wieży. Posłał strzałę ku najbliższemu z nich. Przebiła aluminiową podłogę kabiny; rozległ się krzyk i maszyna wystrzeliła w górę z największym, na jakie ją było stać, przyspieszeniem. Odtąd trzymano się w przyzwoitej odległości od wieży. Nie zważając na uparte bzyczenie (wyobrażał sobie, że jest jednym z zalotników dziewczyny z Mátsaki, tym wytrwałym, niewrażliwym na ataki owadów), Dzikus kopał w swoim przyszłym ogródku. Po pewnym czasie owady, najwidoczniej się znudziwszy, odleciały; niebo nad jego głową opustoszało i gdyby nie skowronki, byłoby zupełnie ciche.

Był duszny upał, burza wisiała w powietrzu. Kopał przez cały ranek, teraz zaś odpoczywał wyciągnięty na podłodze. I nagle uobecniła mu się w myśli Lenina naga, w zasięgu ręki, szepcząca: „słodki!” i: „obejmij mnie!” - w butach i pończoszkach, pachnąca. Bezwstydna ladacznica! Ale, och, och, jej ramiona na jego karku, wyniosłość jej piersi, jej usta! Wieczność gościła w naszych ustach i oczach. Lenina... Nie, nie, nie! Zerwał się na równe nogi i tak jak stał, półnagi wybiegi z domu. Na skraju wrzosowiska rosła kępa srebrnego jałowca. Rzucił się w nią, obejmował, nie gładkie ciało swych- pragnień, lecz naręcza zielonych szpilek. Kłuły go tysiącami ostrych żądeł. Starał się pomyśleć o biednej Lindzie, tracącej oddech, oniemiałej, z zaciśniętymi kurczowo rękami i straszliwą grozą w oczach. O biednej Lindzie, którą przysięgał pamiętać. Ale obecność Leniny nawiedzała go ciągle. Leniny, którą obiecywał sobie zapomnieć. Nawet wśród ukłuć igieł jałowca jego drżące ciało czuło ją, nieodparcie realną. „Słodki, słodki... Skoro ty także mnie pragnąłeś, dlaczego mi nie...”

Na gwoździu u drzwi wisiał bicz przygotowany na przyjęcie reporterów. Oszalały Dzikus wpadł do domu, chwycił bicz, okręcił. Węźlaste rzemienie wpiły się w ciało.

- Ladacznica! Ladacznica! - krzyczał przy każdym uderzeniu, jak gdyby to on był Leniną (a jakże obłąkańczo, choć nieświadomie, tego pragnął!), białą, ciepłą, wonną, grzeszną Leniną, którą by tak właśnie biczował.

- Ladacznica! - A potem głos rozpaczy: - Och, Linda, wybacz mi. Wybacz mi Boże! Jestem zły. Jestem niegodziwy. Jestem... Nie, nie, ty ladacznico, ladacznico!

Ze swej starannie urządzonej kryjówki w lesie o trzysta metrów od wieży Darwin Bonaparte, najlepszy w Towarzystwie Czuciofilmowym fachowiec od filmowania dużych drapieżników, obserwował rozwój wypadków. Cierpliwość i rutyna zostały wynagrodzone. Całe trzy dni spędził w dziupli sztucznego dębu, trzy noce czołgał się po wrzosowiskach, ukrywał mikrofony w janowcu, zakopywał druty w miękkim szarym piasku. Siedemdziesiąt dwie godziny skrajnej niewygody. Teraz jednak nadszedł wielki moment, największy – mówił sobie w duchu Darwin Bonaparte, lawirując wśród swych przyrządów - od czasu gdy zrobił ów słynny, pełen wszelakich odgłosów czuciofilm z godów goryli. „Wspaniale”, rzekł do siebie, gdy Dzikus rozpoczął swe zdumiewające przedstawienie. „Wspaniale!” Teleskopowe kamery były pieczołowicie nakierowane - przyklejone wręcz do swego ruchomego celu; dodał mocy, aby uzyskać zbliżenie oszalałej, zmienionej twarzy (zachwycające!), przez pół minuty robił zwolnione zdjęcia (będą nadzwyczaj komiczne efekty, obiecywał sobie), równocześnie nadsłuchiwał odgłosu uderzeń, jęków, dzikich, obłąkanych słów zapisywanych na ścieżce dźwiękowej biegnącej skrajem taśmy filmu; spróbował małego wzmocnienia (tak, teraz zdecydowanie lepiej), radowało go, że w takich chwilach przerwy dolatuje śpiew skowronka; pomyślał, że szkoda, iż Dzikus się nie odwraca, bo można by wtedy zrobić należyte zbliżenie krwi na plecach - i niemal w tej chwili (ależ mam zdumiewające szczęście!) ten zgodny facet się właśnie odwraca, a on może zrobić doskonałe zbliżenie.

- No, to była wielka sprawa! - powiedział do siebie, gdy spektakl się zakończył. - Naprawdę wielka! - Otarł twarz. Kiedy dołączą w studio efekty dotykowe, to wyjdzie cudowny film. Niemal równie dobry, myślał Darwin Bonaparte, jak *Życie miłosne wielorybiej spermy* - a to już, na Forda, nie byle co. W dwanaście dni później *Dzikus z Surrey* został rozpowszechniony i można go było oglądać, słyszeć i czuć w każdym czucioteatrze pierwszej kategorii na terenie całej Europy Zachodniej.

Efekt wywołany przez film Darwina Bonaparte był natychmiastowy i ogromny. W godzinach popołudniowych następnego dnia po premierze wiejską samotność Johna zakłócił nagle przylot ogromnego stada helikopterów.

Właśnie kopał w ogrodzie - przekopując zarazem własny umysł, pracowicie spulchniając materię swych myśli. Śmierć - zanurzył szpadel raz, drugi, trzeci. Wszystkie nasze dni wczorajsze świecą pochodniami wzdłuż drogi w mgłę śmierci. Grzmot prawdy załomotał w tych słowach. John uniósł następną szuflę ziemi. Dlaczego Linda umarła? Dlaczego pozwolono jej stopniowo tracić człowieczeństwo, aż wreszcie... Zadrżał. Całująca padlina. Postawił stopę na szpadlu i wcisnął go gwałtownie w miękki grunt. Jak muchy dla swawolnych chłopców jesteśmy dla bogów; zabijają nas dla zabawy. Znowu grzmot; słowa grzmiące prawdziwie - bardziej prawdziwie niż prawda sama. A jednak Gloucester nazywał ich bogami wszechłaskawymi. Zresztą najlepszym odpoczynkiem jest sen, czemuż więc tak się boisz śmierci, co nie jest niczym więcej. Niczym więcej niż sen. Zasnąć. Może śnić. Szpadel uderzył o kamień; przerwał, by go podnieść i wyrzucić. Bo w tym śnie śmierci sny jakie...?

Bzyczenie nad głową przeszło w ryk. I oto nagle zakrył go cień, coś było w górze między nim a słońcem. Spojrzał wzwyż, oderwany od kopania, wyrwany ze swoich myśli; spojrzał wzwyż w oszołomieniu, jego myśl ciągle jeszcze błądziła po tym innym świecie tego co prawdziwsze-niż- prawda-sama, ciągle jeszcze nurzała się w otchłaniach śmierci i boskości. Spojrzał wzwyż i ujrzał tuż nad sobą chmarę wiszących maszyn. Nadciągnęły jak szarańcza, wisiały w powietrzu, lądowały na wrzosowisku. A z brzuchów tych wielkich pasikoników wyłaniali się mężczyźni w odzieży z białej sztucznej flaneli, kobiety (bo dzień był upalny) w jedwabnych żakiecikach lub w aksamitnych szortach i na wpół rozsuniętych koszulkach bez rękawów. Z każdej maszyny jedna para. W ciągu kilku minut były ich już całe tuziny; stali szerokim kręgiem wokół latarni, gapili się, śmiali, pstrykali aparatami, rzucali (niczym małpie w klatce) orzeszki, paczki gumy do żucia nasycanej hormonami, hormonodajnych herbatników. Z każdą chwilą - jako że zza wzgórz Hog's Back napływali teraz nieprzerwaną falą - liczba ich rosła. Niczym w koszmarnym śnie tuziny stawały się dwudziestkami, dwudziestki setkami.

Dzikus cofnął się do wieży i stał teraz jak osaczone zwierzę pod murem latarni, spoglądając po twarzach w niemej grozie, niczym ktoś kto postradał zmysły.

Z tego stuporu wytrąciła go, wprowadzając w bardziej bezpośredni kontakt z rzeczywistością, dobrze wycelowana paczka gumy do żucia, która uderzyła go w policzek. Wstrząs bólu - i już się obudził; obudził się dziko wściekły.

- Wynosić się stąd! - zawołał.

Małpa przemówiła; wybuch śmiechu i oklaski.

- Poczciwy stary Dzikus! Brawo, brawo!

A pośród hałasu słyszał przebijające się wołania:

- Bicz, bicz, bicz!

Idąc za tą propozycją, zdjął z gwoździa pęk węźlastych rzemieni i potrząsnął nim ku swoim prześladowcom.

Podniósł się gwar ironicznego uznania.

Ruszył groźnie ku nim. Jakaś kobieta krzyknęła ze strachu. Krąg zafalował w najbardziej zagrożonym miejscu, potem zwarł się na powrót. Świadomość ogromnej przewagi liczebnej dodawała tym ludziom odwagi, jakiej Dzikus się po nich nie spodziewał. Zaskoczony, przystanął i rozejrzał się po twarzach.

- Dlaczego nie zostawicie mnie w spokoju? - w jego rozwścieczonym głosie pobrzmiewał ton niemal błagalny.

- Masz trochę migdałów z solą magnezową - rzekł mężczyzna, który, gdyby Dzikus ruszył naprzód, zostałby zaatakowany jako pierwszy. Wyciągnął przed siebie paczkę. - Są naprawdę smaczne, bierz - dodał z nerwowym pojednawczym uśmiechem. - Sole magnezowe podtrzymują młodość.

Dzikus nie zwracał na niego uwagi.

- Czego chcecie ode mnie? - zapytał tocząc wzrokiem po roześmianych twarzach. - Czego chcecie ode mnie?

- Bicza - odpowiedział chór setek pomieszanych głosów. - Biczuj się. Pokaż nam biczowanie.

Potem grupa stojąca z tyłu zaintonowała skandując:

- Chce-my-bi-cza! Chce-my-bi-cza!

Inni natychmiast podjęli i teraz powtarzali zdanie raz za razem, jak papugi, coraz głośniej, aż przy siódmym lub ósmym powtórzeniu wołano już tylko to.

- Chce-my-bi-cza!

Krzyczeli wszyscy; odurzeni hałasem, jednomyślnością, wspólnym rytmem, mogliby zapewne tak krzyczeć godzinami - bez końca. Jednakże gdzieś przy dwudziestym piątym powtórzeniu nastąpiło osobliwe zakłócenie. Zza Hog’s Back wyłonił się jeszcze jeden helikopter, zawisł nad tłumem, potem osiadł na ziemi o kilka metrów od Dzikusa, na wolnej przestrzeni między grupą gapiów a latarnią. Ryk śmigła na chwilę zagłuszył skandowanie;

gdy maszyna stanęła na ziemi i silniki umilkły, „Chce-my-bi-cza!” zabrzmiało tą samą głośną, upartą melodią.

Drzwi helikoptera otwarły się i z wnętrza wyszedł najpierw młodzieniec o rumianej twarzy, a za nim młoda kobieta w zielonych aksamitnych szortach, białej bluzeczce i czapce dżokejskiej.

Na widok kobiety Dzikus wzdrygnął się, cofnął, zbladł.

Ona zaś uśmiechała się ku niemu - uśmiechem niepewnym, błagalnym, niemal pokornym. Upływały sekundy. Jej wargi poruszały się, mówiła coś, lecz słowa zagłuszało głośne nieustanne skandowanie gapiów.

- Chce-my-bi-cza! Chce-my-bi-cza!

Młoda kobieta przycisnęła obie dłonie do piersi i na brzoskwiniowej, bajecznie pięknej twarzy pojawił się nie bardzo do niej pasujący wyraz tęsknoty i smutku. Błękitne oczy zdawały się powiększać, rozświetlać i nagle po policzkach stoczyły się dwie łzy. Mówiła dalej coś, czego nie było słychać; potem szybkim, namiętnym gestem wyciągnęła ramiona do Dzikusa, ruszyła ku niemu.

- Chce-my-bi-cza! Chce-my...

I oto nagle otrzymali, czego chcieli.

- Ladacznico! - Dzikus rzucił się na nią jak szaleniec. - Dziwko! - jak szaleniec świsnął nad nią biczem z drobnych rzemyków.

Przerażona, rzuciła się do ucieczki, potknęła się i upadła we wrzosy.

- Henryk, Henryk! - zawołała. Ale towarzysz o rumianej twarzy umknął z pola zagrożenia za helikopter.

Krąg rozpadł się z jękiem zachwytu i ekstazy; ludzie ruszyli ku magnetycznemu centrum atrakcji. Ból budził grozę, ale i fascynację.

- Dziwka, wszeteczna dziwka! - oszalały Dzikus uderzył ponownie.

Stłoczyli się wokoło, pchając się i popychając niczym świnie u koryta.

- Och, to ciało! - Dzikus zgrzytał zębami. Tym razem opuścił bicz na własne plecy. - Zabić je! Zabić!

Oszołomieni grozą i bólem, pobudzani od wewnątrz nawykiem współpracy, owym pragnieniem jednomyślności i jednania się ze sobą, tak nieusuwalnie wpojonym im przez warunkowanie, zaczęli naśladować szaleństwo jego gestów, uderzając jeden drugiego, gdy Dzikus uderzał własne niepokorne ciało lub to pulchne wcielenie grzechu wijące się z bólu we wrzosach u jego stóp.

- Zabić je, zabić je, zabić... - wołał Dzikus.

Wtem ktoś zaintonował nagle „Orgię-porgię”, a wszyscy natychmiast podjęli refren i śpiewając zaczęli tańczyć. Orgia-porgia, w koło, raz za razem, okładając się wzajemnie w rytmie sześć ósmych. Orgia-porgia...

Było już po północy, gdy odleciał ostatni helikopter.

Otępiały od somy, wyczerpany długotrwałym szaleństwem zmysłów, Dzikus spał we wrzosach. Słońce było już wysoko, gdy się przebudził. Leżał przez chwilę, niczym sowa mrużąc półprzytomne oczy w blasku słońca; potem nagle przypomniał sobie - wszystko.

- O mój Boże, mój Boże! - zakrył oczy dłonią.

Tego wieczoru helikoptery nadciągające z bzyczeniem spoza Hog’s Back tworzyły ciemną chmurę dziesięciokilometrowej długości. Opis zeszłonocnej orgii pojednania ukazał się we wszystkich gazetach.

- Dzikus! - wołali pierwsi przybyli, wysiadając z maszyn.

- Panie Dzikus!

Żadnej odpowiedzi.

Drzwi latarni były uchylone. Otwarli je na oścież i weszli do mrocznego wnętrza. Pod sklepieniem w przeciwległej części pokoju dojrzeli podest schodów wiodących na wyższe piętra. Tuż pod wierzchołkiem sklepienia kołysała się para nóg.

- Panie Dzikus!

Powoli, bardzo powoli, niczym dwie leniwe igły kompasu stopy obracały się w prawo; na północ, północny wschód, wschód, południowy wschód, południe, południo-południo-zachód, potem zatrzymały się i po paru sekundach równie leniwie ruszyły z powrotem w lewo. Południo-południo-zachód, południe, południowy wschód, wschód...

OPOWIEŚĆ O OSTATNIM CZŁOWIEKU

Zaratustra Nietzschego przedstawiał ludziom ku przestrodze obraz ostatniego człowieka: „Myśmy szczęście wynaleźli, mówi ostatni człowiek i mruży wzgardliwie oczy”. Ostatni człowiek to ten, który nie jest już owym „przejściem i zanikiem”, linią „rozpiętą między człowiekiem a zwierzęciem”, na której z natury balansuje istota ludzka. Ostatni człowiek wszystko osiągnął i teraz żyje w świecie urządzonym w sposób wygodny i przyjemny.

Powołany do życia ponad pól wieku temu (1931) piórem Aldousa Huxleya nowy wspaniały świat jest światem spełnionej (rzekomo) szczęśliwości. Po tak długim czasie, jaki upłynął od chwili stworzenia tej dość już anachronicznej wizji społeczeństwa organizowanego za pomocą metod biologicznych, zasadność wydania polskiego przekładu może się wydać wątpliwa. Powieść Huxleya nie stanowi jednakże tylko antywellsowskiej wypowiedzi w sprawie tragicznych skutków triumfu nauki. Uniwersalizm tego dzieła przekracza daleko wszelkie doraźne - także polityczne - cele, którym przed laty mogło ono służyć. Ostrze satyry w gruncie rzeczy nie godzi w systemy polityczne, gdyż atakuje cywilizację przemysłową jako taką.

Lęk i niepokoje Huxleya, który szybko stwierdził, że jego wizja bliższa jest urzeczywistnienia, niż początkowo mniemał, doznały dziś pewnego przesunięcia akcentów. Wydaje się, że wzrosło zagrożenie totalnego unicestwienia ludzkości, natomiast widmo wszechzorganizowania nieco zbladło. W gruncie rzeczy widmo to, abstrahując rzecz jasna od jego lokalnych materializacji, jest dzieckiem hiperboli i formalizmu myślowego. Najbardziej nawet skrajna antyutopia stanowi przecież utopię *tout court* - wizję nierealną, konstrukcję.

Oczywiście byłoby rzeczą nieodpowiedzialną lekceważyć ostrzeżenia antyutopistów. Nie ulega przecież wątpliwości, że wolność, jak to nieustannie Huxley powtarzał, jest w stanie ciągłego zagrożenia. A poza tym warto zgłębiać logikę rozwoju cywilizacji przemysłowej, do czego dzieło Huxleya świetnie się nadaje.

Nieodparty charakter tej logiki zdaje się nas przekonywać, że społeczne spełnienie musi przybierać postać zbiorowego szaleństwa. W swej niezwykłej książce Huxley wyprowadził konsekwencje i podsumował grzechy współczesności, czyniąc to jednakże bez łatwego moralizatorstwa - wręcz przeciwnie, z chichotem nieco diabelskim. Przyszłość naszego permanentnego niedostatku rysuje się trojaka: albo jego kontynuacja, albo totalne unicestwienie, albo powszechna szczęśliwość. Heglowski koniec historii w postaci nowego wspaniałego świata urzeczywistnia się jako alternatywa obłąkania: stojący wobec cywilizacji

A.F. 632 Dzikus ma do wyboru szaleństwo akceptacji lub nie mniejsze szaleństwo odrzucenia. Po latach Huxley uwierzył w możliwość wyboru zdrowia: trzecim wyjściem jest archipelag wysp zesłania, na których samorzutnie zawiązuje się „normalne" życie. Dla powieściowego świata przedstawionego pociecha płynie stąd prawie żadna, bowiem sedno antyutopii Huxleya wyraża się dobrowolnością niewolnictwa. Nawet nie to, że jest ono akceptowane: jego się w ogóle nie dostrzega.

Czegóż jednakże chce człowiek od ostatniego człowieka? Co ma do zarzucenia idealnej stabilności naszych przyszłych? Czyż nie są szczęśliwi? Ależ są. O cóż nam chodzi, gdy podnosimy „nieludzkość" tego życia? Przeciw jego logice pragmatycznej stawiamy naszą wyrafinowaną (?) i głęboką (?) sztukę, życie kulturowe w ogóle - tak jakby filozofia (a co to takiego?) nie orzekła już była, iż wszystko to stanowi jedynie kompensację braków materialnych. Orzekła, i to jeszcze za życia Pana Naszego Forda, czyli Henry Forda (1863-1947), amerykańskiego przemysłowca i filantropa (akcja powieści dzieje się A.D. 2541). Czy więc nie odrzucam~ nowego wspaniałego świata w imię sloganów o „człowieczeństwie" i banalnych lamentów nad utratą „wolności"? Obywatele Republiki Świata na wszystko, na co nie są warunkowani, reagują repulsywnie. Czy my sami, gdy stajemy wobec owego świata mówiąc „osobliwe", nie zachowujemy się podobnie jak oni, a nawet gorzej, bo kłamliwie i tchórzliwie nie chcemy uznać logicznych konsekwencji? Protestujemy przeciw egalitaryzmowi, ale czyż jedyną bezkonfliktową i szczęśliwą nierównością nie jest nierówność absolutna: system kastowy? Bronimy prawa do wolności osobistej, ale czyż wolność nie jest czymś, co ma sens tylko tam, gdzie zachodzi potrzeba wyboru i decyzji - a zatem w społecznościach nie do końca (czyli niedoskonale) zniewolonych? Samodoskonalenie? Wiara? Wyższe uczucia? Czyż wszystko to nie ma prowadzić nas do pogodzenia z naturą - czy więc nie prościej już u samego początku osiągnąć stan naturalnej, instyktowo-półzwierzęcej szczęśliwości?

Jesteśmy bezsilni wobec tej logiki. Pytanie: „O co wam właściwie chodzi?", zada nam nie tylko Mustafa Mond, ale i dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć procent szczęśliwych obywateli Tamtego Świata. Nie pokonamy ich bezbłędnej Inżynierii Społecznej oceniając osiągnięty przez nią cel. Spróbujmy zatem zapytać o środki wiodące do tego celu, który zresztą polega na likwidacji wszelkiego w ogóle celu - poza jednym tylko: dążeniem do podtrzymania homeostazy szczęśliwości. Jeżeli nie toczy nas robak makiawelizmu, ocenimy z perspektywy etycznej. To jest to, czym dysponuje człowiek, zaś ostatni człowiek już nie.

Jak powstał nowy wspaniały świat? Jaka tu zaszła „prawdziwie rewolucyjna rewolucja" (Huxley)? Otóż dokonano monstrualnej manipulacji świadomością jednostek,

uzyskując w efekcie paradoksalną jedność przeciwieństw: kastowy egalitaryzm egzemplarzy z butli, szczęśliwe niewolnictwo, prymitywizm supercywilizacji, pełnię pustki. Cenę takiego „pogodzenia wartości" zapłaciło społeczeństwo normalizowane wedle Prokrustowego ideału stabilności. Cały ten zabieg był podstępem i nadużyciem, a jako podstęp - przemocą. Przemoc zaś jest niemoralna.

Jakże groźnie zaraźliwa jest logika Tamtego Świata. Oto w pewnym momencie Dzikus domaga się społeczeństwa samych alf, a potem staje bezradny wobec oczywistej niemożliwości tegoż (eksperyment cypryjski). A przecież Dzikus zaproponował twór sztuczny! I to bardziej sztuczny niż ten faktycznie realizowany w Republice Świata, która kast miała aż kilka. Oto ciężki grzech mimowolnego neofity Dzikusa, który w tym momencie zaparł się Szekspira i swej „dzikości". Ta przecież wie, że społeczność nie rozkłada się na kasty od alfa do epsilon czy nawet do omega; tyle jest bowiem „kast", ile istot ludzkich.

Co osiągnął ostatni człowiek nowego wspaniałego świata? W sposób doskonały opanował naturę - i tę własną, i tę zewnętrzną, czyli przyrodę. Subiektywizacja obiektu, powiada Adorno, prowadzi do unicestwienia zarówno *subiectum* jak *obiectum*. Inaczej mówiąc: ostatni człowiek opanował naturę, lecz czym jest to, co trzyma on w ręku? Niczym. I niczym jest też on sam. Oto szatańska dialektyka: im więcej zagarniam, tym zagarniam mniej, i tym mniej jest mnie samego. Opanowując, staję się panem własnych jedynie konstrukcji; realność mi się wymyka. Staję się w gruncie rzeczy panem własnej idei ładu, a przy tym siebie samego redukuję do tej idei.

Gdy więc Norwid powiada, że ideolog „realność popsowa, bo wariat jest", to „popsowanie", jak nas poucza Huxley i historia, nie musi oznaczać likwidacji ładu; może oznaczać Jego nadmiar. Owo totalne urządzenie wszelkich dziedzin życia jest przecież jednak unicestwieniem realności. Realność i konstrukcja to dwie bohaterki tej Huxleyowskiej „powieści idei". Realność jest trudna, uczą jej nas milenia dziejów, przeciw którym raz po raz powstają rewolucje kulturalne, my zaś, uparcie burząc konstrukcje i rekonstrukcje, musimy niestrudzenie do niej powracać.

Bo tamto nic niewarte, Kaliklesie.

Bogdan Baran